

MICHEL BUSSI

Najbardziej pomysłowy francuski
autor kryminałów

THE SUNDAY TIMES

Czy pamiętasz, Anaïs?

Zdobywca
prestiżowych nagród,
w tym Prix Polar
Michel-Lebrun oraz
Grand Prix Gustave
Flaubert



Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Czy pamiętasz, Anaïs?

Normandzka szafa

Życie strychu

Ucieczka do raju

Okładka

Rozdzwonił się telefon.
I natychmiast poczułam strach.
Przecucie, że to znowu ten głos.
Wyskoczyłam z wanny, nie przejmując się
mokrą posadzką, na której łatwo się
pośliznąć, ani nie osłaniając się ręcznikiem.
Przebiegłam pokój i chwyciłam słuchawkę.
Byłam naga, i co z tego?
Anaïs nie było w pokoju,
pewnie bawiła się w kuchni.
Przytknęłam słuchawkę do ucha.
Głos, który w niej rozbrzmiał,
zmroził mnie.

fragment książki

Jeśli masz coś pilnego do zrobienia,
nie otwieraj tej książki!

ELLE

Kryminały psychologiczne Michela
Bussiego to więcej niż arcydzieła.

LE FIGARO LITTERAIRE

MICHEL
BUSSI

**Czy pamiętasz,
Anaïs?**

i inne opowiadania

Z francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
T'en souviens-tu, mon Anaïs?

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Agnieszka Niegowska

Korekta
Katarzyna Bielawska-Drzewek
Jadwiga Piller

© Michel Bussi et Univers Poche, 2018

Michel Bussi remercie Hubert-Félix Thiéfaine de l'avoir autorisé à lui emprunter le titre *T'en souviens-tu, mon Anaïs ?* tiré de sa chanson «Dernière station avant l'autoroute» © SM PUBLISHING (France) – 1979

Copyright © for the Polish translation by Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak, 2019

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2019

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-813-9334-8

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Czy pamiętasz, Anais?



Przyjęcie wydane przez Victora Hugo dla dzieci z Veules (24 września 1882 r.)

Jak głosi mocno zakorzeniona legenda, kurort Veules-les-Roses na Alabastrowym Wybrzeżu swe początki zawdzięcza aktorce Anaïs Aubert, która popularyzowała tę miejscowość od roku 1826. Wszystkie lokalne przewodniki w swej części historycznej przytaczają anegdotę, jak to pewnego ranka piękną aktorkę, która niespodziewanie uciekła nocą z Paryża, oczarowała ta wioska rybacka. Gdyby jednak nie pamięć mieszkańców Veules, Anaïs Aubert już dawno znalazłaby się w gronie sławnych artystów, którzy popadli w zapomnienie.

Kim była piękna panna Anaïs? Jaki sekret skrywała, jadąc powozem z Paryża do Veules?

Ciekawy turysta na próżno doszukiwałby się prawdy. Upór, zaangażowanie, błędzenie po archiwach... A tajemnica wciąż jest niewyjaśniona.

Pozostaje tylko nie interpretować i nie zmyślać, a jedynie wszystko sobie wyobrazić.

Każde z miejsc wspomnianych w tym opowiadaniu, z wyjątkiem willi Odeon, naprawdę istnieje i zostało wiernie opisane. To samo dotyczy informacji o życiu artystycznym Anaïs Aubert i twórczości Victora Hugo.

Natomiast za sposób ułożenia puzzli biorę pełną odpowiedzialność!

1

Veules-les-Roses, 23 stycznia 2016

Trzymam w rękach list. Gilbert Martineau zawołał mnie ledwie pięć minut temu. Byłam w atelier, malowałam. Zdobiłam geometrycznymi motywami brzoźową korę, przypominającą nieco lśniące łuski pancerza żółwia.

– Panno Ariane! – zawołał Martineau.

W pierwszej chwili zezłościłam się na niego, bałam się, że obudzi Anaïs. Spała tuż nad pracownią, w swoim pokoju, a w tym domu, gdzie nie zamykają się żadne drzwi, słycać każdy hałas. Dziś wyjątkowo nie poszła do dziadków. Mieli coś do załatwienia w Dieppe, chyba u notariusza.

– Panno Ariane – mówił już nieco ciszej Martineau, spiorunowany moim groźnym wzrokiem, spojrzeniem pełnej obaw matki. – Znalazłem tu coś! Tuż pod warstwą gips-kartonu. – I czubkiem kielni wskazał kopertę wsuniętą w szczelinę w murze, który remontował. – To dziwne – ciągnął – bo wczoraj, kiedy rozbijałem tę ściankę, niczego tu nie zauważyłem. Wygląda na to, że ktoś podrzucił to tutaj dziś w nocy.

Uśmiechnęłam się. Mimowolnie rejestrowałam sygnały. Gilbert Martineau wykonał wczoraj kawał roboty, rozbił młotem gips-kartonową ścianę, zdarłszy uprzednio pasy pomarańczowej tapety, którą ją oklejono, usunął wszystkie te paskudne zdobienia sprzed pięćdziesięciu lat. Zadanie, jakie powierzyłam Martineau, polegało na przywróceniu temu pomieszczeniu pierwotnego uroku, miłej atmosfery dziewiętnastowiecznej willi z nadmorskiego kurortu, na odsłonięciu belek stropowych, cegieł i krzemienia. Taki wystrój stworzy doskonałą, pełną autentyzmu oprawę dla moich prac i wzbudzi w turystach nieodpartą chęć ich kupowania.

List nie zaniepokoił Gilberta Martineau, który już wrócił do pracy i zanurzył kielnię w beżowej zaprawie.

A gdyby...

Drżącymi palcami otworzyłam kopertę. Ujrzałam pismo sprzed lat, kaligraficzne, o łagodnej linii, subtelnej i cienkiej, kreślonej piórem prowadzonym przez wprawna rękę na grubym pożółkłym papierze. Z pewnością było to coś bardzo starego. Spojrzałam na górny róg kartki – moje wrażenie okazało się słuszne.

Veules-en-Caux, 1851

W tamtych czasach mieszkańcy wioski nie zamienili jeszcze Caux na Roses. *Ukwiecili* swoją małą ojczyznę dopiero w roku 1897.

Droga Anaïs...

Odruchowo przetarłam oczy, serce skoczyło mi do gardła. Czy to możliwe? *Anaïs*. Oczywiście nie moja *Anaïs*, nie moje słoneczko, które śpi w łóżeczku jak dla lalki, w pokoju na piętrze, nic sobie nie robiąc z krzyków Martineau i walenia młotem. To list do *Anaïs Aubert*, aktorki, sławnej...

Założycielki...

Odszukałam wzrokiem podpis.

Pani wierny muszkieter

Mélingue

Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów. *Mélingue*... Wróciłam myślami do tego wszystkiego, co od kilku dni Alexandre opowiadał mi o historii Veules-les-Roses, przypominałam sobie nazwy ulic, sławnych artystów, którzy tworzyli to zdrojowisko przed niemal dwustu laty. *Mélingue* był najpopularniejszym na początku dziewiętnastego wieku aktorem, nieśmiertelnym d'Artagnanem, ulubionym komediantem Aleksandra Dumas, wielkim miłośnikiem Veules, powiernikiem *Anaïs Aubert*. Usiłowałam się uspokoić. Martineau pogwizdywał w sąsiednim pokoju, który miał się stać zapleczem sklepu. Usłyszałam także ciche odgłosy z góry, jakby moja *Anaïs* się budziła.

Zaczekaj, zaczekaj jeszcze troszkę, serduszko.

Błyskawicznie pochłaniałam linijki rękopisu. Serce biło mi tak szybko, jakby list pisano do mnie, jakbym odebrała wiadomość od

kochanka. Mélingue pisał dziwne rzeczy. Uspokajał Anaïs Aubert, która została w Paryżu, pisał o jej talencie, karierze, których nie może zmarnować; słowa definiowały. *Czy pojawi się Pani w Veules na romantyczne święta? Wszyscy tu na Panią czekają. Proszę mi wierzyć, że pragną tu Pani obecności.* Mélingue wymieniał nazwiska i tytuły, których nie znałam, które miałam gdzieś w pamięci, Amy Robsart, *Król się bawi*, panna Mars.

Odwracam kartkę. Na górze ktoś się już wierci. Parkiet skrzypi pod małymi stópkami... Anaïs, jak przystało na samodzielną trzylatkę, wsunęła nóżki w kapcie.

Już idę, maleńka, już idę.

Znów zwracam oczy na ostatnie słowa listu.

Cokolwiek by się działo, słodka Anaïs, proszę się nie obawiać. Pani sekret jest tu dobrze strzeżony. Spoczywa w rękach, które są Pani drogim.

Pani wierny muszkieter

Mélingue

Wszystko plątało mi się w głowie, myślałam znowu o wyjaśnieniach Alexandre'a, o jego długich monologach podczas naszych spacerów i o tej obsesji – tajemnicy Anaïs. Czyżbym odkryła trop, o którym nie wiedział? Taki zbieg okoliczności wydawał mi się nieprawdopodobny.

Złożyłam list i wsunęłam go do koperty. Gilbert Martineau przez cały czas był odwrócony do mnie tyłem, przykucnął przy ścianie i pracował, pogwizdując melodię płynącą ze ściszonego radia. To była chyba jedna z popularnych piosenek Michela Fugaina. Weszłam na piętro, nie chciałam, żeby Anaïs pokonywała sama te rozklekotane schody.

Zaczekaj na mnie, moja śliczna.

Wchodząc na górę, myślałam o trzynastu dniach, które minęły od przyjazdu do Veules. Wszystkie te drobne ziarnka piasku, te tajemnice, na które nie zwracałam uwagi. A w każdym razie niewielką. Na przykład to wrażenie, że ktoś mnie obserwuje w domu, dniem i nocą, nawet kiedy jestem sama, nawet kiedy Martineau pozbierał już narzędzia i poszedł do domu. Te dziwne wierszyki Anaïs, piękne, zbyt piękne, żeby mogła je ułożyć trzyletnia

dziewczynka. Ta fotografia z przyjęcia wydanego przez Victora Hugo dla dzieci z Veules w roku 1882; fotografia, którą wszyscy starają się chyba przede mną ukryć. No i oczywiście Adèle. Biedna Adèle. Wszystko jak ziarenka piasku.

A teraz ten list.

Chwyciłam moją małą Anaïs w ramiona. Jej uśmiech rozwiął w gwiazdny pył ziarna strachu. Mocno tuliła do piersi fioletowego strusia – emu, jak twierdzili specjaliści; Memu, jak poprawiała ich Anaïs.

– Dobrze ci się spało, kotku?

– A co ty robiłaś, mamusiu?

– Nic, nic takiego.

Trochę trudno było mi się skoncentrować. Myślałam już o tym, co napiszę wieczorem w swoim dzienniku.

– Mamusiu, chce mi się jeść.

– Tak, tak, kochanie.

Przede wszystkim muszę zacząć ten dziennik od początku, od dnia przyjazdu. Przeczytać go. Podsumować. Zrozumieć. Jeszcze raz przyjrzeć się biegowi zdarzeń przez te kilka dni, kiedy grałam o swoje życie.

W orła i reszkę.

Trzynaście dni wcześniej

2

Veules-les-Roses, 10 stycznia 2016

Trudno opisać chwilę.

Mimo to spróbuję. Postanowiłam prowadzić dziennik nowego życia. Mojego nowego życia! Zaczyna się właśnie dziś. 10 stycznia 2016 roku przed wodopojem w Veules-les-Roses.

Dokładnie o 9:11.

Moja biała panda stoi zaparkowana w poprzek drogi, tuż przed zbiornikiem o długości czterdziestu a szerokości pięciu metrów, przy wjeździe do Veules. Maską niemal zanurza się w dziesięciu centymetrach wody jak pysk zwierzęcia, które przyszło do wodopoju. Małej krowy. Wielkiego barana. Zadziałałam instynktownie, zatrzymałam się tu, zaciągnęłam hamulec ręczny, wysiadłam, wzięłam z tylnego siedzenia Anaïs, nie zamknęłam drzwi.

Postawiłam Anaïs tuż przed gigantycznym poidłem.

Podziwiałam z zapartym tchem.

Przed nami, w krystalicznym zwierciadle wody, tańczyły białe chaty wynurzające się spośród liści brzoź. Krajobraz jak z bajki, ponadczasowy, nie z tego świata. Zastanawiam się, jakie myśli mogły snuć się w tej chwili po główce Anaïs. Czy była równie wrażliwa jak ja na niezwykły urok tego miejsca?

Chłód szczypał nas w policzki, wgryzał się w brodę i uszy. Ostry chłód pod szarym niebem, dotkliwy wiatr. Anaïs nic nie mówiła, z jej różowych ust wydobywały się tylko obłoczki pary.

Tak, trudno jest opisać chwilę.

Wyjechałam z Nanterre o szóstej rano. Zabrałam wszystko,

upchałam treść mojego życia w bagażniku i na tylnym siedzeniu pandy. W tym Adèle w dużym pleksiglasowym pudle, roztropnie ustawionym na kolanach Anaïs. Była ciemna noc. Potem miałam wrażenie, że jadę prosto przed siebie, na północ, aż do końca, dopóki droga się nie urwie, na kraj świata, dopóki morze nie otworzy się przede mną pomiędzy dwoma klifami.

Tutaj.

Do Veules-les-Roses. Tej zagubionej wioski. Niczym do mitycznej oazy na skraju wielkowiejskiej pustyni, zapomnianej przez miejskich nomadów.

Na zewnątrz nie było żywego ducha. Wody Veules wydają się wahać: czy przez chwilę stać w zbiorniku, kołysać się pośród mchu i kamyków, czekać na pstrąga potokowego, czy przemknąć pod kamiennym mostem, żeby szybciej połączyć się z morzem. Obojętne na ten brak zdecydowania nurtu, chaty drżały w zimnej wodzie. Anaïs też już dygotała, mocno ściskając moją rękę i ocierając się o mój sweter. Nie pomyślałam o założeniu palta, choć miałam je pod ręką, na siedzeniu pasażera.

Dziwna była ta opustoszała ulica, jakby zapomniana; wszyscy mieszkańcy schronili się, pokonani przez zimę. Miałam inne wspomnienia z Veules, wspomnienia cofające mnie do innego życia, kiedy przyjechałam tu przed pięciu laty z Ruy. Ulice Veules były czarne od ludzi. W połowie sierpnia Alabastrowe Wybrzeże ogarnęły krótkotrwałe upały. Zewsząd nadciągali turyści, zupełnie jakby wyrastali spod ziemi, niczym grzyby po deszczu. Radosny tłum wędrował półtorakilometrowym szlakiem wzdłuż najkrótszej rzeki Francji, szturmem zdobywał kawiarenki. Piaszczysta plaża przy odpływie nigdy nie wydawała się aż tak szeroka. Nikt nie zliczyłby półnagich ciał ani samochodów, ciasno zaparkowanych przy drodze ciągnącej się po klifie niczym olbrzymi wąż z kolorowych segmentów metalu.

Kiedy zapadła noc, kiedy Veules ucichło, kiedy długi stalowy wąż pełzył już w głąb lądu, do miasta, do Rouen, Nantes, Paryża, Ruy pokazał mi wieś. Jego wieś. Wybraliśmy się na kolację do Galets, potem przeszliśmy brzegiem Veules. U jej źródła, na łączce, namiętnie

mnie pocałował. Byliśmy sami w ciemnościach. Sto metrów dalej, dokładnie tu, przy poidle, Ruy znów się zatrzymał. Trochę zagubiona, trzymałam go za rękę, tak jak dziś Anaïs mnie. Ruy opowiedział mi historię Anaïs Aubert. Oczywiście... Anaïs Aubert była jedną z najświetniejszych aktorek początku dziewiętnastego wieku. Legenda głosi, że nagle porzuciła Comédie-Française – pewnego letniego wieczoru 1826 roku, tuż po spektaklu. Miała powiedzieć do stangreta: „Jedź przed siebie, nie żałuj bata. Prosto, cały czas prosto. I nie zatrzymuj się”. U kresu podróży Anaïs dotarła tu, przed wodopój, jedyną drogą wiodącą wówczas do Veules. I od pierwszej chwili zakochała się w tej rybackiej wiosce. Po powrocie do Comédie-Française opowiedziała o swoim odkryciu paryskim towarzystwu. Aktorzy i artyści zjeżdżali się, zaciekawieni. Narodziło się nowe kąpielisko, Veules-en-Caux... Pozostawało tylko jedno pytanie, wielka, nigdy nierozwiązana tajemnica Veules. Czy Ruy figlarnie rozbłysły, zanim mnie pocałował.

Dlaczego Anaïs Aubert opuściła tego wieczoru Paryż?

Ruy wpatrywał się w żółty odblask latarni odbijającej się w czarnej wodzie poidła, czule objął mnie w talii, a potem wyszeptał te proste, jakże zaskakujące w jego ustach słowa: „Jeżeli kiedyś będę miał dziecko, córkę, będzie miała na imię Anaïs. To nie podlega dyskusji, Ariane!”.

*

Anaïs ciągnęła mnie za żakiet. Zmarzła. Słusznie mnie ponaglała, nie miałam już czasu na rozmyślanie. Spojrzałam na zegarek. Było piętnaście po dziewiątej. Za kwadrans miałam spotkanie z Xavierem Poulainem, agentem nieruchomości. Miał dać mi klucze do sklepu, mojego sklepu, a raczej... klucze do rudery przy rue Victor-Hugo, gdzie miał powstać sklep z dziełami sztuki i ozdobami, i to już wiosną. Mimo woli znów pogrążyłam się w rozmyślaniach. Nie potrafiłam uwolnić się od tego okropnego strachu, który chwycił za gardło, coraz wyraźniej docierało do mnie, jak byłam nieodpowiedzialna:

wymyśliłam sobie, że wrócę tu, sama, z trzyletnią córką, w środku zimy, żeby otworzyć sklep.

Nacieralam Anaïs, żeby ją rozgrzać. I żeby dodać sobie otuchy. Odwróciłam się: panda stała z otwartymi drzwiami nad brzegiem wody niczym wielki, spragniony ptak.

– Dalej pójdziemy piechotą, kochanie. Dom jest bardzo blisko.

– Zabierzemy Adèle? – zapytała Anaïs.

– Nie, nie, zaczeka tu na nas.

Adèle nic to nie obchodziło. Spała na tylnym siedzeniu w swoim pudle. Adèle to żółw wodny. Ponoć była już na świecie, kiedy się urodziłam. Podarował mi ją ojciec chrzestny, którego widziałam raz w życiu. Adèle miała więc co najmniej dwadzieścia pięć lat... Mówi się, że żółwie wodne dożywają sześćdziesiątki. Możliwe! W końcu Adèle nie robi nic poza jedzeniem suszonych krewetek i kawałków mięsa z kamienia w akwarium albo pojemnika, w którym podróżuje.

– Czekaj tu, Adèle, zaraz wrócimy – rzuciła Anaïs.

Anaïs bardzo lubiła Adèle, mówiła do niej, zwierzała się, karmiła ją, a nawet pieściła, jak Memu, fioletowego strusia. Zwierzak w pancerzu i pluszak – dwójka jej jedynych przyjaciół.

Zamknęłam drzwi naszej pandy, nawet nie parkując auta, jak należy; sprawdziłam czapeczkę, szalik i rękawiczki Anaïs.

– Kotku, zobaczysz, jaka to ładna wieś!

*

Szłyśmy po chodniku rue Docteur-Pierre-Girard. Wieś zdawała się nieśmiało budzić. Głównie starzy ludzie powłóczyli nogami z torbami na zakupy w rękach. Zimny wiatr wdzierał się w ulicę. Opatuleni przechodnie nie wyglądali na przywykłych do ostrych chłódów. Trochę mnie to uspokoiło.

– Pachnie morzem – szepnęła Anaïs.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja się roześmiałam. Cieszyłam się, że nie narzeka na pogodę. Za domami słyhać było uderzenia fal o betonową ostrogę, choć może te dźwięki dobiegały z młynów przyspieszających

przepływ wody w rzece, na której tworzyły się hałaśliwe kaskady. Szliśmy. Przy rue Victor-Hugo większość domów stała zamknięta. Mijałyśmy wille prześcigające się barokowymi zdobieniami i fantazją, jeszcze ładniejsze niż w moich letnich wspomnieniach, zapewne ze względu na kolory boazerii, kolumn, drzwi i okiennic pomalowanych na turkusowo, pomarańczowo, czerwono.

– Mamusiu, popatrz, wygląda jak pałac księżniczki!

Rezydencja Douce France. Zamek w samym sercu wsi. Pod kamiennym sklepieniem, między zasłonami rozsuniętymi jak operetkowa kurtyna, ujrzałam majestatyczny żyrandol. Usiłowałam oddalić od siebie wspomnienie ciała Ruy w pokoiku na mansardzie małego hotelu, nie myśleć o jego lśniącej w blasku księżyca opalonej skórze ani o romantycznym śniadaniu w altanie.

Mocno przytuliłam małą Anaïs.

– Kocham cię, maleńka. Zobaczysz, że będzie nam tu dobrze.

Chłód przenikał moje ubranie, wciskał się podstępnie. Tak jak wątpliwości. Czy jestem równie szalona jak ta Anaïs Aubert? Dziwne, ale jeśli się nad tym zastanowić, losy aktorki sprzed niemal dwustu lat były bardzo podobne do moich: zostawić wszystko, uciec z Paryża, żeby wylądować w tym miejscu.

Wreszcie zauważyłam po lewej stronie żelazny szyld agencji nieruchomości – starego kamiennego budynku z wejściem, które zmusza do pochylecia głowy, niemal jak wejście do piwnicy. Pchnęłam ciężkie niebieskie drzwi.

Ciepło otuliło nas przyjaznym kokonem.

3

Veules-les-Roses, 11 stycznia 2016

Minęła północ. Choć byłam na nogach od piątej rano, nie spałam. Nie mogłam usnąć. Wyprowadzka, potem długa podróż i wreszcie wprowadzenie się do nowego domu wytworzyły w mojej nieszczęsnej głowie mieszankę lęku i podniecenia. Pisałam, leżąc w łóżku. Pisałam dziennik. W pokoju pełno było poustawianych byle gdzie kartonowych pudeł, w głowie miałam porozrzucane myśli. W jednym kącie leżało sobie poczucie, że zachowałam się jak rozkapryszona smarkula, którą kompletnie przerosły wydarzenia, i że sobie z tym nie poradzę. Ale w drugim znalazłam wrażenie, że jestem na swoim miejscu. Nareszcie. Że po raz pierwszy w życiu wzięłam sprawy w swoje ręce.

Anaïs spała na piętrze. Jej domek dla lalek, jak go nazwała, nie jest zbyt duży: siedemdziesiąt metrów kwadratowych na dwóch poziomach. Kto by pomyślał, że te nędzne, zatęchłe cztery ściany staną się najelegantszym miejscem przy rue Victor-Hugo! Co więcej, że kiedy już wieś Veules zostanie ostatecznie *ukwiecona*, przyniosą mi bogactwo... Wystarczy w to uwierzyć! Odrobina szczęścia, umiejętności Gilberta Martineau, pieniądze, których nie mam... i ogrom wyobraźni! Przede mną przez osiemdziesiąt lat mieszkała tu pewna kobieta. Pomarańczowe tapety. Niebieskie futryny. Da się mieszkać... czekając na coś lepszego. Moje skromne oszczędności musiały zostać przeznaczone przede wszystkim na urządzenie sklepu. Komfort na piętrze przyjdzie później.

*

Anaïs padła jak mucha, ściskając w ramionach Memu. Zajrzałyśmy

jeszcze do jej dziadków, ale tylko na kilka minut, bo Anaïs była zbyt zmęczona.

– Do jutra – obiecałam.

Zrozumieli, rozumieją wszystko. Élise zadbała, żebym wzięła od niej coś do odgrzania, wołowinę w sosie z marchewką. W jednym z pudeł odnalazłam kuchenkę mikrofalową i trochę naczyń.

Byłam wykończona. I taka szczęśliwa. Kiedy dotarłam z Anaïs do sklepu, trzymając klucze w ręce, Martineau był już na miejscu, jego półciężarówka parkowała przed domem, dwoma kołami na chodniku, a on trzymał telefon komórkowy przy uchu. Martineau szybko oprowadził mnie po siedemdziesięciu metrach kwadratowych domu. Co najmniej trzy miesiące na remont... Po drodze sporządził kosztorys, podliczając wszystko na małym kalkulatorze. Zorientował się, że dokładnie wiem, czego chcę, i że mam gust, a właściwie – swój gust. Harmonia cegieł, żelaza, krzemienia. Uśmiechał się i drapał po głowie, jakby usiłował znaleźć najoszczędniejsze rozwiązania. Tak... Martineau raczej nie wyglądał na oszusta, ale obawiam się, że ja sprawiałam wrażenie paryskiej singielki, której nie pozostaje nic innego, jak mu zaufać. Innymi słowy na klientkę, która da się oskubać.

Ustawiona na podłodze w swoim plastikowym pojemniku Adèle patrzyła na mnie, mrugając ślepkami, jakby się ze mnie nabijała. Rozchyliła pysk i straszyla mnie drobnymi ząbkami. Ją także podróż musiała wytrącić z równowagi. Anaïs przez trzy godziny jazdy opowiadała jej historyjki i tłumaczyła, że się przeprowadzamy, że teraz będziemy mieszkać blisko morza.

*

Pobudzenie nie słabło, jakbym wypijała litr kawy. Niedawno, kiedy Martineau odjechał, poszłam z Anaïs na brzeg morza. Widziała je tylko dwa razy – w Deauville, a później w Boulogne, przez szyby Akwarium Nausicaá. Anaïs z zafascynowaniem obserwowała rzekę, która wypływa z wielkiej kamiennej tuby i rozlewa się po plaży. Opowiadała mi o dużych białych ptakach, ale nie słuchałam jej, plaża

w Veules przypominała mi pieśczoły Ruy, kąpiel o północy w upalne lato. Moją miłość, moje życie.

Muszę o tym wszystkim opowiedzieć, przelać na papier. Właśnie teraz.

Choćbym miała nie spać...

*

Niespełna siedem lat temu byłam studentką, jak tysiące dziewcząt w moim wieku. Zamknęłam za sobą drzwi mieszkań moich rozwiedzionych rodziców, oddzieliłam się od rozbitej rodziny, rozproszonej między Bretanią a Annecy. Zapiisałam się na historię sztuki, uzyskałam stypendium i dzieliłam lokum za dwieście pięćdziesiąt euro miesięcznie ze współlokatorką. Poznałam Ruy na studenckim spotkaniu, na bulwarze w Rouen. Student muzykologii, był przystojny, ciemnowłosy, niedogolony, grał na gitarze, ale i na saksofonie, niemal nie rozstawał się z djembe... Artysta.

Pewnie myślał to samo o mnie. Chcę wierzyć, że tak było. W tamtym okresie kręciło się wokół mnie wielu chłopaków. Nie tylko ze względu na zdolności do rysunku, ale też z uwagi na wyobraźnię, która pozwalała mi malować na czymkolwiek, choćby na listwach przyściennych w mieszkaniach kumpli. Małe scenki z życia domowego – to była moja specjalność. Przyciągałam chłopców wyglądem dziewczyny naturalnej, pragnącej czerpać z życia pełnymi garściami, bez fochów, bez gry pozorów. Są środowiska, w których to się podoba, gdzie szczerłość i prostota znaczą więcej od pieniędzy. W to także chcę wierzyć.

Dalszy ciąg to urocza historia, jakie potrafią tworzyć ławki w salach wykładowych. Wieczory wśród przyjaciół, skręty, piwo, świat kreowany i odmieniany, stawiany na głowie, noce bez chwili snu, sen o brzasku, egzaminy zdawane jakimś cudem następnego dnia. Czyli studenckie lata, kiedy uczelnia służy za przedszkole dla młodych dorosłych, za fabrykę nadziei, wspomnień i przyjaciół na potem, tego zapasu, jaki chowa się na ciężką zimę. Na resztę życia! Kłopot w tym,

że wszystko to uświadamiamy sobie dopiero później.

Coraz rzadziej widywałam się ze współlokatorką, coraz częściej bywałam u Ruy. Céline dąsała się na mnie, bo irytowało ją moje małe szczęście, a poza tym czuła, że wkrótce będzie musiała sama płacić za mieszkanie.

Byliśmy parą od półtora roku, kiedy w sierpniowy piątek Ruy zabrał mnie do Veules-les-Roses, jego rodzinnej wsi. Zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia. Tak, zakochałam się to trafne słowo. Zachwyty był równie oczywisty jak pożądanie, za którego sprawą uległam Ruy. Veules i Ruy: nierozłączni – ten sam dyskretny urok, tajemniczy, niemal nieśmiały; i ten sam artystyczny duch. Ruy postanowił mi zaimponować, zaczął od restauracji Galets (jak się później dowiedziałam, uchodzącej za jedną z najlepszych w regionie), potem był pokój na poddaszu w rezydencji Douce France, przejażdżka po Veules, podczas której nic nie zobaczyłam, bo wciąż się z nim całowałam, kąpiel o północy, a nazajutrz, ponieważ nie było innej możliwości, wizyta u rodziców – tylko kawa w domu przy rue Mélingue.

Przesiedzieliśmy u nich trzy godziny! Élise i Angelo również znaleźli miejsce na obrazie, w którym się rozkochalam. Cudowni. Kochający. Oryginalni. I jestem przekonana, że ja też ich oczarowałam. Ruy był strasznie skrępowany. Nie przedstawił rodzicom żadnej dziewczyny przede mną. Przyznaję, że trochę na to napierałam. Élise i Angelo tworzyli zgrane małżeństwo, to się rzucało w oczy. Taką rodzinę, jakiej nigdy nie miałam.

Wszystko runęło miesiąc później.

Zapomniana pigułka, wyczekiwanie na miesięczkę, rozmowa z Ruy.

Nigdy, nawet przez ułamek sekundy, nie myślałam o aborcji. Boże, jak mogłabym wyobrazić sobie, że pozbywam się dziecka Ruy? Malca, który miał geny jego talentu i urody. Ruy, czego jeszcze wtedy nie rozumiałam, był dobry, subtelny, wrażliwy, ale... jak to ująć, żeby uniknąć złośliwości?... słabego charakteru, czy coś w tym rodzaju. Wyczytał z moich oczu szczęście i nie chciał go niszczyć. Dla niego, jedyne go syna zgodnego małżeństwa, rodzina musiała stanowić swoisty święty krąg. Chciał spróbować, wzorował się na rodzicach,

pragnął otoczyć się własnym kręgiem – tak to sobie wyobrażam. Tak, jestem pewna, że chciał spróbować. Szczerze. Ale Ruy nie był w stanie zmierzyć się z rzeczywistością. Oblał wszystkie egzaminy magisterskie. Lekka depresja, lęk – nazywajcie to, jak chcecie. Kiedy byłam w ciąży, wielokrotnie jeździliśmy do Veules, na rue Mélingue. Élise i Angelo byli pełni wyrozumiałości, troskliwi, a nawet – kiedy się teraz nad tym zastanawiam – zbyt troskliwi, jak lekarz, który ukrywa przed pacjentem nieuleczalną chorobę i mówi zbyt łagodnym tonem; zachowywali się, jakby już odgadli dalszy ciąg tej historii; jakby w głębi ducha nie wierzyli w przemianę syna-artysty we wzorowego ojca.

Gdy Anaïs miała trzy miesiące, a dokładnie sześćdziesiąt trzy dni, Ruy odszedł. Bez słowa wyjaśnienia. Zostawił mi tylko książkę Pagnola, *Mariusz*.

Nie jestem głupia, zrozumiałam, zrozumiałam już wcześniej. Wciąż zakochana, ale jednak nie beznadziejna idiotka!

Cóż, Ruy, mimo takiego talentu, takiego geniuszu, tym razem nie zachowałeś klasy, zostawiając mi książkę Pagnola.

Ty, Mariusz, i zew morza; ja, Fanny. W porcie z pieluchami.

O ile wiem, Ruy mieszka w Nowym Jorku. Tak ostatnio mówili mi przyjaciele. A może w Dakarze? Nie szukam, już nie szukam.

Rozumiecie, pieluchy. Zakochana utknęła w porcie.

Ruy, życie to nie powieść. Musiałam pracować. Z dnia na dzień frf! – koniec ze studiowaniem historii sztuki, z marzeniami o Normale Sup czy École Boule. Kierunek Paryż, pierwsza praca, jaką znalazłam, na La Défense, wraz z trzystoma tysiącami innych pracowników w RER, rano i wieczorem. Sprzedawczyni w Decathlonie, zatrudniona, żeby spróbować sprzedać sprzęt sportowy, którego nigdy nie używałam: do golfa, tenisa, ale i narty, i rowery górskie.

Szef był moim rówieśnikiem, tylko trochę lepszym we wciskaniu ludziom różnych rzeczy.

„Jesteś ładna, masz dyplomy. Szybko się nauczysz”.

W innych sprawach wszystko działało się szybciej. Mieszkanie socjalne w Nanterre, na czwartym piętrze. Dzielnicowy żłobek otwarty do osiemnastej trzydzieści. Ani minuty dłużej. Zamęczałam

się tą codzienną gonitwą, która tak kontrastowała z latami studiów, jakby przejście w dorosłość było skokiem w przepaść. Kara, zbrodnia do odpokutowania. I zjadliwy głos, który szeptał w mojej głowie: No, kotku, dobrze zrobiłaś, magazynując zapas marzeń. Trzymałam się dla Anaïs, trzymałam się dzięki Anaïs. Tylko dla niej. Jeszcze wtedy śledziłam losy Ruy za pośrednictwem kolegów.

Sydney. Rio. Vancouver.

A później stopniowo dojrzewała we mnie ta myśl: za każdym razem, kiedy wlokłam Anaïs z jej wiecznym kaszlem między rurami wydechowymi na paryskim przedmieściu, za każdym razem, kiedy puszka po krewetkach Adèle tłukła się o ścianki zsypu, spadając z czwartego piętra, zawsze, kiedy szkicowałam coś na kawałku papieru.

Veules-les-Roses.

Zapas marzeń zgromadzonych przez lata studiów już się wyczerpywał... Szyderczy głos drwił sobie ze mnie: Nie przetrzymasz tej zimy, biedna Ariane.

Jedyne wyjście. Ta szalona myśl, żeby poskładać wszystko, co mi zostało: studia z historii sztuki, mój domniemany talent, dziadków Anaïs z Veules-les-Roses, tę nadmorską wieś jak z bajki. I ułożyłam z tych puzzli niesamowity obrazek...

Dwa miesiące temu podjęłam decyzję.

Rzucić wszystko!

Uciec do Veules.

Kupić sklepik o krok od portu.

Spróbować szczęścia, malować.

Opróżniłam mieszkanie, upchnęłam wszystko do białej pandy, zostawiając tylko miejsce dla Anaïs i Adèle. I wyjechałam... To było rano, o szóstej. Teraz mogę już paść. Wycieńczona. Mogę zasnąć.

Jest mi dobrze.

Tylko to dziwne wrażenie, które niedawno się pojawiło. Dziś po południu, kiedy Martineau wyszedł.

Dziwne odczucie, trochę irracjonalne.

Ktoś mnie szpieguje. Tu. W moim domu.

4

Veules-les-Roses, 12 stycznia 2016

Dziś wieczorem poszłam na kolację do teściów. Buzia Anaïs, początkowo nadąsana, ponieważ miała uparła się, żeby zabrać Adèle, natychmiast pojaśniała w uśmiechu na widok prezentów czekających na nią na stole w salonie: książka z wierszami, pastele, blok rysunkowy... Wszystko, czego trzeba raczkującemu artyście. Nie znając wnuczki, Angelo i Élise starali się ją odgadnąć.

Kolacja była pyszna, podobnie jak rozmowa. Unikaliśmy wzmianek o Ruy. Zresztą Anaïs skupiała na sobie całą uwagę, a Angelo z zachwytem opowiadał jej o skarbach Veules: ostrygach, pstrągach, rzeżusze... Kiedy Élise postawiła już na stole ser, spojrzała na mnie nieśmiało i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Ariane, jeżeli chcesz, to w ciągu dnia, żebyś mogła spokojnie pracować, chętnie zajmę się Anaïs.

Jakby zgadła, że nie śmiem jej o to poprosić.

Zgodziłam się. Przede wszystkim dlatego, że schlebiali mi, iż uważają za pracę malowanie na korze, płaskich kamykach albo starych deskach z drzwi. Masz za swoje, Martineau! A poza tym dlatego, że to prawda, czeka mnie tytaniczna praca, mam tylko cztery miesiące na stworzenie podstaw swojego biznesu, na zgromadzenie wszelkiego rodzaju wyrobów artystycznych przed otwarciem sklepu. Z Anaïs na głowie przez cały dzień to niewykonalne. Nie wspominając o remoncie, o kurzu.

– Bo widzisz – dodała Élise – jestem nianią. Zawsze nią byłam, jak moja matka. Jesteśmy nianiami z matki na córkę, od pokoleń. Opiekuję się Clémence, dziewczynką starszą o miesiąc od Anaïs, i Paulem, dwuletnim łobuziakiem. Anaïs dobrze to robi, poza tym za rok spotka się z nimi w przedszkolu.

A ta mała zdrajczyni już klaskała w dłonie.

– A będę mogła zabrać Adèle?

– Kto to jest Adèle, kotku?

Później długo się śmialiśmy. Przeszliśmy do salonu. Za oknem rozpościerał się wspaniały widok na Veules. Czułam się prawie jak w rodzinie. Przez tę krótką chwilę byłam pewna, że przyjeżdżając tu, dokonałam słusznego wyboru.

Élise sprzątała ze stołu. Angelo uspokajał moje obawy.

– Znam Gilberta Martineau i jestem przekonany, że wciąż będzie ci powtarzał, że jesteś szalona, że nikt nie kupi tych dziwacznych rzeczy, które malujesz. Tylko że on się na tym nie zna! Jego biznes to remonty sklepów, które otwiera się w maju, a zamyka we wrześniu. Ale ty, moja droga, nie jesteś taka jak wszyscy, ty masz talent. Zimą w Veules jest ciężko, jednak kiedy nadejdzie wiosna, sama się przekonasz... Letnicy będą cię podziwiać.

Dziękuję! Dziękuję, Angelo.

Tymczasem Anaïs zaczęła plądrować salon, szperać w bibliotecę, wyjmować książki i albumy.

– Anaïs, nie.

– Niech się bawi...

Anaïs ułożyła na dywanie ilustrowane książki, pożółkłe periodyki poświęcone lokalnej historii, zbiór starych czarno-białych albumów. Czytałam nazwiska na okładkach. Jules Truffier, Paul Meurice, bracia Goncourt, Jules Michelet, Victor Hugo, Mélingue... I oczywiście Anaïs Aubert.

Oszupiałam, widząc, czym interesuje się Anaïs! Jakby mała kokietka już wiedziała, za które sznurki pociągnąć, żeby owinąć sobie dziadka wokół palca. Z broszurą w ręce wdrapała się mu na kolana.

– Kto to jest ta piękna pani?

– Anaïs Aubert, aktorka. To ona odkryła...

– Dziadku, ona nazywa się tak jak ja!

Angelo uśmiechnął się. Teraz już nie mógł darować sobie opowieści o aktorce, o jej szaleńczej ucieczce, przyjeździe do Veules, gdzie zatrzymała się przy wodopoju. Skorzystałam z okazji:

– Czy udało się ustalić, dlaczego uciekła z Paryża?

Angelo potarł brodę.

– Nie. Tajemnica została zachowana. Myślę, że tak będzie jeszcze długo... Wydaje mi się, że poważni historycy mają dość pracy, więc nie tracą czasu na takie drobiazgi.

Przeglądając książkę, Anaïs znów przerwała dziadkowi.

– A to kto, ten stary pan z długą brodą?

– Victor Hugo. Pisarz. Jak ci to wyjaśnić... Wiem, znasz pewnie garbusa z Notre-Dame?

I dziadek opowiadał wnuczce, ale również mnie. O miłości Victora Hugo do Veules-les-Roses. O jego pobytach w kąpielisku u najlepszego przyjaciela, Paula Meurice'a, w latach 1879–1884, tuż przed śmiercią. O wielkim przyjęciu, które wydał dla dzieci z Veules w roku 1882.

– Zobacz, Anaïs.

Przysunęłam się. Ja też chciałam popatrzeć.

Ledwie zdążyłam zerknąć na dużą czarno-białą fotografię, na dziesiątki dzieci stojących na dziedzińcu i starego Hugo pomiędzy nimi... Angelo gwałtownie zamknął książkę. Na krótką chwilę z rozczulonego dziadka przeistoczył się w spanikowanego człowieka.

To była tylko sekunda.

Élise weszła do salonu, niosąc ostrożnie tacę z gorącą herbatą.

Chyba coś mi się przywidziało.

Tylko że Angelo wciąż trzymał zamkniętą książkę. Anaïs zsunęła się mu z kolan, a on nadal siedział nieruchomo, z broszurą pod pachą.

Jestem pewna, że coś przede mną ukrywa!

Już po chwili, dmuchając na herbatę, złościłam się na swoją głupotę. Cóż takiego mogłoby się kryć w starej książce ze zdjęciami zrobionymi prawie sto pięćdziesiąt lat temu?

Żalosne!

Za minutę nie będę już o tym pamiętała.

Pomyłka!

Wciąż o tym myślałam, chociaż już był wieczór.

Zapamiętałam tytuł, *Spacerowicze z Veules*, broszura wydana przez Stowarzyszenie Miłośników Historii Veules. Postanowiłam zajrzeć do miejscowej biblioteki, obok merostwa. Na pewno mieli tam egzemplarz tego wydawnictwa.

*

Znów przemierzałyśmy wieś późnym wieczorem. Zbocze klifu niknęło w ciemnościach i tylko oświetlone okna willi lśniły na ulicy jak gwiazdy na bezchmurnym niebie. Anaïs była podekscytowana perspektywą spędzania czasu u babci i dziadka, z dziećmi w swoim wieku. Chciała opowiedzieć o wszystkim Adèle, chociaż biedna żółwica rozchyłała ślepią i przechylała łebek, sprawiając wrażenie tak znużonej, jakby to ona wróciła właśnie po długiej i obfitej kolacji.

– Do łóżka, pchełko! Opowiesz jej o tym jutro.

Gdybym wiedziała...

*

Zamykając drzwi pokoju Anaïs, znów doznałam tego dziwnego, uporczywego wrażenia, że ktoś mnie obserwuje. Ktoś patrzy na mnie z ukrycia, śledzi w każdym pokoju.

Wariatka!

Delikatnie zamknęłam drzwi.

W zimnym korytarzu mówiłam do siebie:

Złotko, jeżeli chcesz wytrzymać sama w tej norze całą zimę, to nie możesz puszczać wodzy fantazji.

5

Veules-les-Roses, 13 stycznia 2016

Od rana, zamiast skupić się na malowaniu, jak opętana szukałam w internecie informacji o tej znanej Anaïs Aubert. Martineau uwijał się obok, pogwizdując melodie, które trzeszczały w jego radiu ustawionym na pasmo Nostalgie. *L'Été indien* płynęło tuż po *La Maladie d'amour*.

Chmury uciekały przed przyprawem i kwadrat błękitnego nieba zalał mój kwadrat zieleni – trzy na trzy metry, za domem. Na końcu muru otaczającego ogród mała drewniana furтка otwierała się bezpośrednio na drogę do Pucheux, jednej z atrakcji wsi, absolutnie czarującej. Niskie domy rybaków wznosiły się nad małą rzeką, pokazując przechodniom koronki i bibeloty za oknami. Sama rzeka obudowana była maleńkimi mostkami, śluzami z krainy lalek, wody spadały miniaturowymi kaskadami. Przed każdym domem trzy schodki i przystań wzbudzały wrażenie, że można tu zaczekać, aż przyplynie gondola.

Adèle cieszyła się słońcem, zażywając kąpieli w swym pudle. Musiałam znaleźć dla niej jakąś miskę czy cokolwiek innego, ale większego. Dziś Anaïs po raz pierwszy spędzała dzień u dziadków, a ja musiałam się powstrzymać od dzwonienia do niej co godzinę. Wyrzucałam sobie, że nie wykorzystuję wolnego czasu na malowanie, na poważne przygotowania.

Ciekawość kontra poczucie winy.

Tylko dziesięć minut, powiedziałam sobie. Ani chwili dłużej. A potem do roboty! Mój stary laptop był połączony z internetem przez telefon 3G. Zaczęłam od szukania fotografii z przyjęcia dla dzieci z Veules wydanego przez Victora Hugo. Nic nie wskórałam. W internecie niczego takiego nie było: niektóre artykuły wspominały

wprawdzie o przyjęciu z udziałem starszego pana w roku 1882, ale nie znalazłam w nich żadnych zdjęć, a w każdym razie nie tego, którego szukałam; tego, które przez moment miałam wczoraj przed oczyma.

Martineau gwizdał *Les Neiges du Kilimandjaro*. To nie do wytrzymania. Pchnęłam stopą drzwi, a na ekranie przesunęłam strzałkę na folder „Moja muzyka”. Pokazały się nazwiska artystów. Brassens. Fersen. Thiéfaine. Sanseverino.

Thiéfaine!

Kliknęłam.

Oczywiście, *Dernière station avant l'autoroute*.

To nie była zwykła piosenka, lecz hymn, który tyle razy wykrzykiwaliśmy z Ruy, solo albo w duecie, w dwadzieścioro w kawalerce, w trzy tysiące podczas koncertu w La Courneuve.

Niepowtarzalny głos Thiéfaine'a chrypiał z komputera:

Kochaliśmy się w kukurydzy.

Czy pamiętasz, droga Anaïs?

Niebo miało barwę opium,

W ustach gumy jednej smak.

I co powiesz, Martineau, takiej klasyki nie usłyszysz na Nostalgie!

Thiéfaine wrzeszczał w kółko, a ja czytałam strony, na których wspomniano o Anaïs Aubert. Klęłam. Zawsze gdy wpisywałam Anaïs Aubert w okienko, odsyłało mnie do tej samej informacji: odkrycia Veules-les-Roses! Zupełnie jakby ta aktorka nigdy w życiu nie zrobiła nic poza spopularyzowaniem tej wioski. Albo jakby jej mieszkańcy wymyślili sobie tę swoją muzę. No może trochę przesadzam. Czytając, dowiedziałam się także, że Anaïs Aubert była niska, drobna, urocza, grała najczęściej role subrettek, cherubinów, transwestytów. Panna Anaïs, jak o niej mówiono, oczarowała na początku dziewiętnastego wieku cały Paryż.

Ciekawość.

Poczucie winy.

Po ostatnim postoju przed autostradą Thiéfaine spotkał dziewczynę oszalamiającą jak narkotyki.

Znów zerwało się połączenie z internetem. Westchnęłam, zrezygnowana. Wiedziałam, że złapanie sygnału w tej ruderze na końcu świata graniczy z cudem. Skorzystałam z okazji i wyłączyłam komputer.

Zostały już tylko trzy godziny, potem musiałam iść po Anaïs.

*

– Adèle! Adèle!

Niemal wyłam.

Martineau wyszedł przed moim powrotem od Élise i Angela.

– Adèle, Adèle!

Anaïs też krzyczała na cały głos.

Ale Adèle nie mogła nas usłyszeć. Biedaczka. Pudło z pleksiglasu leżało przewrócone na trawie. Furtka w głębi ogródka była uchylona.

Ruszyłam przez podwórko. Owładnięta ponurym przecuciem szłam pierwsza.

Była tam, tuż za furtką. Nie miała szansy dożyć sześćdziesięciu lat.

Żółwica leżała przede mną ze zmiażdżoną skorupą, jak bezkształtna lepka maź na środku drogi do Pucheux. Nie sądziłam, że można roztrzaskać pancerz. Zasłoniłam ręką oczy Anaïs i mocno ją przytuliłam. Do głowy cisnęły mi się bezładne myśli.

Co tu się mogło stać?

Jakieś bezdomne zwierzę, pies, kot, który przeskoczył przez mur albo pchnął furtkę, wtargnął do ogrodu, przewrócił pojemnik... I zmiażdżył skorupę? Nie, to niedorzeczne!

Anaïs wyrywała się, szlochając.

A może jakieś sadystyczne dziecko, które wykorzystało moją nieobecność, żeby pastwić się nad żółwiem paryżanki? Jakaś idiotyczna zabawa?

Anaïs okładała mnie piąstkami. Była taka radosna, kiedy wychodziła od babci. Rysunki, które wręczyła mi z dumą, leżały rozrzucone po ogrodzie, fruwały jak skrawki papieru.

To bez sensu. Miałyby się tu zakraść pies, Adèle miałyby uciec,

a drogą miałyby potem przejechać motocykl? Czy motocykl mógłby zmiążyć pancierz żółwia? Czy naprawdę mogłoby dojść do takiego zbiegu okoliczności?

Anaïs osunęła się jak szmaciana lalka.

Nie można wnieść oskarżenia z powodu żółwia. I nie nosi się żałoby po żółwiu.

Nie zastanawiałam się dłużej.

Ciągnęłam za sobą Anaïs, wracałyśmy do domu. Teraz ścisnęła w ramionach Memu. Tak, że mogłaby go udusić.

Nad niczym nie miałam już kontroli.

Zwłaszcza nad tym obsesyjnym wrażeniem, tym niezrozumiałym przekonaniem.

Ktoś patrzy, jak płaczemy!

6

Veules-les-Roses, 14 stycznia 2016

Anaïs stopniowo godziła się ze stratą.

Dziś od rana malowałam żółwie na dębowych deskach ze starych okiennic. Anaïs poprosiła mnie o to, zanim odprowadziłam ją do Élise.

Po tym, co stało się z Adèle, zadałam Martineau pytanie: czy zauważył coś przed wyjściem? Nic nie widział. Prawdę mówiąc, miał w nosie mojego żółwia. Wspomniałam mu też, że czuję się tu stale obserwowana. Wzruszył ramionami. Pewnie wziął mnie za wariatkę. A przynajmniej za dziwaczkę. Zapytał z drwiącym uśmiechem, dlaczego maluję wielkie ostrygi.

Gdyby nie fakt, że ten cholerny rzemieślnik ma złote ręce!...

*

Szłam przez Veules. Ktoś mógłby pomyśleć, że szukam inspiracji. W rzeczywistości po drodze do teściów, od których miałam odebrać Anaïs, postanowiłam zajrzeć do biblioteki. Przejście przez wieś zajmuje zaledwie kilka minut. Stary kuty w żelazie szyld na gresowej ścianie potwierdził, że w pięknym budynku o charakterystycznej dla tego regionu długiej ścianie szczytowej mieści się biblioteka. Tablica przeznaczona dla turystów informowała, że niegdyś dom z warsztatem należał do tkacza. Zanim otworzyłam drzwi, przystanęłam na chwilę, po raz kolejny zauroczona pięknem tej wsi, i patrzyłam na wznoszące się przy skrzyżowaniu dróg wille, które miały w sobie niepowtarzalny czar: surowe, a zarazem bezwstydne, zdawały się wahać, czy pokazać przechodniom, czy ukryć przed nimi swe fantazyjne zdobienia; dziedziniec merostwa majaczył w dali; biblioteka wtulała się w duży, zadrzewiony park.

Weszłam. Przy biurku, na którym panował idealny porządek, siedziała pani uczesana w równie idealny kok. Obrzuciła mnie spojrzeniem, które mówiło: „A, to pani jest tą wariatką z rudery, tą, która maluje różne ozdóbki, żeby sprzedawać je paryżanom...”.

Nowiny rozchodziły się tu lotem błyskawicy.

W dziale Życie lokalne bez trudu odnalazłam broszurę, którą widziałam u Angela. *Spacerowicze z Veules*. Zgromadzono tu całą kolekcję dziewięciu broszur. Otworzyłam pismo i gorączkowo czytałam spis treści – „Hugo i jego przyjęcie. 24 września 1882 roku. Strona 42”.

Przerzucałam kartki.

38, 39, 40, 41...

O, Boże!

Nie było strony 42. Kartka została wyrwana...

Pani w koczku wyglądała na zdziwioną. Nie oburzoną, ale zagniewaną tylko na tyle, żeby sprawić wrażenie szczerzej.

– Ja... nie rozumiem, jak to się stało. To dziwne, bo bardzo rzadko wypożyczamy te stare broszury. Cóż, nie da się wszystkiego sprawdzać. Ludzie są tacy bezczelni. Czy mimo wszystko chce pani ją wypożyczyć?

*

Przyspieszyłam kroku, okrążając kwadratową wieżę kościoła Saint-Martin, by znów znaleźć się na rue Mélingue.

Anaïs na mnie czekała.

Idąc szybkim krokiem, znów usiłowałam sobie wmówić, że nie ma w tym nic niezwykłego, że to tylko kilka drobiazgów, bez znaczenia. Brakująca kartka w książce. Żółw, który uciekł. Wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Przez moment myślałam, że czai się tu zagrożenie, że to nawiedzona wieś, a ja dałam się wciągnąć w pułapkę. Bezbronna, samotna ofiara, którą dręczą tu dla zabawy. Dopóki... Dopóki co?

Czysty obłąd!

Muszę odzyskać zdrowy rozsądek, muszę myśleć o Anaïs, muszę

skupić się na sklepie.
Muszę się trzymać.

Veules-les-Roses, 18 stycznia 2016

Od strony morza Veules-les-Roses jest brzydkie. To zresztą jedyne brzydkie miejsce w Veules: plaża! Na pocztówkach ze wsi ukrywa się ją jak niedoskonałości urody. Zgadzam się z wami – „brzydki” to ocena wartościująca. Należałoby napisać, że wybrzeże Veules-les-Roses zostało odbudowane po wojnie. Byle szybciej!

Podobno Veules-les-Roses kandydowało do miana jednej z najpiękniejszych francuskich wsi, ale zostało odrzucone, ponieważ wybrzeże nie dorównywało reszcie. Wyobraźcie sobie taką porażkę całej gminy tylko z powodu trzech paskudnych domów zwróconych w stronę La Manche i starego kasyna. Trzy domy z ilu? Trzystu? Pięciuset? W dodatku w mieszkańcach tych domów żywcem wyjętych z biednego przedmieścia musi tlić się swoista satysfakcja, że zajęli miejsca w pierwszym rzędzie i psują widok ze wznoszących się wokół architektonicznych perełek – tych willi i rezydencji, które paryskie agencje nieruchomości sprzedają po kilka milionów euro. Ten paradoks jest wręcz zabawny: najpiękniejsza panorama we wsi, jedyna, której nie psują te paskudztwa, rozpościera się z ich okien.

Poza tym szczególnie uwielbiam Veules!

Coraz bardziej.

Chyba nigdy nie znużą mnie długie spacerunki, na które chodzę z Anaïs – po szerokim pasie mokrego piasku przy odpływie, gdy słońce chowa się za klifami; rankiem, po zasnutych mgłą polach. Anaïs najbardziej lubi wędrówki skrajem lasu, wzdłuż Pól Elizejskich. Dowiedziałam się, że ścieżkę nazwano tak, ponieważ przed dwustu laty mieszkał tam niejaki ojciec Elizeusz. Dla paryżan to dość zabawne. Po drodze Anaïs zatrzymuje się przy każdym młynie, przy każdej kaczce, która pluszcze się w Veules, przy każdym ptaszku,

który podrywa się do lotu. Moja ciekawska córeczka uwielbia zaglądać za murki ogrodów. Czekam na nią. Muszę z nią siadać na każdej ławce, choćby na pięć minut. Jak w piosence.

Mieszkańcy Veules zaczynają mnie rozpoznawać. Niektórych spotykam zawsze w tych samych miejscach. Prawie zaprzyjaźniłam się z Claire, dziewczyną z naleśnikarni La Marine przy rue Victor-Hugo, kilka metrów od mojego sklepu. Wpadłam tam parę razy na kawę. Claire jest moją rówieśnicą i już zamówiła u mnie dziesięć martwych natur, by powiesić je w swojej restauracyjce. „Solidarne”, roześmiała się, unosząc palce. Często spotykam też sparaliżowanego starca, którego nogi okryte są kocem w szkocką kratę. Jego wózek popycha pielęgniarzka. Mieszkają w willi Marjolaine. Claire wyjaśniła mi, że rodzina mężczyzny na początku dwudziestego wieku zbiła fortunę na handlu strusimi piórami. Angelo to potwierdził. W Veules też można się natknąć na osobliwe postaci. Nieliczne, ale warte nadłożenia drogi.

Anaïs lubi bawić się na drewnianej grobli. Ma do dyspozycji cały plac zabaw – gigantyczne zjeżdżalnie, mostki linowe i piaskownice. Skacze po kałużach w brodziku, pustym i brudnym, jakby zakatarzonym aż do nastania ciepłej wiosny.

Tak, uwielbiam tę wieś zimą. Ten labirynt w stanie hibernacji. Ten dziwny mikrokosmos.

Wszyscy tu się znają i prawie nikt nie wdaje się w rozmowy.

8

Veules-les-Roses, 19 stycznia 2016

Dziś po południu przydarzyło mi się wzruszające spotkanie.

Stałam na dużym drewnianym tarasie wznoszącym się na palach, nad plażą i rzeką Veules. Miejscowi nazywają to estakadą. Trwał przypływ, ale pomiędzy otoczkami widać jeszcze było trochę piasku. W dali traktor jednego z rolników sunął w stronę parkingu. Często zatrzymuję się w tym miejscu na długie minuty, szukając natchnienia w białych i ochrowych falezach, w tych gigantycznych kaskadach kamieni, które będą się rzucać do morza po kres czasu. Promyczek słońca rozbudził we mnie chęć, by oswobodzić spod czapki jasne włosy, które natychmiast potargał zachodni wicher. Wystarczy stanąć pod wiatr, by zrozumieć, dlaczego najpiękniejsze wille wzniesiono na zachodnim zboczu klifu. To chroniło je od podmuchów. Inne budowano później – tam, gdzie zostało miejsce.

Cztery flagi na masztach łopotwały. Huśtawka na opustoszałym placu zabaw sama się kołysała, jakby bawił się na niej niewidzialny duch dziecka.

*

Mężczyzna wyszedł z wody w czarno-czerwono-odblaskowozielonym kombinezonie. Ociekającym.

Ten mężczyzna to Alexandre.

Alexandre nie jest już zbyt młody. Powiedziałabym – trochę po czterdziestce. Kiedy jednak wyłonił się ze swej drugiej skóry – neoprenowego kombinezonu – wystawiając mięśnie klatki piersiowej na mroźny wiatr, trudno mi było oderwać od niego wzrok. Suwak rozsunął się mu aż do podbrzusza, ledwie przysłaniając kępki

siwiejących włosów – nie za dużo i nie za mało. Potem zrozumiałam, że Alexandre umiejętnie uzyskał pożądany efekt.

Szedł boszo po otoczkach, a robił to ze swobodą, która – wierzcie mi – wymaga lat ćwiczeń. Zresztą nie. Po prostu trzeba się tu urodzić. Jestem pewna, że rdzenni mieszkańcy Veules przechodzą darwinowską ewolucję utwardzania podeszwy. Alexandre zostawił deskę z czerwonym żaglem, na którym widniał złocisty hełm wikinga zdający się rzucać wyzwanie falom. Wzburzył włosy i spojrzał na mnie z czarującym uśmiechem.

– Pani to ta Ariane, artystka? Synowa Élise i Angela?

Widząc zdumienie w moich oczach spoglądających spod welurowej czapki, moje przemarznięte dłonie w rękawiczkach, ten prawie nagi facet, który wynurzył się z lodowatej wody, mówił dalej:

– Zastanawia się pani, skąd panią znam? To proste, cała wieś mówi wyłącznie o pani. Trudno się dziwić. Ładna paryżanka, ta, która usidliła Ruy!

– A...

Roześmiał się i wspiął na groble, podciągając się na rękach. Dzieliły nas niespełna trzy metry. Jego stopy zostawiły mokre ślady na egzotycznym drewnie estakady.

– Za pani plecami ludzie nawet zakładają się między sobą: wytrzyma czy nie wytrzyma, ta paryżanka. Zostanie do końca zimy, przez lato, do Bożego Narodzenia...

Skwitowałam te słowa śmiechem. Ten podrywacz, który wynurzył się z głębin, nawet mi się podobał. Odpowiedziałam pytaniem:

– A co pan o tym myśli?

Sześć mokrych śladów na deskach. Jego tors ociekał prawie na moje buty. Nosem dotykałam białych włosów na jego piersi.

– Do diaska! Że mają rację, powtarzając, że paryżanka jest ładna!

Celne!

Roześmiałam się. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio ktoś próbował mnie poderwać. Patrząc, tak, owszem, na La Défense, sto razy dziennie. Obserwować, szacować, dotykać – to spotykało mnie ze strony setek anonimowych, pędzących sylwetek. Ale żeby zagadnąć...

*

Alexandre zaproponował, żebyśmy wpadli na kawę do Victora Hugo, wielkiej i paskudnej restauracji nad plażą. Spojrzałam na zegarek – za kwadrans musiałam iść po Anaïs, dwa kroki stąd...

Spóźniłam się dwadzieścia minut. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy!

Nie chodzi o to, że Alexandre mi się podoba, o nie. Przystojniak jest za stary o dwadzieścia lat. Do tego to zwykły podrywacz, zbyt ostentacyjny. Krótko mówiąc – przeciwieństwo mężczyzny, w którym mogłabym się zakochać. Powiedzmy jednak, że Alexandre to miły partner do... do konwersacji. Celowo użyłam słowa „konwersacja”, a nie „rozmowa” czy „dialog”, ponieważ Alexandre nie nauczył się, jak pozwolić kobiecie mówić i jak udawać, że się jej słucha. Był rdzennym mieszkańcem Veules – z urodzenia, z krwi... od czubka głowy po podeszwę! Jego żona pracowała w wydziale turystyki w Dieppe. On latem był instruktorem windsurfingu, a w weekendy muzykiem. Świadczył usługi letnikom, którzy urządzali w swoich willach wesela, chrzcili dzieci, a potem posyłali je do komunii. Zajmował się także ogrodami, wyręczając właścicieli w koszeniu trawy i przycinaniu róż. Dla synów wiatru czasy były ciężkie.

Pożerał mnie błękitnymi oczyma, nie przestając mówić. Chyba świetnie się bawił. I dużo zmyślał. Wierzę tylko w jedno, bo to akurat widać jak na dłoni – zna Veules jak własną kieszeń, wie wszystko o jego historii i o mieszkańcach. Tyle że o tym nie mówił zbyt dużo.

9

Veules-les-Roses, 22 stycznia 2016

Kiedy przyszedłam po Anaïs do Élise o siedemnastej, moja mądrała powitała mnie stwierdzeniem, że jestem punktualna... dzisiaj! Nasza droga powrotna musiała prowadzić przez plażę, zamarznięte kałuże, na których się ślizgała, lodowaty plastik zjeżdżalni, wąskie uliczki, właściwie piesze, w których labiryncie można się było bawić w chowanego, rue Anaïs-Aubert, rue de la Mer, wąwóz Saint-Nicolas.

*

Anaïs jadła podwieczorek przy stole w jadalni. Ten stół to przycięta przez Martineau deska oparta na dwóch kozłach. Małej nie zamykała się buzia – opowiadała mi o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Anaïs nieustannie zadziwia mnie talentem do opowiadania fantastycznych historyjek, do układania tekstów piosenek i ilustrowania ich niesamowitymi rysunkami. Czasami powtarzam sobie, że to niewiarygodne, by dziecko w jej wieku przejawiało takie zdolności. Zwykle jednak staram się powściągnąć zachwyty: przecież każda matka dostrzega w swym dziecku geniusza.

Taak!

Tyle że w przypadku Anaïs – możecie mi wierzyć albo nie – to fakt!

*

Anaïs bawiła się paletą i pastelami – mieszała kolory. Malowała najrozmaitsze zwierzęta. Ale nie żółwie. Nigdy nie mówiła o Adéle. Biedne maleństwo.

Martineau znalazł czas, żeby zerknąć przez ramię mojej córki

i powiedzieć jej, że to, co narysowała, jest bardzo ładne. Wprawił ją tą pochwałą w wielką dumę. Kto by pomyślał, że ten opryskliwy Martineau, który całymi dniami pracował w sąsiednim pomieszczeniu, uśmiechając się półgębkiem i nucąc refreny przebojów z Nostalgie, nigdy nie powiedział dobrego słowa o moich dziełkach. Istnieją tylko dwa wyjaśnienia: albo jest zbyt nieśmiały... albo to, co maluję, jest naprawdę do niczego.

*

Czas na kąpiel.

Anaïs bardzo lubi przesiadywać w starej krótkiej wannie. To kolejny antyk, którego wymianę zostawiłam na lepsze czasy... Podczas gdy mała moczyła się w wodzie, ja za ścianą szykowałam kolację. Martineau skończył pracę i wyszedł godzinę temu.

I właśnie wtedy usłyszałam śpiew Anaïs:

*Nad brzegami Veules
w piękny lata dzień
woń kwitnących róż,
ryby, rukwi zieleń.
Wiwat jabłka i piosenka.*

– Co śpiewasz, kochanie?

*Tu kobiety z Veules,
prawie rozebrane,
spieszą sprzedać to,
co przez morze dane.
Wiwat połów, wiwat grzech.*

Przystanęłam w progu łazienki. Anaïs siedziała tyłem do mnie, skupiona na słowach, które śpiewała:

Śliczna moja, daj całusa!,

*wykrzyknął on
i wziął, co chciał.
To nie prośby ton.
Wiwat miłość, wiwat bzy.*

– Pchełko, kto cię nauczył tej piosenki?

*Miejsce zachwyciło mnie,
imię Anaïs.
To prawdziwy raj
i ludzie, i kraj.
Wiwat Anaïs, wiwat Anaïs.*

Moja córka wreszcie się odwróciła i spojrzała na mnie z anielskim uśmiechem.

– Nikt!

– Jak to nikt? Przecież nie ułożyłaś sama tej piosenki.

– Ułożyłam, mamusiu.

Kłamczucha, chciałam powiedzieć.

Élise nie śpiewała jej takich rzeczy. Angelo też nie, poza tym dziś był w Saint-Valery. A Anaïs nie umie czytać.

– Śpiewaj dalej, to było ładne.

Anaïs nic już nie powiedziała, jej oczy przygasły. Od incydentu z Adèle często jej się to zdarza.

Drżała, więc szybko owinęłam ją ręcznikiem.

*

Później, wieczorem, kiedy Anaïs myślała, że jest sama w pokoju, znów zaczęła śpiewać. Tę samą piosenkę. Słuchałam, nie zbliżając się i nic nie mówiąc. Im była starsza, tym bardziej upodobniała się do Ruy. Nadąsana marzycielka; urocza i wymykająca się.

*Miejsce zachwyciło mnie,
imię Anaïs,*

zawołał...

Słowa piosenki rozbudziły moją obsesję. O kim mówią? O Anaïs Aubert, znowu o niej? Ta zjawia była wszędzie.

10

Veules-les-Roses, 23 stycznia 2016

Szpiegują mnie!

Teraz to już pewne. Nie mam żadnych tropów, żadnych dowodów, ale wiem, że tak jest. Trudno to wyjaśnić, lecz w tym domu czuje się spojrzenie na karku. Można się pomylić raz, jednak nie dzień w dzień, nie stale. Ktoś krąży po domu, zakrada się do mnie, chodzi za mną, obserwuje w każdym pomieszczeniu.

Powiedziałam o tym Martineau. Nie przejęłam się, kiedy obrzucił mnie drwiącym spojrzeniem. Nie zostawiłam mu wyboru.

– Przetrząśnie pan pomieszczenie po pomieszczeniu, każdy kąt!

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „W końcu to pani płaci”. Przeszukał dom od piwnicy po dach. Chodziłam za nim jak cień, nie spuszczałam go z oka, poświęcił na to całe przedpołudnie.

Na próżno!

Nie znalazł ani kryjówki pod terakotą, ani drzwi ukrytych w murze, ani wejścia do tunelu, ani szafy ze skrytką.

Nic!

– Nie jesteśmy u Arsène’a Lupin – skomentował krótko.

Tylko że ja wiedziałam, co mówię!

Ktoś do mnie wchodził, śledził każdy mój krok, tropił mnie.

I była to istota z krwi i kości.

Nie duch Anaïs Aubert...

*

Znów spotkałam Alexandre’a. Koniecznie chciał pokazać mi słynną grootę Victora Hugo. W końcu się zgodziłam, doskonale wiedząc, że to miejscowa technika podrywania, z pewnością stosowana już

dziesiątki razy wobec innych dziewczyn. To, co tutejsi ludzie nazywają grota Victor Hugo, w rzeczywistości jest wyżłobioną w klifie jamą o wymiarach dwa na trzy metry. Prowadzą do niej trzy stopnie, a stary pisarz upodobał sobie to miejsce, bo mógł się tu skupić, patrząc na morze. Willa jego przyjaciela Paula Meurice'a, u którego mieszkał, znajdowała się nieco wyżej, w miejscu obecnej restauracji Victor Hugo.

*

Alexandre, jak niegdyś Victor, miał rację: z grotty widok na długi łuk linii brzegowej jest niesamowity... mimo że we dwoje trudno się tu pomieścić.

– Ariane, czy słyszała pani, że w Veules opowiadają o tym, jak miejscowy wielbiciel Victora Hugo napisał jego nazwisko na piasku? – szepnęła Alexandre. – „Popatrz”, powiedział wówczas jeden z przyjaciół Hugo. „Morze zaciera twoje nazwisko”. – Alexandre jeszcze bardziej przysunął się do mnie i dodał: – „Nie zaciera go”, odparł Hugo. „Ono je poniesie!”.

Jego niebieskie oczy usiłowały spotkać się z moimi. Przez moment myślałam nawet, że mnie pocałuje, tam, w tej kredowej alkwie. Intuicja musiała mu jednak podszeptać, że poczynał sobie nieco zbyt śmiało i mógłby oberwać otoczakiem w twarz; cóż, to byłby odruch...

Spędziliśmy tam prawie godzinę, oparci o siebie w alabastrowej dziurze, a potem rozprostowaliśmy kości podczas długiego spaceru po klifie. Wystarczająco długiego, żeby okazało się, że fircyk nie jest już taki zabawny, kiedy wyczerpie repertuar dziesięciu ulubionych dowcipów, a jego komplementy brzmią bardzo banalnie (prawdę mówiąc stwierdzenie, że w tych dzinsach, swetrze, zimowej kurtce i szaliku jestem zgrabna, było wysoce ryzykowne). Muszę natomiast przyznać, że Alexandre'a wyróżnia jego autentyczna, głęboka pasja i to jest w nim fascynujące – ten człowiek kocha lokalną historię, zwłaszcza to, co wiąże się z Anaïs Aubert.

Wyjaśnił mi, że dom, w którym zamieszkałam, należał do pewnego

rybaka i jego żony, u których zatrzymała się Anaïs Aubert, kiedy w roku 1826 po raz pierwszy przyjechała do wsi. Gościnność miejscowych była jedną z iskierek, które rozbudziły jej miłość do przyszłego kurortu.

Sama nie wiem, czemu ta informacja tak mnie wzburzyła.

Nie kupiłam domu w Veules przypadkiem. To Élise i Angelo wzięli na siebie negocjacje z agentem nieruchomości Xavierem Poulainem. Sama, będąc w Nanterre, nie zdołałabym załatwić tej sprawy. Ponoć nieruchomości w Veules wynajmuje się i nabywa tylko w kręgu wtajemniczonych. I nie dopuszcza się do niego nikogo, kto nie zostanie wprowadzony.

*

Wspinaliśmy się po betonowej ostrodze, którą ludzie próbują usidlić osuwające się na północ otoczaki, gdy, korzystając z krótkiej przerwy w tyradzie o impresjonistach i Veules, wspomniałam postój przy wodopoju w dniu przyjazdu przed prawie dwoma tygodniami. Powiedziałam o tym, jak porzuciłam pandę, nie zamykając żadnych drzwi. I nagle z ust Alexandre'a popłynęły strumienie słów. Jego głos odbijał się echem od falezy. Znów szczegółowo opowiadał mi o tej sławetnej „tajemnicy Anaïs Aubert”, o sekrecie, który zabrała z Paryża do Veules dyliżansem, by ukryć go tutaj, gdzieś w wiosce. W pewnej chwili odniosłam wrażenie, że Alexandre nie patrzy już na mnie jak na obiekt pożądania, że z równym zapalem mógłby wygłaszać ten monolog przed ostrygą.

– Jaki to może być sekret, Ariane? Zdaje sobie pani sprawę?! Od dzieciństwa, od zawsze słyszę tylko o nim. Gdzie Anaïs Aubert mogła go ukryć?

Przemknęło mi przez myśl, że Alexandre zaczepił mnie przedwczoraj tylko dlatego, że mieszkam w pierwszym domu, w którym zatrzymała się tu Anaïs Aubert. Że interesuję go wyłącznie ze względu na pamięć o tej aktorce... I już prawie marzyłam, żeby wziął mnie za rękę, żeby objął mnie w pasie, żeby ciężarem swego

torsu przygniótł moje piersi. Wtedy z radością posłałabym go do diabła. Ale ten prostak nie wykonał żadnego niestosownego gestu.

Wracaliśmy do wsi. Rozmyślałam nad tym, równocześnie słuchając, jak Alexandre opowiada, że Victor Hugo posunął się nawet do przedłożenia Zgromadzeniu Narodowemu projektu ustawy mającej zapewnić ochronę klifom Veules. Miałam do czynienia ze spryciarzem, z zawodowym uwodzicielem. Nie jestem naiwna. Możliwe, że czarował mnie cierpliwie tajemnicami tej swojej aktoreczki. I muszę przyznać szczerze: *podoba mi się ta metoda!*

*

No cóż, to było wczoraj.

Pożegnałam się z Alexandre'em na plaży i wróciłam do domu; znów malowałam, w tym samym pomieszczeniu, w którym pracował Martineau, rozbijając gips-kartonowe ścianki. Raz po raz, z irytującym uśmiechem, zerkał na moje żółwie, koty, fale uderzające w klif, zachody słońca i tęcze. Jakby uważał mnie za rozkapryszoną smarkulę, która szybko, bardzo szybko, miała zderzyć się z twardymi realiami życia.

*

A potem Martineau znalazł list. List Mélingue'a do Anaïs Aubert. I wszystko się zmieniło.

11

Veules-les-Roses, 23 stycznia 2016

Ustawiłam komputer pod jedynym oknem dachowym. Serfowałam po internecie w świetle słabej żarówki wiszącej pod sufitem pośrodku pokoju. Przetestowałam już wszystkie zakątki domu i stwierdziłam, że w tym miejscu zasięg 3G jest najlepszy. Wciąż myślałam o liście Mélingue'a do Anaïs Aubert.

Cokolwiek by się działo, słodka Anaïs, proszę się nie obawiać. Pani sekret jest tu dobrze strzeżony. Spoczywa w rękach, które są Pani drogie.

*Pani wierny muszkieter
Mélingue*

Anaïs spała w sąsiednim pokoju. Moje palce biegały po klawiaturze. W przeciwieństwie do Anaïs Aubert Mélingue trwale zapisał się w historii i... internecie. Z informacji w sieci wynikało, że był najpopularniejszym aktorem swoich czasów, a jak się dowiedziałam, grał we wszystkich znaczących sztukach Aleksandra Dumas – *Młodości muszkieterów, Królowej Margot...* Nosił imiona Étienne-Marin, a czasami zajmował się także rzeźbiarstwem i malarstwem.

Serdeczny przyjaciel Anaïs Aubert do Veules-en-Caux przyjechał na jej zaproszenie. Zakochał się w tej okolicy od pierwszego wejrzenia. Kupił trzysta metrów wybrzeża, by wybudować operetkową willę, Belle Auberge de d'Artagnan – drobne szaleństwo barokowej architektury, zainspirowane teatralnymi dekoracjami. Willę Mélingue'a zburzono w roku 1925, a na jej miejscu powstał... parking! Ciskam obelgami, choć świadkiem są mi tylko gwiazdy na niebie. Ludzie są naprawdę głupcami. Wspaniałe role Mélingue'a poszły

w zapomnienie. Pozostała po nim tylko ulica i plac w Veules. Dziś noszą jego nazwisko, ale żaden turysta nigdy wcześniej o nim nie słyszał. W półmroku do mych uszu dochodzi tylko stukanie klawiatury pod moimi palcami. To jakby nocą, drobnymi kroczkami, biegła po chodniku myszka.

W liście Mélingue'a jest wzmianka o niejkiej Amy Robsart. Google mógłby mówić o niej bez końca! Mam wrażenie, że internet to niewyczerpane źródło wiedzy, z którego czerpiemy, by maskować luki w naszym wykształceniu. Amy Robsart była żoną niejkiego Roberta Dudleya, który żył w szesnastym wieku i był faworytem królowej Elżbiety I. Królowa Anglii rozważała małżeństwo z przystojnym Robertem do dnia, gdy ciało Amy Robsart odnaleziono przy schodach w jej domu. Morderstwo? Samobójstwo? Na angielskim dworze wybuchł skandal. Zagadka śmierci Amy Robsart długo wzbudzała żywe zainteresowanie, ponieważ stała się inspiracją dla znanych pisarzy, w tym Waltera Scotta, a także Paula Fouchera, szwagra Victora Hugo. Jego sztukę wystawiono 13 lutego 1828 roku. Niestety, okazała się kompletną klapą!

Połączenie z internetem stawało się coraz słabsze. Na każde wyszukiwanie czekałam w nieskończoność. Irytowało mnie to. Co mogłoby wiązać Veules, Mélingue'a i Amy Robsart? Studnia wiedzy, na pozór bez dna, czasem okazuje się sucha i lepiej sięgnąć do zwykłej książki na dany temat. Mimo to cierpliwie prowadziłam poszukiwania. Mélingue wspomniał też w liście tytuł *Król się bawi*. Google wszystko wyjaśnił i tym razem związek był oczywisty. *Król się bawi* to jeden z pierwszych dramatów Victora Hugo, wystawiony 22 listopada 1832 roku. To była istna katastrofa. Wygwizdany przez publiczność, jednomyślnie wydrwiony przez krytyków, dodatkowo Hugo musiał pogodzić się z rządowym zakazem wystawiania sztuki, wydanym nazajutrz po premierze, a to z powodu aluzji politycznych. Najwyraźniej nawet wielki Victor miał trudne początki!

Zawahałam się.

Co robić?

Siedzieć tu i poświęcać noc na przeglądanie różnych stron, uganiać się za chimerami? Tylko za jakimi chimerami? Przekazać list

Mélingue'a historykowi, by poddał go ekspertyzie? Oczywiście, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Przy odrobinie szczęścia mogłabym zrobić sobie trochę reklamy przed otwarciem sklepu. Ale nie znałam żadnego historyka... A...

Uniosłam głowę ku gwiazdom. Mam ważniejsze sprawy. Od przyjazdu do Veules wciąż coś mi się wymyka. Za dużo tych tajemnic, za dużo zbiegów okoliczności, takich jak list znaleziony w szczelinie muru, niby to przypadkiem. Dłużej się nie zastanawiałam. Wzięłam do ręki komórkę i połączyłam się z ostatnim numerem z listy kontaktów.

Alexandre.

Nikt nie odebrał, a po chwili odezwała się poczta głosowa.

– Alexandre, mówi Ariane. Musimy się zobaczyć. Jutro, jeżeli to możliwe. To nic poważnego. Dokonałam... pewnego odkrycia. Znalazłam coś, co szalenie pana zainteresuje.

I rozłączyłam się.

Jak długo siedziałam z twarzą ukrytą w dłoniach?

*

Ostry dźwięk rozdarł noc.

Telefon. Nie mój, ten stacjonarny, w sypialni.

Podbiegłam, podniosłam słuchawkę, byle szybciej, byle tylko ten hałas nie obudził mi dziecka.

Głos, tylko głos. Zimny. Kategoryczny.

– Idiotko! Nic nie mów. I nikomu nie ufaj!

Ten ktoś już się rozłączył.

Drżałam całym ciałem. Krople potu spływały mi po nogach. Złodowaciałe stopy zostawiały na zimnej posadzce mokre ślady.

12

Veules-les-Roses, 24 stycznia 2016

Umówiłam się z Alexandre'em przy steli Victora Hugo, tuż obok ruin kościoła Saint-Nicolas, skupionych wokół gresowego krzyża. Alexandre się spóźnił, toteż wykorzystałam czas oczekiwania, by dokładnie przyjrzeć się ogromnemu freskowi z brązu, ukazującemu pisarza w otoczeniu dziesięciorga jego bohaterów: Esmeraldy, Quasimoda, Cosetty, Gawrosza... Godzinę wcześniej odwiozłam Anaïs do dziadków. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Czuję, że te wydarzenia atakują mnie jak sztorm falezę, a ja słabnę pod naporem fal.

*

Alexandre wyrósł przede mną jak spod ziemi. Był zadyszany.

– O co chodzi, Ariane? Przybiegłem tu, odwołałem nawet rejs, na który umówiłem się z przyjaciółmi z Antifer. Niech pani mówi, co pani znalazła?

Wahałam się przez chwilę, mimowolnie myśląc o anonimowym telefonie w środku nocy.

Idiotko! Nic nie mów. I nikomu nie ufaj!

Trudno! Podałam Alexandre'owi list Mélingue'a. Chwycił go, a z jego twarzy wyczytałam zdumienie. Potem pożerał oczyma pisane odręcznie słowa, nie przerywając ani na chwilę. Zmarszczył brwi, a z szeroko otwartych ust wyrwało się:

– Mój Boże, mój Boże.

Alexandre przeczytał list jeszcze raz, i znowu.

– Alexandre?

Jakby mnie nie było.

– Alexandre?!

Krzyczałam.

Ze złości, ze zmęczenia, ze strachu.

Wreszcie na mnie spojrział.

– Chodźmy!

Alexandre ciągnął mnie za rękę, ale nie opierałam się. Przemierzyliśmy całą wieś, niemal biegnąc. Rue de la Mer, place des Écossais, kwadratowa wieża kościoła Saint-Martin, fabryka tkanin. Rozpoznałam kuty w żelazie szyld.

Biblioteka w Veules.

– Proszę iść za mną – szepnął znowu Alexandre.

Trzasnęły drzwi niskiej chaty.

– Cześć, Mado! – Alexandre powitał siedzącą przy biurku bibliotekarkę.

Pomyślałam, że ta kobieta nie ruszyła się z miejsca od tygodnia. Z koczka nie wysunął się jej nawet jeden włos. Kiedy szliśmy do działu poświęconego miejscowej historii, spojrzałam na Alexandre'a i zapytałam:

– Co to za cyrk?

– Nie uwierzyłaby mi pani, toteż chcę od razu pokazać dowody. Proszę usiąść.

Osunęłam się na krzesło i głęboko oddychałam. Alexandre stanął na palcach, chwycił dużą książkę w twardej oprawie i położył ją przede mną na stoliku. Ledwie zdążyłam przeczytać: *Ilustrowana encyklopedia francuskiego teatru romantycznego w XIX wieku.*

– Proszę posłuchać, Ariane. Wiemy, że Anaïs Aubert uciekła z Paryża w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym. Ale dlaczego? Zawód miłosny? Porażka w teatrze? Pewnie szperała pani w internecie, prawda? I nic, absolutnie nic nie da się znaleźć! Poświęciłem na to całe lata, szukałem w archiwach, w zbiorach kolekcjonerów, we wspomnieniach dawnych historyków. Ariane, proszę mi wierzyć, ten list, który pani znalazła, potwierdza wszystkie moje domysły. Moją szaloną hipotezę.

Alexandre zerknął podejrzliwie na nieruchomą jak manekin bibliotekarkę i zniżył głos, jakby się bał, że poniesie go euforia.

– W liście, który pani znalazła, Mélingue pisze o Amy Robsart.

– Tak, chodzi o sztukę napisaną przez szwagra Victora Hugo, Paula Fouchera.

Alexandre parsknął pogardliwym śmiechem.

– Nic z tych rzeczy! Nigdy nie należy ograniczać się do tego, co znajdziemy w internecie. Tak naprawdę Victor Hugo, mając dziewiętnaście lat, napisał trzy akty sztuki *Amy Robsart*, a pomagał mu w tym niejaki Soumet, który miał napisać dwa kolejne. Ale ten Soumet uznał, że akty napisane przez młodego i biednego Hugo są kiepskie, ponieważ łączą... jego zdaniem nieudolnie... tragedię z komedią. Krótko mówiąc, był rok tysiąc osiemset dwudziesty drugi, kiedy tekst wylądował w szufladzie. Dopiero sześć lat później szwagrowi Hugo, Paulowi Foucherowi, przyszło do głowy poprosić o „przekazanie” mu młodzieńczej sztuki, którą pisarz ponoć zamierzał spalić. Hugo się zgodził. A nie powinien! Jedyne przedstawienie okazało się wielką porażką Paula Fouchera, co rykoszetem odbiło się także na Victorze Hugo. Dopiero w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym, cztery lata po śmierci Hugo, sztukę ponownie wystawiono... I domyśla się pewnie pani, że tym razem została uznana przez wszystkich krytyków za arcydzieło!

Rzuciłam płaszcz na sąsiednie krzesło. Zaczynałam się niecierpliwić. W końcu doszłam do wniosku, że wolę Alexandre’a windsurfera z mokrym torsem od Alexandre’a erudyty, obojętnego na resztki mego kobiecego czaru.

– Niech będzie, Alexandre. Ale co to ma wspólnego z Veules-les-Roses?

Alexandre podsunął mi *Ilustrowaną encyklopedię francuskiego teatru romantycznego w XIX wieku*. Przewracał kartki, szukając rozdziału poświęconego *Amy Robsart*.

– Ładne, prawda? Kostiumy projektował przecież Eugène Delacroix. Niesamowite! Ale niech pani spojrzy. Proszę zobaczyć, kto grał rolę Amy Robsart w pierwszym przedstawieniu.

Pochyliłam głowę i spojrzałam na listę postaci oraz aktorów.

Anaïs Aubert jako Amy Robsart.

O Boże!

– To nie wszystko.

Alexandre ujął mnie za rękę i powiedział jednym tchem:

– Przejdźmy do *Król się bawi*. Rok tysiąc osiemset trzydziesty drugi. To druga bolesna porażka Hugo w teatrze. Ale tym razem już nie pod fałszywym nazwiskiem!

– Tak, tak – wpadłam Alexandre’owi w słowo. – Czytałam o tym w internecie. Sztuka była kiepska. Jeden jedyny spektakl. I kłapa!

Alexandre o mało się nie udławił.

– *Król się bawi* to ma być kiepska sztuka? Przyznaję, że grano ją tylko raz, ale czy pani wie, że dwadzieścia lat później Verdi wykorzystał ją, tworząc operę? *Rigoletto!* Jedna z najsłynniejszych oper świata! Nie, tak naprawdę niepowodzenie *Król się bawi* miało dwa powody, tylko dwa powody.

– Jakie? – poczułam się zobowiązana zapytać, niczym pilna uczennica.

– Po pierwsze, względy polityczne. Bohater dramatu *Król się bawi* i *Rigoletta* to pokraczny błazen, który otwarcie kpi z monarchii.

– Zrozumiałam. A drugi powód?

Alexandre znów podsunął mi pod nos encyklopedię i zaczął przewracać kartki. Ciągnął tym samym mentorskim tonem:

– Hugo napisał klasyczną tragedię. Nadworny błazen Trybulet kocha do szaleństwa swoją córkę, Blankę. To wielka dramatyczna rola! Król Franciszek I porywa Blankę i próbuje ją uwieść. Królewskie prawo pierwszej nocy! Dlatego błazen Trybulet pragnie zemsty, chce zgładzić króla, ale Blanka zapobiega zamachowi i ginie zamiast niego... z ręki zabójcy wynajętego przez własnego ojca! Mroczna romantyczna tragedia. A kto, pani zdaniem, grał Blankę?

Znałam już odpowiedź.

W roli Blanki, córki Trybuleta, panna Anaïs.

– Proszę czytać – nalegał Alexandre. – Proszę przeczytać recenzję.

Przeglądałam długi komentarz o poprawkach wprowadzonych przez Hugo po to, by zwieść cenzurę i zyskać przychylność krytyków: *Przeróbki w akcie II obejmują usunięcie niemal wszystkich szczegółów porwania Blanki: ze sceny wykreślono: „Panna Anaïs z głową w dole i nogami w górze”.*

Tego już było za wiele.

– Alexandre, niech pan przestanie bawić się ze mną w kotka i myszkę. Jaka właściwie jest ta pańska teoria?

Na twarzy Alexandre'a pojawił się szeroki uśmiech. Położył palec na ustach i zerknął kątem oka na posągową bibliotekarkę.

– To będzie nasz sekret, zaufam pani. O ile mi wiadomo, żaden znawca Victora Hugo nie wysunął nigdy hipotezy opierającej się na tym, co pani wyjawię.

Ta jego ostrożność doprowadzała mnie do szału.

– Niech pan mówi!

– Dobrze, Ariane, dobrze. Jak powszechnie wiadomo, Victor Hugo urodził się w roku tysiąc osiemset drugim. Dziewiętnasty wiek miał wówczas dwa lata! W którym roku, pani zdaniem, urodziła się Anaïs Aubert?

Milczałam, postanowiłam, że nie będę już bawić się w zgadywanki.

– W tysiąc osiemset drugim! Tak jak Hugo! Podsumowuję to, co wiemy, Ariane. Victor Hugo był najbardziej obiecującym młodym pisarzem romantycznym w Paryżu. Panna Anaïs najładniejszą paryską aktorką. Przyszli na świat, żeby się spotkać. I tak się stało, przedstawiłem pani na to dowód historyczny: młody Victor Hugo powierzył panie Anaïs dwie pierwszoplanowe role w swoich dramatach. Jeśli się nad tym zastanowić, to wręcz niewiarygodne! Anaïs Aubert była znana z ról subretek w Comédie-Française. Jules Truffier powiedział nawet, że nie potrafiła sprostać rolom tragicznym. Toteż podstawowe pytanie brzmi: dlaczego młody, utalentowany Victor Hugo zrzucił na barki aktorki, która do tego nie dorastała... ślicznej Anaïs... główne role w swoich dwóch pierwszych wielkich tragediach?

Niemal krzyknęłam:

– Bo z nią sypiał!

– To oczywiście – triumfował Alexandre. – Anaïs Aubert była kochanką Hugo! Wiem, specjaliści powiedzieliby pani, że długo kochał swą niewierną żonę Adèle. Nie potrafię w to uwierzyć! Hugo przez całe życie miał kochanki, rzadko zdarza się, by ktoś z dnia na dzień, w zaawansowanym wieku, odkrył, że jest kobieciarzem. Ariane,

proszę mi uwierzyć: Anaïs Aubert była kochanką Victora Hugo. Pisarz rzucił ją po roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim i niepowodzeniu sztuki *Król się bawi*. Drugiej scenicznej porażce po *Amy Robsart*. Dwie klapy spowodowane między innymi żalostną grą panny Anaïs. Kilka miesięcy później Hugo został kochankiem Juliette Drouet. Nowa kochanka przepędziła starą.

– Alexandre, przyznaję, że to spójna hipoteza. Ale rok tysiąc osiemset dwudziesty szósty? Co się wydarzyło w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym?

Alexandre uważnie rozejrzał się po bibliotece. Wyglądał jak drapieżny ptak wypatrujący ofiary.

– Teraz już wiemy, że w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym piękna aktorka uciekła przed kochankiem, czyli właśnie Victorem Hugo. Zapewne nigdy nie dowiemy się, co ich skłóciło. Hugo był wówczas świeżo upieczonym ojcem, być może ogarnęły go skrupuły, a może Anaïs żądała od młodego człowieka czegoś więcej niż rola kochanki. Wiem natomiast, że... – Jego głos brzmiał teraz bardzo poważnie. – Odkryłem to po latach poszukiwań, w liście Jules’a Truffiera, człowieka teatru, przyjaciela Hugo, Mélingue’a i miłośnika Veules-les-Roses. Truffier nakreślił niezbyt pochlebny portret Anaïs Aubert, twierdząc, że miała więcej wdzięku niż talentu, rozumie pani, co to znaczy. Ale przede wszystkim...

Alexandre znów się zawahał. Musiałam ciągnąć go za język. Niechże mówi, choćby aleksandrynem!

– Ale przede wszystkim... – zawiesił głos. Po chwili wyrzucił z siebie jednym tchem: – Ale przede wszystkim Truffier sugerował... podobnie zresztą jak Mélingue w liście, który pani znalazła... że Anaïs Aubert ukryła w Veules jakąś tajemnicę, sekret, z którym uciekła. Tyle że Truffier był znacznie bardziej precyzyjny od Mélingue’a.

Alexandre zrobił kolejną długą jak wieczność przerwę. Westchnęłam, a on podjął:

– Truffier utrzymywał, że powodowana zazdrością Anaïs Aubert ukradła młodemu Hugo manuskrypt! Oryginał dramatu, powieści czy eseju, tego nie wiadomo. W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym Hugo pracował nad *Cromwellem*. Anaïs mówiła swemu

otoczeniu o tajemniczym tekście, który wykradła. Właśnie tego rękopisu poszukuję od lat. Przez całe życie!

Milczałam, nie mając nic do powiedzenia. Zaparło mi dech w piersi.

*

Alexandre mówił jeszcze bardzo długo. Ponad godzinę. Gubił się w domysłach dotyczących tajemniczego manuskryptu, ukrytego gdzieś w Veules-les-Roses w roku 1826. Jego rozważania skupiały się zresztą bardziej na finansach niż wartości historycznej czy kulturowej tekstu. Ile mógł być wart rękopis Victora Hugo? Nieznane dzieło pisarza być może najślawniejszego na świecie? Miliony? Dziesiątki milionów? Tyle, ile płótna mistrzów? A może nawet więcej?

*

Stopniowo docierało do mnie, że nikt poza mną nie zna tajemnicy, którą dzieliłam z Alexandre'em. A wszystko za sprawą listu Mélingue'a. Poczulałam się, jakby runęły na mnie skały.

Wplątałam się w jakąś obłąkańczą historię!

13

Veules-les-Roses, 25 stycznia 2016

Dziś rano zasnęłam. Anaïs nie była jeszcze ubrana, nie jadłyśmy śniadania. Dopiero brałam prysznic. Tej nocy znowu przespałam ledwie trzy godziny. Jeżeli dalej tak pójdzie, to długo nie wytrzymam.

Woda była letnia.

W tej ruderze wszystko nawalało. Prysznic zalewał całą łazienkę, a do wanny trafiały marne resztki wody. Choć tego nie chciałam, odtwarzałam w pamięci to, co powiedział mi Alexandre. Anaïs Aubert, kochanka Victora Hugo, ukradła manuskrypt, wywiozła go daleko, bardzo daleko, ukryła na krańcu świata.

Woda nie była już letnia, ale zimna. Próbowałam palcami skierować ją tak, żeby w końcu opłukać włosy.

Tu, w tym domu, obecnie moim, Anaïs Aubert nocowała w roku 1826. Próbowałam myśleć logicznie. Przecież to wszystko tylko spekulacje, czyste szaleństwo. Za cztery miesiące miałam otworzyć sklep. Musiałam malować, i to dużo. A poza tym czekałam na przyjście Martineau.

*

Rozdzwonił się telefon.

I natychmiast poczułam strach. Przeczucie, że to znowu ten głos.

Wyskoczyłam z wanny, nie przejmując się mokrą posadzką, na której łatwo się pośliznąć, ani nie osłaniając się ręcznikiem. Przeszłam przez pokój i chwyciłam słuchawkę. Byłam naga, i co z tego?

Anaïs nie było w pokoju, pewnie bawiła się w kuchni.

Przytknęłam słuchawkę do ucha.

Głos, który w niej rozbrzmiał, zmroził mnie. Już go słyszałam. Ale

tym razem był spanikowany.

– Pani córka, na Boga! Pani córka w kuchni!

Przeraźliwie krzyknęłam, rzucając słuchawkę, i pobiegłam ile sił w nogach.

W kuchni kłęby pary przysłaniały wszystko. Słyszałam tylko gwizd gotującej się wody, gdy nagle ujrzałam tę scenę, jak zatrzymaną w kadrze.

Anaïs stała na krześle. Uchwyt rondelka dzieliło od jej rączki tylko kilka centymetrów. Rozpaczliwie krzyknęłam:

– NIE!

Jej paluszki prawie dotykały garnka.

Jeszcze jeden krzyk. Rozdzierający.

– NIE, ANAÏS!

Rączka zamarła w powietrzu. Krzesło przechyliło się, przez moment miałam wrażenie, że upadnie na kuchenkę, ale jego nogi znów dotknęły posadzki. Jedną ręką chwyciłam Anaïs, drugą odsunęłam rondelk i zakręciłam gaz.

– Maleństwo, moje maleństwo...

Czułam bicie jej serca tuż przy moim.

– Mamusiu, zmoczyłaś mnie.

Byłam naga i mokra.

Nie nadawałam się na matkę. Kompletna wariatka.
Nieodpowiedzialna.

*

Słuchawka zwisała nad podłogą.

Podniosłam ją i przytknęłam do ucha.

Po tamtej stronie nikogo już nie było.

W kuchni też nikogo nie było.

Tak jak w domu.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że jestem goła. Ktoś mnie obserwował, pod prysznicem, w łóżku, w każdej sytuacji.

Ktoś naruszał moją intymność.

Kto?

Jakiś perwersyjny potwór? Anioł stróż?

Jak to możliwe?

I ten głos, na Boga. Jestem pewna, że znam ten głos.

14

Veules-les-Rose, 26 stycznia 2016

Otworzyłam książkę telefoniczną, żółte strony, zamknęłam oczy, wyciągnęłam palec, który zatrzymał się na książce.

Zdałam się na czysty przypadek.

Przeczytałam.

Michel Delamare, mistrz murarski, Cany-Barville.

Zadzwońłam.

Rzecz jasna, ten Michel Delamare nie zrozumiał dokładnie, czego od niego oczekiwałam, ale to nic, najważniejsze było dla mnie, że miał pojawić się nazajutrz przy rue Victor-Hugo i dokonać pełnego przeglądu murów, podłóg, strychu. Z rozpędu zadzwoniłam też do Martineau i powiedziałam, żeby jutro nie przychodził. On również nie rozumiał, o co chodzi. Narzekał jak zwykle, twierdząc, że w ten sposób nie zdoła na czas wyremontować sklepu.

*

Kolację zjadłam z Claire w La Marine. Byłyśmy w naleśnikarni same. Na horyzoncie nawet nie majaczył żaden potencjalny klient. Podobnie jak ja, Claire usiłowała przetrwać zimę i czekała na majowe weekendy z ogromną niecierpliwością. Claire samotnie wychowywała czteroletniego synka, Toma; w ubiegłym roku, przed pójściem do przedszkola, chłopczyk pozostawał pod opieką Élise.

Gdy jadłyśmy, Anaïs i Tom bawili się razem, klęcząc przed pudłem klocków Lego. Claire wygospodarowała w restauracji kącik zabaw, jak w poczekalni u lekarza: zabawki w skrzyni, czasopisma na niskim stoliku, biblioteczka z książkami.

Delektowałam się naleśnikiem z przegrzebkami, porem i sosem

dieppeńskim. Nie wiem, jakie naleśniki Claire podaje w pełni sezonu, ale te zimowe to niebo w gębie! Chociaż nigdy nie piłam, teraz opróżniałam duszkiem trzeci kieliszek cydru.

A później opowiedziałam Claire o wszystkim. Po prostu, bez powodu. Pewnie dlatego, że czułam się zmęczona, samotna, wystraszona. Wyrzuciłam z siebie wszystko. List Mélingue'a, tajemnica Anaïs Aubert, anonimowe telefony, piosenki Anaïs... śmierć Adèle.

Claire długo na mnie patrzyła jak psycholog próbujący rozszyfrować nietypowego pacjenta, zagryzała wargi, a potem powiedziała jednym tchem:

– Niewiele o tym wszystkim wiem. Prawdę mówiąc, nie nadałam już za tymi twoimi historiami o manuskrypcie Victora Hugo, o teatralnych występach panny Anaïs, o duchach, które przechodzą przez ściany twojego domu z telefonem komórkowym w kieszeni. Za to o Alexandre mogę ci powiedzieć jedno: miej się przed nim na baczności!

Zaskoczyła mnie tą radą.

– Claire, co chcesz przez to powiedzieć?

Zaczerwieniła się. A właściwie zapłonęła. Claire jest niebrzydka, dość pulchna, ma duże jasne oczy, upstrzone piegami policzki i gęste, kręcone włosy, które powodują, że jej głowa wydaje się idealnie okrągła. Jak się to tutaj mówi: ma miłą buźkę. Odkaslnęła, opróżniła – jak ja przed chwilą – kieliszek cydru i zaczęła:

– Widzisz, Ariane, moja historia samotnej matki jest znacznie mniej romantyczna niż twoja przygoda z Ruy, który odfrunął na kraj świata. Tata Toma... nie trzeba przeprowiać się przez morze, żeby go odnaleźć. Pracuje w centrali jądrowej w Paluel i zarabia dość, żeby remontować stary dom w Blosseville, jakieś dziesięć kilometrów stąd, a równocześnie wypłacać alimenty dwóm innym gęsiom, które nabrał tak jak mnie.

Roześmiałyśmy się obie. Wyskoczył korek drugiej butelki cydru. Uniosłyśmy kieliszki, szkło zadźwięczało.

Zdrowie łajdaków!

Zaraz potem podchwyciłam:

– Ale co z Alexandre’em? Czego dotyczy twoja przestroga?

– Jak wolisz go nazwać? Podrywacz? Kobięciarz? Pasożyt? Nie wiedziałam, że ma takiego fioła na punkcie tej aktorki i książki Victora Hugo, ale właściwie mnie to nie dziwi.

Ostatnia mała świętego Jakuba. I łyk cydru.

Delektuję się smakiem. I smaczkami.

– Zaliczyłaś go?

W odpowiedzi Claire uśmiechnęła się, zawstydzona, a setki uroczych piegów na jej twarzy znów mocniej się zaróżowiły.

Przyparłam ją do muru:

– Jestem pewna, że tak!

Claire udawała wstydliwą. Nie ustępowałam:

– Claire, nie jestem zazdrosna, ten facet nic mnie nie obchodzi.

– Tylko raz, wieki temu. Tom miał niecały roczek. Ale wiem, co mówię, Ariane. Uważaj na niego.

Znów się roześmiałyśmy. Wstałam i poczułam, że nogi lekko się pode mną uginają. Od lat nie miałam w ustach kropli alkoholu. Podeszłam do Anaïs i Toma. Wszędzie porzucali klocki, a także czasopisma i kilka książek.

Zobaczyłam ją niespodziewanie. I już nie mogłam oderwać od niej oczu.

Książka!

Nie mogłabym nie rozpoznać *Spacerowiczów z Veules*.

Pochyliłam się, chwyciłam broszurę i gorączkowo przerzucałam kartki.

Strona 42. Fotografia z przyjęcia Victora Hugo. Ta, którą przede mną ukrywają, odkąd tu jestem.

Znowu nic!

Nie było strony 42... Tylko ślad po wyrwanej kartce.

Ściany naleśnikarni tańczyły mi przed oczyma. Kiedy skończy się to szaleństwo?

Odwróciłam się do Claire i krzyknęłam:

– Dlaczego?! Dlaczego ta strona jest wyrwana?!

Anaïs i Tom dziwnie na mnie patrzyli. Claire, która sprzątała naczynia, wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, to stara książka.

Ale nie uspokoiłam się:

– No właśnie. Powiedz mi, co taka książka robi w naleśnikarni?

Claire odpowiedziała ostrym tonem, już naprawdę zdenerwowana moimi bredniami:

– Nie wiem. W tej wsi każdy ma tę książkę w domu, na półce albo na strychu.

15

Veules-les-Roses, 27 stycznia 2016

Michel Delamare, murarz z Cany-Barville, przyjechał dziś rano. Krok w krok za brzuchatym sześćdziesięcioletkiem chodził piękny jak młody bóg dwudziestoletni uczeń. Delamare sprawdził wszystko, od podłogi po sufit. Sondował mury, odsuwał meble, zaglądał w każdy kąt. Poświęcił na to prawie cały dzień. Chodziłam za nim jak cień, jak drugi uczeń, ten bardziej niezdarny od przystojniaka w niebieskim kombinezonie. Im dłużej to trwało, tym szerszy uśmiech malował się na twarzy Delamare'a.

– Czego właściwie paniusia szuka? Jeżeli poluje pani na duchy, to trzeba wezwać egzorcystę, a nie murarza.

*

Okolo siedemnastej pojechałam po Anaïs. Delamare jeszcze pracował, wraz z uczniem sprawdzał fundamenty domu. Mimo sarkastycznych uwag traktował swoją pracę poważnie. Skończył okolo osiemnastej. Nie znalazł w domu żadnego tajnego wejścia. Nie trafił na najmniejszą kryjówkę. Żaden mikrofon czy kamerę, choćby miniaturową. Delamare wystawił mi rachunek na trzysta euro.

– Może być paniusia spokojna – rzucił, wsuwając czek do kieszeni.

Uczeń zebrał wszystkie narzędzia, podczas gdy majster sączył piwo, które zaproponowałam mu przez grzeczność. Potem obaj wsiedli do wozu.

Spokojna?

Nigdy nie byłam mniej spokojna. Nie wiedziałam, kiedy znów dzwonek telefonu rozedrze ciszę, a złowrogi głos powie:

A kuku, złotko, szukaj, szukaj dokładnie. Jestem tutaj, tuż obok ciebie.

*

Anaïs bawiła się w kuchni.

– Mamusiu, zobacz, zobacz.

Na szczęście miałam Anaïs, która zmuszała mnie do chwytania się strzępów rzeczywistości. Córka podała mi zeszyt.

– Zrobiłam to dziś z babcią Élise.

Moje oczy śledziły linię okrągłego pisma. Wzruszenie było zbyt silne – zalałam się łzami.

– Czy... czy to babcia napisała ten wiersz?

– Nie! – Anaïs pokręciła głową, oburzona. – Ona pisała, ale to ja wszystko wymyśliłam. Daję słowo, mamusiu.

– Wierzę ci, wierzę, kochanie.

Słowa Anaïs śpiewały, śpiewały tak pięknie, zbyt pięknie, by mogła ułożyć je mała, trzyletnia dziewczynka.

*Tańczcie, drobne fale,
Tańczcie w krąg.
Patrząc na ten radosny płas,
Pływajmy.*

*Wirujcie, małe młyny,
Wirujcie w krąg.
Patrząc na wasz trud,
Igrajmy.*

*Szukaj mamó, szukaj babciu,
Biegajcie w krąg
Lecz dobrze się schowałam,
Czekajmy.*

Przytuliłam Anaïs. W mojej skołatanej głowie duma i niedowierzanie toczyły schizofreniczny pojedynek. Anaïs nie mogła ułożyć samodzielnie tego wiersza. Dlaczego kłamała? Po co to kolejne kłamstwo, kolejna zagadka? Przypomniałam sobie słowa piosenki,

którą wciąż nuciła moja córeczka.

*Miejsce zachwyciło mnie,
imię Anaïs.*

Co tu przede mną ukrywają? Jaką tajemnicę tak zaciekle chronią mieszkańcy wsi? Wszyscy mieszkańcy!

Popadałam w obłąd.

*

Ułożyłam Anaïs do snu.

– Mamusiu, podobał ci się mój wierszyk?

– Jest najpiękniejszy na świecie, kochanie.

Jej oczy rozbliły radością. Jak mogłaby odgrywać przede mną taką komedię?

– Jutro napiszę ci nowy, mamusiu.

– Dobrze, aniołku.

Pocałowałam ją w policzek, głęboko odetchnęłam, ale głos drżał mi, jakbym czuła się winna.

– Pchełko, chciałabyś może iść jutro wieczorem do Claire i przenocować u niej? Mogłabyś pobawić się z Tomem. Chyba lubisz Toma, prawda?

Veules-les-Roses, 28 stycznia 2016

W przeciwieństwie do naleśnikarni Claire restauracja Les Galets była pełna po brzegi. Uważana przez niektórych smakoszy za najlepszą w departamencie Seine-Maritime. Zarówno zimą, jak i latem pracowała na pełnych obrotach. Wyprostowana, mocno umalowana dziewczyna wyrecytowała kompozycję pierwszej z potraw niczym wiersz Victora Hugo podczas przesłuchania do Comédie-Française.

– Ravioli z serem neufchâtel, kwiatem tymianku, młodym szczawiem, oliwą z orzechów laskowych.

Alexandre, zapraszając mnie po raz pierwszy, zadbał o wszystko. Stolik w Galets, sam na sam. Wyrzucałam sobie, że zostawiłam Anaïs u Claire, choć domyślałam się, że moja córka woli naleśniki z jajkiem i szynką od serwowanego tu wyrafinowanego menu dziecięcego za piętnaście euro.

Zgodnie ze swym zwyczajem Alexandre wziął na siebie cały ciężar konwersacji. Od pół godziny jedynym tematem jego monologu był Victor Hugo. Alexandre pochylił się w moją stronę, raczej szepcząc niż mówiąc, jakby się bał, że podsłucha nas ktoś siedzący w pobliżu albo że w kwiatkach ukryto mikrofon. Snuł najrozmaitsze hipotezy w sprawie owego manuskryptu wykradzonego przez Anaïs Aubert. W roku 1826 Hugo pisał *Cromwella*, dramat, którego nie dało się zagrać, sześć tysięcy wersów, z których tylko początkowe są znane i urosły do rangi manifestu romantycznego! Czy to ten skradziony manuskrypt? A może inna przedmowa do *Cromwella*? Nowe wersy, które wiąże się z tymi sześcioma tysiącami? Ale przecież mógł to być traktat polityczny napisany przez zapalczego młodego Hugo. Przeciwno karze śmierci. Za zjednoczeniem państw europejskich. Przeciwno monarchii.

– Sam nie wiem! – uniósł się Alexandre, zapominając w końcu o ostrożności.

Słuchałam. Gubiłam wątek. Mimowolnie uciekałam myślami do innej kolacji, którą jadłam w tej samej restauracji, kilka stolików dalej, bliżej morza. Z Ruy.

Ruy był zabawniejszy. Ruy był przystojniejszy. Ruy był...

– Ariane?

– Foie gras z kaczki z wolnego wybiegu, obsmażane i karmelizowane na tostach z chleba na zakwasie cydrowym – wyrecytowała dziewczyna.

Alexandre wreszcie zrozumiał, że zanudza mnie swoimi teoriami. Zmienił temat. No, nie do końca. Opowiadał mi, jak od dwudziestu lat wchodził do wszystkich willi we wsi, szukając jakiegokolwiek tropu! Każdy pretekst był dobry: lekcje muzyki albo tenisa dla dzieci, pielęgnacja ogrodu, naprawa starych mebli, koncerty fortepianowe albo akordeonowe podczas przyjęć. Musiał być przebiegły... letnicy nie tak łatwo otwierają drzwi przed miejscową ludnością. Te dwa światy ignorują się wzajemnie.

– Pomidory na gałązce konfitowane w cukrze, zapiekane z bakaliami i posiekаныmi świeżymi owocami.

Teraz Alexandre zrobił się bardzo dowcipny. Opowiadał, jak to – stosownie do sytuacji – zostawał kochankiem córki albo matki, przyjacielem babki, kompanem męża. Czasami wcielał się we wszystkie te postaci pod jednym dachem. Wewnętrzny głos podpowiadał mi, że Alexandre idealnie pasuje do profilu szpiega, który nawiedza mój dom. Jego obsesja, upodobanie do tajemnic, znajomość sekretów wsi, podglądanie mnie nawet pod prysznicem. Tylko że coś tu nie pasowało. Po pierwsze głos w słuchawce. Przede wszystkim jednak pomyślałam o murarzach, którzy przewinęli się przez mój dom, i o ich stwierdzeniu, z którym musiałam się pogodzić, mimo że to, co się zdarzyło, było niepodważalne – że to wykluczone, by ktokolwiek wchodził do mojego domu i się w nim ukrywał!

- Idziemy?
- Chętnie, Alexandre. To była prawdziwa uczta.

*

Z Ruy przeszliśmy wzdłuż brzegu Veules, od początku do końca, całowaliśmy się przy każdym młynie, kąpaliśmy na golasa, kochaliśmy się na opustoszałej plaży, a później znowu, w jego pokoju na mansardzie; przy śniadaniu w pergoli, przedtem, potem.

W tej chwili chciałam tylko jednego. Położyć się.

– Napijemy się na pożegnanie, Ariane?

Położyć się. Sama albo nie.

*

W czym problem? Do mojego sklepu było kilka kroków, stamtąd do sypialni kilka schodków.

Szliśmy rue Victor-Hugo. Minęliśmy naleśnikarnię Claire. Okiennice były zamknięte, nie przenikała przez nie żadna smużka światła, wszyscy na pewno już spali. Rzecz jasna pomyślałam o Anaïs.

Jeszcze trzydzieści metrów.

Zatrzymaliśmy się przed moim domem. Wsuwając klucz do dziurki, poczułam, jak usta Alexandre'a dotykają mojej szyi, a ręka wędruje po plecach.

Weszłam. Alexandre przywarł do mnie.

– Nie zapalisz światła? – szepnął mi do ucha.

– Nie. Zdecydowanie nie.

Veules-les-Roses, 29 stycznia 2016

Alexandre jeszcze spał w moim łóżku.

Była siódma rano. Już wstałam, nie chciało mi się spać. Przechadzając się po domu w bladym świetle dnia, odkryłam, że przed wyjściem Anaïs poprzyklejała wszędzie, do wszystkich mebli, różowe karteczki w kształcie serca.

*Mamusiu kocham cię ogromnie jak Jupiter i dłużej niż lata świetlne.
I dziesięć podobnych.*

Wzruszyłam się do łez. To było tak, jakby Anaïs odgadła, że nie będę tej nocy spała sama, że do mojego łóżka wprosi się mężczyzna, a ona mimo wszystko zechce być obecna, gdy się obudzę. Na pewno i tę niespodziankę przygotowała z babcią. Anaïs widziała Alexandre'a raz czy dwa, przelotnie. Widziała też, ale z daleka, jak z nim rozmawiam. Kiedy mówiła mu dzień dobry, spuściła oczy.

Wydaje mi się, że Anaïs nie polubiła Alexandre'a.

Chodziłam boso po sklepie, ubrana tylko w długi T-shirt. Jeszcze przebiegał mnie dreszcz na wspomnienie nacisku palców Alexandre'a na moje uda, biodra, piersi. Ale silniej niż wspomnienie rozkoszy odczuwałam zarazem przyjemne i bolesne zmęczenie po wysiłku. Praktycznie porównywalne ze skutkami długiego biegu, ćwiczeń w siłowni albo wieczoru przetańczonego w klubie. Moje odrętwiałe ciało budziło się do życia.

Nalałam sobie szklankę wody.

Wiedziałam, że ktoś tu jest, że jego oczy śledzą każdy mój gest.

Ale kto?

Duch obudzony uderzeniami młota Martineau? Niewidzialna istota, poza którą nikt nie wie o kryjówce niewidocznej dla murarzy? Miniaturowa, nowoczesna kamera, doskonale zamaskowana?

Jednego byłam pewna: ktoś mnie obserwował. Śledził. A może strzegł.

Nagle głuchy odgłos przedmiotu uderzającego o podłogę wyrwał mnie z zadumy. Dźwięk dobiegł z góry, coś upadło tuż nad moją głową. Po cichu weszłam po schodach. Jak skradający się kot. Wstrzymałam oddech, pchnęłam drzwi sypialni.

Alexandre nie spał!

W samych bokserkach stał pochylony nad półkami za łóżkiem. Delikatnie opukiwał ścianę zaciśniętą w pięść dłonią.

Ale ze mnie idiotka!

A przecież mnie ostrzeżono. Alexandre sam zresztą mi to wyznał: każdy sposób jest dobry, jeśli pozwala zdobyć zaufanie właścicieli domów, dostać się do nich, szpiegować, szperać, kraść. Bezwzględne strategie i manipulowanie uczuciami miały jeden jedyny cel: odnaleźć ten przeklęty manuskrypt Hugo!

*

– Wynoś się, Alexandrze! Wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

Veules-les-Roses, 29 stycznia 2016

Była ósma rano.

Krążyłam po moich siedemdziesięciu metrach kwadratowych. Nie mogłam tak wcześnie iść do Claire po Anaïs, a zresztą wczoraj umówiliśmy się, że kiedy mała się obudzi, Claire podrzuci ją do Élise. Claire sama mi to zaproponowała, porozumiewawczo mrugając okiem.

– Nigdy nic nie wiadomo, Ariane, może będziesz miała nieoczekiwanego gościa... Radziłabym ci też poprosić Martineau, żeby przyszedł dopiero w południe.

Tylko że ten niespodziewany gość wyniósł się nadspodziewanie wcześnie. Nie mogłam uwolnić się od myśli o Alexandrze, zapomnieć o tych przekrwionych oczach, gdy kilka minut temu doprowadziłam go do wściekłości, każąc mu się wynosić.

Oczach szaleńca!

Zbierałam wierszyki Anaïs, te różowe samoprzylepne karteczki, przez cały czas myśląc, że nie mogła sama ułożyć tak niesamowitych zdań. Babcia na pewno jej podpowiadała. Z drugiej strony... to nie pasowało do Élise. Zaparzyłam kawę. Podczas gdy woda bulgotała w moim starym ekspresie, w roztargnieniu spoglądałam przez okno na wille wtulone w zbocze góry. Lekka mgła nad klifem już się rozproszyła.

Za moimi plecami trzasnęły drzwi.

Drgnęłam, przeżąc kark jak rażona prądem. Zorientowałam się, że to drzwi wejściowe.

Claire? Anaïs? Martineau?

– Kto tam?

Nikt się nie odezwał.

Ruszyłam ostrożnie. Ogarnęło mnie złe przeczucie. Ktoś wszedł, ktoś ukrył się w remontowanym sklepie, ale tym razem to nie była ani zjawą, ani głos w słuchawce.

– Kto... kto tam jest?

Słowa więzły mi w gardle.

– Kto...

Nie zdążyłam zapytać. Jakiś cień stanął tuż za mną. Próbowałam rozpaczliwie odskoczyć w bok. Deska, na której leżało dziesięć pomalowanych kawałków kory, runęła. Tydzień pracy poszedł na marne.

Ale teraz to było najmniejsze z moich zmartwień.

Cień usiłował chwycić mnie za rękę. Jeszcze się broniłam, palcami zdierałam tynk ze ściany. Dwie ręce pełzły w kierunku moich ramion i błyskawicznie się wyprężyły – jedna chwyciła mnie za włosy, druga przywarła do moich ust.

Czułam, jak odchyłam szyję do tyłu. Cień dominował nade mną, silny, nieustępliwy.

Potworny ból. Obróciłam głowę, niemal się dusząc.

Alexandre patrzył na mnie z uśmiechem. Jeszcze przez długą chwilę ciągnął mnie za włosy, jakby chciał skrócić mi kark. Miałam wrażenie, że połamię mi wszystkie kręgi szyjne. I nagle brutalnie uderzył mnie w twarz.

Osunęłam się na ziemię, na butelki po piwie, które zostawił tu Martineau. Poturlały się i potłukły o ścianę.

Krztusiłam się, kasłałam, nie mogąc wydusić słowa. Alexandre znowu mnie dopadł. W rękę trzymał ścierkę. Zmiął ją i wepchnął mi do ust.

Jego wargi wykrzywiły się w paskudnym grymasie.

– Ślicznotko, teraz będziesz mi odpowiadała, kiwając głową. Gdybyś miała coś do dodania, wyjmę ten knebel.

Boże, trafiłam na kompletnego obłąkańca!

– Nie podobało mi się, bardzo mi się nie podobało, moja śliczna, to, jak mnie wyrzuciłaś.

Miażdżył butem malowaną korę, lakierowaną glinę. Koty, słoneczka, klify, żółwie. Teraz leżały obok potłuczonych butelek po

piwie.

Patrzyłam, jak jego nogi wszystko niszczą, a on już wiedział, że zrozumiałam.

– Daj spokój, kochanie, chyba nie wpadniesz w histerię z powodu głupiego żółwia. Powiedzmy, że to było powitanie w Veules-les-Roses. Jeżeli wolisz, chciałem cię przygotować. Wiązałem z tym domem wielkie nadzieje. Przecież zdajesz sobie sprawę, że właśnie tu nocowała w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym Anaïs Aubert. Gdzie więc miałyby ukryć manuskrypt Hugo? A ty tak po prostu zleciłaś przeprowadzenie remontu, postanowiłaś burzyć ściany. Istny cud! Dom strzeżony tylko przez ładną dziewczynę, do tego jej dzieciak i żółw. Prawda, że miałem rację? W końcu znalazłaś ten list od Mélingue'a! Ale czas przejść do poważnych rzeczy. Gdzie manuskrypt Hugo?

Wpatrywałam się w niego wytrzeszczonymi oczyma. Zdradziecka strużka śliny ściekała mi z podniebienia, mocząc chropowatą szmatę. Znów dostałam w twarz i poczułam palący ból. Gwiazdy wirowały mi przed oczyma.

– Gdzie jest książka?

Pokręciłam głową. Jak miałam przekonać tego szaleńca, że nie wiem nic o żadnym rękopisie?

Kłęczałam przed nim, jakby błagając.

– Gdzie książka? Ariane, wszystko do siebie pasuje. Ona tu jest, musi tu być.

Pochyliłam głowę na znak podporządkowania. Alexandre zbliżył się do mnie i wyciągnął knebel.

Wrzasnęłam, ile tchu w piersi:

– Nie mam zielonego pojęcia, ty żałosny świrze!

Oby usłyszało mnie całe Veules!

Jego ręka z rozmachem spadła na mój policzek, sprawiając rozdzierający ból. Znów zatkał mi usta brudną szmatą.

– Łżesz, ślicznotko. Sekret jest tu, to pewne. Wszystkie inne hipotezy prowadzą donikąd. Musiałaś znaleźć przynajmniej inne listy Mélingue'a, coś, cokolwiek.

Alexandre pochylił się, podniósł kawałek potłuczonego szkła

i przytknął mi do gardła.

– Będiesz mówić, moja miła. Rozwiązanie jest tu, w tych czterech ścianach. Wystarczająco długo badałem tę sprawę, poświęciłem na to wiele lat i jestem tego pewny.

*

Zabije mnie. Wyczytałem z jego oczu, że jest zdolny mnie zamordować w moim własnym domu z powodu jakiejś chimery, która doprowadziła go do obłądu.

Odłamek szkła kłuł mnie w szyję.

W tej samej chwili drzwi wejściowe wybuchły.

Pojawiło się trzech funkcjonariuszy. Alexandre nie zdążył się odwrócić, przyciśnięty do ziemi przez cztery silne ręce. Trzeci policjant uwolnił mnie od knebla. Uśmiechnął się, mówiąc:

– Już dobrze, chyba przyjechaliśmy w samą porę.

Przełknęłam ślinę. Gardło miałam obolałe, czułam się, jakby wciąż spływała do niego jakaś ohydna trucizna.

Bełkotałam, oszołomiona.

– Skąd... skąd wiedzieliście?

Młody policjant zerknął na mnie spod oka:

– Od pani!

– Ode mnie?

– Dzwoniła pani na posterunek żandarmerii. Pięć minut temu. To pani nas wezwała.

19

Veules-les-Roses, 29 stycznia 2016

Żandarmi zabrali Alexandre'a i zostawili mnie samą. Musiałam jak najszybciej udać się na posterunek, żeby złożyć zeznania.

– Tak, tak.

Obiecałam, że tak zrobię. Tylko się ubiorę.

– Już jadę, za chwilę będę na posterunku.

*

Zadzwoiłam do Élise. Telefon odebrał Angelo i to z nim rozmawiałam. Anaïs już u nich była. Bawiła się w ogrodzie. Wyspała się u Claire, jakby nigdy nic. Rozłączyłam się i weszłam pod prysznic. Na długo. Dopóki woda nie zrobiła się lodowata.

O niczym już nie myśleć.

Później wróciłam do sklepu. Zaczęłam zbierać kawałki drewna, szkła, gliny. Uklękałam, żeby przejrzeć to, co zostało. Niespodziewanie promień słońca zalał blaskiem podłogę jak reflektor w teatrze oświetla pustą scenę.

Wzniosłam oczy. W tym pomieszczeniu był tylko jeden otwór. Okno. Wychodziło na wieś, a wyżej na setki willi stłoczonych na zboczu, tak jakby każdy budował swoją, nie przejmując się innymi. Kierowano się tu jedną logiką: uzyskać jak najlepszy widok na morze. Kiedy klęczałam, zakneblowana przez Alexandre'a, byłam odwrócona plecami do tego okna.

Nie jestem żadną wariatką!

Podniosłam się, chwyciłam największy pędzel, słoiczek czarnego gwaszu, karton formatu A0 i napisałam ogromnymi literami:

KIM JESTEŚ?

Przysunęłam krzesło i usiadłam przed oknem. Położyłam kartkę na kolanach. Była czytelna, znalazła się dokładnie na wysokości szyby.

KIM JESTEŚ?

I czekałam.

20

Veules-les-Roses, 29 stycznia 2016

Wciąż siedziałam na krześle przy oknie. Od jak dawna? Co najmniej od godziny. Telefon milczał. Postanowiłam, że jeśli będzie trzeba, przesiedzę tak cały dzień.

*

W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Najpierw zauważyłam niewyraźny kolor, malinowy i czerwony, zwykłą plamę... ale plamę tego samego lub niemal tego samego koloru co sweter, który przed miesiącem kupiłam dla Anaïs na La Défense. Jej zimowy sweterek do Veules. Właśnie ten sweter spakowałam wczoraj po południu do torby córki, żeby Claire mogła ją dziś w niego ubrać. Kolor pojawił się w oknie usytuowanej najwyżej ze wszystkich willi z purpurowymi okiennicami, nawiązującej do stylu szwajcarskich chat góralskich. Była trzypiętrowa, ozdobiona wieżyczkami.

Czy padłam ofiarą halucynacji? Znowu?

Zmrużyłam oczy, ale niewiele więcej zobaczyłam. Mimo to nie poddawałam się. Patrzyłam na willę już od dłuższej chwili, gdy wysoka i masywna postać przesłoniła okno, jakby ktoś szedł za malinowo-czerwoną plamą. Teraz byłam już pewna, że to sweterek Anaïs. Po chwili barwny punkt zniknął.

Krzyknęłam. Z hukiem otworzyłam drzwi sklepu i nawet ich za sobą nie zamykając, pognałam rue Victor-Hugo. Miałam na sobie tylko luźną koszulę. Lodowate powietrze smagało moje gołe ramiona, piersi, brzuch. Nie obchodziło mnie to. Błyskawicznie pokonywałam stromą rue Paul-Meurice. Skręciłam w rue Vacquerie, na moment spojrzałam w górę, próbując się odnaleźć w labiryncie uliczek, na

których wznosiły się wille. Wciąż podążałam wyżej. Mansardy i purpurowe okiennice były jeszcze wyżej. Dotarłam do zaułku, cavée de Sotteville. Jakies trzydzieści stopni na jego krańcu pokonałam kilkoma susami. Plac mew. Z ronda rozciągał się niezrównany widok na miejską plażę. Ale ja nie zwróciłam na to uwagi, przede mną była już willa z purpurowymi okiennicami, dziesięć metrów wyżej, po prawej, przy ulicy.

Wciąż biegłam. Zatrzymałam się gwałtownie, ledwie oddychając. Nogi paliły mnie żywym ogniem, gdy stałam przed drewnianymi drzwiami. Pchnęłam je. Były otwarte.

Jakby ktoś tu na mnie czekał.

Zawahałam się, jednak instynkt macierzyński z wściekłością pokonał resztki rozsądku i ostrożności. Weszłam. Przemierzałam długi przedpokój, którego dawno nie sprzątano. Niemal od razu dębowe schody zadudniły pod krokami kogoś, kto schodził z piętra.

Serce biło mi jak szalone. W ciszy rozbrzmiał wesoły głosik.

– Mamusiu!!!

– Anaïs?

Moja córka zbiegła z ostatnich stopni i padła mi w ramiona.

– Mamusiu, mamusiu, znalazłaś w domu moje wierszyki?

– Tak, tak, dziękuję.

Łzy płynęły mi po policzkach. Nie próbowałam już niczego zrozumieć.

– Mamusiu, widziałam cię – ciągnęła Anaïs, uśmiechając się jak aniołek. – Widziałam cię przed chwilą przez okno. Machałam ci, ale chyba mnie nie widziałaś. Tak szybko tu weszłaś!

*

Schody znowu dudniły. Tym razem kroki były znacznie cięższe. Najpierw zobaczyłam nogi, potem wysoką sylwetkę.

Anaïs radośnie klaskała.

– Dziadziuś!

Głos teścia odbił się łagodnym echem w pustym domu.

– Chodź ze mną, Ariane, o nic nie pytaj, jeszcze nie teraz. Po prostu chodź ze mną.

Weszliśmy na górę. Angelo jako ostatni. Ton jego głosu był spokojny. Każde słowo zdawało się głęboko przemyślane.

– Anaïs Aubert kazała wybudować willę Odeon w roku tysiąc osiemset dwudziestym siódmym, niespełna rok po pierwszym pobycie w Veules. Właśnie w teatrze Odeon panna Anaïs odniosła prawie wszystkie sukcesy sceniczne. Plany powstawały pod jej ścisłym nadzorem.

Anaïs biegła korytarzem.

– Chodź, mamusiu, zobacz, to takie fajne. Zawsze, kiedy przechodzisz w tym domu do innego pokoju i wyglądasz przez okno, widzisz inne pomieszczenie u nas: sypialnię, łazienkę, kuchnię. Przed chwilą dziadzius pożytył mi lornetkę, widziałam cię tak dobrze!

Angelo pochylił się nad Anaïs.

– Pchelko, mogłabyś pobawić się trochę w ogrodzie? Muszę porozmawiać z twoją mamą.

Anaïs wyglądała na rozczarowaną, ale nauczyła się już słuchać dziadka. Najwyraźniej знаła ten dom jak własną kieszeń, bo zbiegła po schodach, a potem usłyszałam otwierające się drzwi.

– Nic jej nie grozi – uspokoił mnie teść. – Ogród otacza wysoka siatka. Poza starą huśtawką jest tam stół, krzesła. Fantastyczny widok...

Ostro przerwałam Angelowi. W końcu pozwoliłam sobie na wybuch:

– Dość tego! Nie będziemy się bawić w kotka i myszkę! Proszę mi wszystko powiedzieć.

Na twarzy Angela pojawił się uspokajający uśmiech.

– Oczywiście, Ariane, oczywiście. Jak sądzę, wiesz już dużo. Alexandre był doskonale poinformowany. I prawie wszystko odgadł. Anaïs Aubert i Victor Hugo faktycznie byli kochankami. Dwójka wspaniałych kochanków. Aż do roku tysiąc osiemset trzydziestego drugiego, kiedy Hugo poznał Juliette Drouet. Hugo wierzył w swój talent dramaturga, panna Anaïs marzyła o karierze aktorki tragicznej. Ale Hugo był żonaty i choć Adèle, jego żona, zdradzała go, to pozostali

małżeństwem i mieli pięcioro dzieci. W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym Anaïs Aubert uciekła właśnie przed swoim kochankiem.

Jedź prosto, woźnico, prosto przed siebie, aż na koniec świata, najdalej, jak się da.

– I prawdą jest, że zabrała ze sobą sekret.

Angelo przesunął się o kilka kroków. Poszłam za nim aż do okna w korytarzu. W odległości sześćdziesięciu metrów (lotem ptaka) widać było wyraźnie okno mojego sklepu.

– Tak, Ariane, Alexandre miał rację... ale tylko częściowo. Anaïs Aubert w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym ukryła swój sekret w domu rybaka, gdzie mieszkała przez kilka tygodni. W domu na dole, który od pokoleń zamieszkiwała moja rodzina, a w którego kupnie pomogłem ci, zwracając się do agencji nieruchomości Xaviera Poulaina, gdy poinformowałaś nas, że pragniesz przeprowadzić się z naszą wnuczką do Veules-les-Roses.

Słowa cisnęły mi się na usta:

– To oryginał manuskryptu Victora Hugo, tak? Książka? Kartki, które Anaïs Aubert ukryła?

Angelo znów zrobił kilka kroków. Wszedł do pomieszczenia wyglądającego na garderobę, ze świetlikiem zamiast okna.

– Spójrz, Ariane.

Wspięłam się na palce. Przez okienko, w dole doskonale widziałam moją kuchnię. Okna były ustawione na wspólnej osi. Poczułam, że wyprężone nogi uginają się pode mną.

Angelo ciągnął monotonnym głosem:

– Zabrała ze sobą nieznaną manuskrypt Hugo. Właśnie takie plotki rozpuściła wokół siebie Anaïs Aubert, to powiedziała Jules'owi Truffierowi i innym. Żeby mieć spokój. Ale ta historia o skradzionym rękopisie była tylko pułapką, zasłoną dymną, czystym wymysłem, Ariane. A Alexandre dał się wciągnąć w tę zasadzkę, podobnie jak wielu poszukiwaczy skarbów przed nim. Prawdę znał wyłącznie prawdziwy przyjaciel Anaïs Aubert, Mélingue.

Otworzyłam świetlik i usłyszałam skrzypienie huśtawki w ogrodzie. Mój głos zagubił się w nierzeczywistej atmosferze willi.

– Do diabła, jaką prawdę?

– Ariane, to takie proste. Tak oczywiste. Anaïs Aubert miała dwadzieścia cztery lata, Paryż u stóp, a Victora Hugo w łóżku. Przyszłość stała przed nią otworem. Prawda nie mogła wyjść na jaw.

Angelo wszedł do jednego z pokoi. Podążałam w ślad za nim. Ze zwróconego dokładnie na zachód okna zobaczyłam okienko mojej łazienki. Angelo odwrócił się i wziął mnie w ramiona.

– Posłuchaj mnie, Ariane. Anaïs Aubert była w ciąży! Z Victorem Hugo. Uciekła z Paryża, kiedy nie mogła już dłużej ukryć swego stanu. Aktorka znała zasady. Nawet najpiękniejsza buzia w stolicy traciła uwodzicielski czar, gdy była twarzą panny z dzieckiem. Nie chciała nawet, żeby dowiedział się o tym sam Hugo, bała się skandalu, dla siebie i dla niego. On dopiero co po raz trzeci został ojcem, jego syn Charles urodził się czwartego listopada tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku. Ujawnienie ciąży z cudzołóstwa oznaczałoby kres marzeń aktorki o wielkich rolach, które obiecywał jej kochanek: Blanki, Amy Robsart... Anaïs Aubert urodziła tu, w Veules-en-Caux, w domu na dole. W twoim domu, Ariane. W Veules mężczyźni tygodniami łowili na morzu, a kobiety zajmowały się dziećmi – własnymi, a czasem także cudzymi. Anaïs Aubert powierzyła im swoje. Syna Victora Hugo. Wychowywał się tu jak każdy dzieciak ze wsi. Anaïs przyjeżdżała najczęściej, jak mogła. A kiedy była w Paryżu, Mélingue przekazywał jej wieści o chłopcu.

Usiadłam na miękkim łóżku. Lekki obłok kurzu wzbił się w powietrze, ale powstrzymałam się od kaszlu. Parkiet skrzypiał pod butami Angela.

– Anaïs Aubert na wszelki wypadek wolała nie zbliżyć się do syna. Dlatego zgodnie z sugestiami Mélingue’a wybudowała willę Odeon. W tamtych czasach we wsi nie było jeszcze tylu domów. Letnicy budowali, co i gdzie chcieli. Pomysł Mélingue’a był prosty: wznieść willę nad domem rybaków, w którym wychowywał się syn Anaïs, by aktorka mogła ze swych okien obserwować wszystkie pomieszczenia tego domu. To tak, jakby te dwa miejsca połączył niewidzialny korytarz! Taka budowa stanowiła duże wyzwanie architektoniczne. Ponadto trzeba było zmienić usytuowanie większości okien w domu

na dole, część powiększyć, część skierować w inną stronę, grać światłem, cieniem, ściankami. Efekt okazał się zadziwiający. Z domu na dole nie sposób się czegokolwiek domyślić, ale z góry, dzięki zwykłej lornetce, Anaïs Aubert mogła przez wiele lat śledzić rozwój syna, jego posiłki, drzemki, zabawy. Nie sądzisz, Ariane, że to niesłychanie przypomina naszą współczesność: obserwować na odległość mamkę, która opiekuje się twoim dzieckiem? Élise czytała, że dziś rodzice wymagają czasem od niani, by w domu pozostała włączona kamera umożliwiająca im obserwowanie dziecka na ekranie komputera, gdy sami są w pracy.

Kurz drażnił mi oczy i gardło. Zadziwiający spokój Angela sprawił, że wybuch gniewu byłby z mojej strony reakcją wysoce niestosowną.

– Czyli to ciągle spojrzenie, które na sobie czułam, to pan? Nie wiem, czy powinnam pana zwymyślać, czy mu podziękować.

– Zwymyślać, Ariane, zwymyślać. Być może, gdybym nie stał tamtego ranka przy oknie, gdybym spanikowany nie zadzwonił do ciebie, Anaïs poparzyłaby się wrzątkiem. Być może, gdybym dziś nie wezwał żandarmów, ten obłąkaniec Alexandre poderzwałby ci gardło potłuczonym szkłem. Ale źle zrobiłem, nie mówiąc ci o tym wszystkim. Popełniłem błąd, chcąc, byś stopniowo odkrywała prawdę, na przykład znajdując podrzucony przeze mnie list Mélingue'a.

Gwałtownie poderwałam się z miejsca, owładnięta niepokojącym wrażeniem, że Angelo nadal ukrywa przede mną część prawdy. Przede wszystkim powody całej tej inscenizacji. Co mogłam mieć wspólnego z tym szaleństwem? Jaki związek istniał między starą historią paryskiej aktorki a mną?

Nadałam głosowi ostrzejsze brzmienie.

– Jaką prawdę, Angelo? Co miałam odkryć? Co może mnie obchodzić dziecko Anaïs Aubert i Victora Hugo, urodzone prawie dwieście lat temu?

Angelo jeszcze się wahał. Wsunął rękę do kieszeni ciemnej kurtki. Czas dłużył się w nieskończoność w tym przywiedłym pokoju. W końcu wyciągnął złożoną na cztery białą kartkę. Wsunął mi ją do ręki.

Rozłożyłam kartkę.

Strona 42.

Ujrzałam zwyczajne czarno-białe zdjęcie. Widniał pod nim podpis: *Fotografia wykonana podczas obiadu wydanego przez Victora Hugo dla dzieci z Veules, opublikowana w „L’Illustration”. Paryż, 7 października 1882 r.*

Pisarz stał w otoczeniu setki dzieci w wieku od dwóch do dziesięciu lat, uroczych dziewczynek wystrojonych w odświętne sukienki i grzecznych chłopców w garniturach i słomkowych kapeluszach.

Łagodny głos Angela znów przerwał ciszę:

– U schyłku życia Victor Hugo często, bardzo często odwiedzał Veules. Przeważnie spędzał tu lato, goszcząc u Paula Meurice’a, najlepszego przyjaciela i wykonawcy testamentu, przyjaźniącego się także z Mélingue’em. Może się to wydawać dziwne, ale Hugo bardzo interesował się dziećmi z Veules.

Nie mogłam oderwać oczu od tej starej fotografii. Dlaczego Angelo zadał sobie tyle trudu, by usunąć stronę 42 ze wszystkich egzemplarzy tej historii Veules, jakie znalazł? Co mogło kryć się na tym zdjęciu? Gubiłam się w bezsensie całej tej opowieści!

– Można przypuszczać, że po śmierci Anaïs Aubert, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym, wierny Mélingue wyjawiał wielkiemu pisarzowi pewne fakty.

Wciąż wpatrywałam się w fotografię. Przyglądałam każdej dziecięcej buzi z osobna. Nagle, tak jak czasami uderza nas podprogowa migawka, mnie ukazała się prawda.

Boże, czy to możliwe?

Odkrycie było porażające, niewiarygodne, fantastyczne. Prawda dotarła do mnie w ułamku sekundy. Anaïs spokojnie stała w ogrodzie, pogrążona w zadumie tak nieprzystającej do dziecka w jej wieku, a u niej tak naturalnej, że nie dostrzegałam już nawet tego dysonansu. Moja córka podziwiała niesamowity widok na klif. Delikatnie poruszała ustami, jakby szeptała słowa, których magię tylko ona potrafiła zrozumieć.

Znów zwróciłam oczy na zdjęcie z 1882 roku.

Tuż przed Victorem Hugo, masywnym i brodatym niczym patriarcha, zauważyłam małą, trzyletnią dziewczynkę. Można było

nawet przypuszczać, że trzyma za rękę dziadka.

To nie było złudzenie, *dziewczynka z fotografii wyglądała jak siostra bliźniaczka Anaïs!* Mojej Anaïs, która teraz patrzyła z ogrodu na morze.

– Jeanne – powiedział cicho Angelo. – Miała na imię Jeanne. Na tym zdjęciu ma około trzech lat. Wtedy poznała swojego dziadka, Victora Hugo. Jej babcia, Anaïs Aubert, zmarła kilka lat przed jej przyjściem na świat.

Angelo zamilkł na dłuższą chwilę. Później odchrząknął i dodał:

– Jeanne była moją babcią. Dobrze ją znałem, zmarła w domu na dole, przy rue Victor-Hugo, w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Ariane, teraz już wiesz, że potomkowie Victora Hugo i Anaïs Aubert nadal mieszkają we wsi. Niewielu pragnie przeprowadzki z tak cudownej scenerii, zwłaszcza jeśli człowiek ma we krwi sztukę i poezję. A ci, którzy stąd wyjeżdżają, wracają. Jeszcze raz przepraszam, nie chciałem, żebyś domyśliła się tego za szybko. Widzisz, Ariane, nie wszyscy w naszej dynastii dziedziczyli artystyczne zdolności. Na przykład ja jestem ich praktycznie pozbawiony. Za to nasza mała Anaïs... Boże, co za talent! O wiele, wiele większy niż ma Ruy. A zapewniam cię, że byliśmy bardzo dumni z naszego syna. Kiedy był w jej wieku, głęboko wierzyliśmy w jego geniusz. Kto wie, Ariane, ile znaczy talent, a ile to, jak patrzymy na nasze dzieci, jak ty będziesz teraz patrzyła na swoją małą Anaïs, wiedząc już, kto był jej prapraprapradziadkiem.

Angelo zbliżył się o krok i mocno mnie przytulił. Bijące od niego ciepło ogarnęło mnie jak długo wyczekiwane szczęście.

– Witaj w rodzinie, Ariane.

21

Veules-les-Roses, 1 maja 2016

Stryzek Anaïs otworzył swe drzwi 1 maja 2016 roku.

*

To był wspaniały weekend, pierwszy naprawdę piękny i ciepły dzień w Normandii. Od wczesnego ranka ze zdumieniem patrzyłam, jak opustoszałe uliczki Veules stopniowo wypełniają się setkami, tysiącami gości – niczym polana, na której w jedną noc wyrosły żonkile; jak las, który rozbrzmiewa pewnego wiosennego dnia głosami zwierząt przebudzonych z zimowego snu. Parkingi były zatłoczone, dzieci biegały wzdłuż brzegów Veules za łódkami, bawiły się na polach rukwi w Pucheux i tamtejszych Polach Elizejskich. Morze cofnęło się, majaczyło na horyzoncie, jakby chciało sprawić rodzinom przyjemność, pozwalając im zapuścić się bosy daleko, daleko po mokrym piasku. Rue Victor-Hugo siłą rzeczy stała się deptakiem, zdobyta szturmem przez zachwyconych spacerowiczów. Kawiarenki zapraszały; pachniało goframi i naleśnikami. Doświadczona Claire ściągnęła do pomocy dwóch praktykantów, ale i tak kolejka przed jej naleśnikarnią stale się wydłużała. Ludzie, wszędzie mnóstwo ludzi, także u mnie.

Goście byli zaskoczeni. *Zobacz, nowy szyl!* Veules miało stałych bywalców.

*

Nadciągali, wchodzili do *Stryzku Anaïs*. W ciągu kilku godzin sprzedałam dziesiątki rzeczy i już miałam całkiem niezłe obroty, jak

na początek bardzo obiecujące. Najbardziej jednak uspokajały mnie komplementy, jakie słyszałam od klientów.

Anaïs, uśmiechnięta, bawiła się w sklepikarkę. Udzielała rad, ciągnęła klientów za rękawy i pokazywała im swoje ulubione wyroby. Odziedziczyła nie tylko geniusz pisarski, ale także wdzięk, celność sformułowań i smykałkę do handlu.

Angelo i Élise oczywiście odwiedzili nas w sklepie.

Przyszedł nawet Gilbert Martineau, krążył w tłumie, udając, że bardziej interesuje go doskonałe wykończenie i urządzenie butik, czyli jego dzieło, niż moja ekspozycja. Przecierał oczy ze zdumienia, patrząc na pełnych entuzjazmu ludzi.

Słyszałam, jak gniewnie burczał pod nosem, przyglądając się uważnie belkom stropowym.

Ci paryżanie gotowi są kupować byle co!

Jakiś trzydziestolatek w eleganckich lnianych spodniach i błękitnym kaszmirowym swetrze zarzuconym na ramiona zasłużył sobie na buziaka od żony, drobnej, subtelnej blondynki w krótkiej sukience i z równie krótką fryzurką: kupił żółwia namalowanego na desce ze starych okiennic. Sześćdziesiąt dziewięć euro!

Martineau podejrzliwie obserwował tę scenkę.

– Jesteś kochany! – Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej dekolt wtulił się w kaszmirowy sweter.

Martineau zaczekał, aż wyjdą, podszedł, mruzczał coś, trochę zawstydzony, a trochę drwiący:

– Pani Ariane, gdybym wziął jednego takiego dla żony, mam na myśli żółwia, udzieli mi pani rabatu?

Normandzka szafa

Wysiedli z samochodu i przystanęli, by podziwiać tę typowo normandzką posiadłość wiejską.

Wszystko wyglądało tak jak na zdjęciach z ogłoszenia. Długa wysadzana topolami aleja prowadząca do uroczego, ukwieconego dworku z cegły. Studnia, gołębnik, pstrokacizna polnych kwiatów: jaskrów, aksamitek i maków rozrzuconych tak, jakby ktoś chciał zakłócić idealnie zielone połacie świeżo skoszonego trawnika.

– I co myślisz o naszym miłosnym gniazdku?

Diane-Perle ujęła Gauvina za rękę.

– Serdeczne dzięki, szlachetny rycerzu.

Nieco mocniej uścisnęła jego dłoń. Pomyślała, że ten jej Gauvinet jest bardzo przystojny. Miał białe, przerzedzone włosy, zmarszczki i roześmiane oczy, zupełnie jak stary Roger Moore. I zapragnęła go. Tak jak od dawna już się nie zdarzało.

Po raz pierwszy od trzech lat opuścili XV dzielnicę, by wybrać się na weekend zakochanych. Mimo że ich dzieci od lat nie mieszkały przy rue du Théâtre i rozjechały się po całej Europie – Léopold mieszkał w Amsterdamie, Alix w Kopenhadze, a Sibylle w Almerii – Diane-Perle nie chciała wyjeżdżać z Paryża nawet na kilkudniowe wakacje, dopóki żyli jej rodzice, którzy przebywali w klinice Jardins Mirabeau.

Wola losu. Poświęcenie.

Mama zmarła tej zimy, na Trzech Króli, a tata nie dożył nawet Tłustego Czwartku. Gauvin przeczekał Wielki Post i wynajął dom na wielkanocny weekend.

Lisią Jamę pod Doudeville, w samym sercu krainy Caux.

Trzymając się za ręce, szli żwirową alejką niczym świeżo upieczeni małżonkowie. To była prawda... czterdzieści dziewięć lat temu! Diane-Perle miała prawie sześćdziesiąt dziewięć lat, a zaledwie dwadzieścia, kiedy powiedziała „tak” swojemu Gauvinowi, starszemu od niej o pięć lat.

– Uwielbiam, mój rycerzu! Uwielbiam ten zakątek. Uwielbiam to światło! Uwielbiam ten zapach!

A Gauvin uwielbiał, kiedy Diane przeistaczała się w nieco ekstrawagancką księżniczkę, nieco przesadną, przerysowującą zachwyty z zapalem kiepskiej aktorki.

Uniosła jego rękę.

Aktorka gadatliwa i zmysłowa.

– Dziękuję, Gauvinet!

Słodka i zalotna.

Niewiele brakowało, a ściągnąłby ją z drogi, żeby całować, pieścić, może nawet – dlaczegoż by nie? – kochać się z nią pod starą jabłonią w sadzie, który rósł za żywopłotem. W końcu przyjechali nieco wcześniej. Dawno temu często uprawiali seks na łąkach.

Zrobił krok na bok. Żeby sprawdzić...

Diane-Perle poszła za nim. Nie był jednak pewny, czy zrozumiała.

Jeszcze krok?, zastanawiał się Gauvin. Zaryzykować?

Przejsć za żywopłot?

Położył rękę na biodrze żony.

– Przestań – zdążyła tylko powiedzieć.

Krzyk zelektryzował ich oboje.

Krzyk przerażenia, krótki, potężny, przejmujący.

*

Diane-Perle odruchowo schroniła się w ramionach Gauvina, który wydawał się tym uszczęśliwiony. Kontrolował sytuację z brytyjską flegmą, która przez te wszystkie lata to urzekała ją, to – ale znacznie częściej – irytowała.

– Kochanie, to jedna ze złych stron wsi... Zarzynają świnie albo

barana... Natura. Prawdziwe życie. Jeżeli chcesz, mogą ci pokazać, jak się patroszy królika albo skubie kurczaka.

Diane-Perle wciąż jeszcze drżała, nie całkiem uspokojona.

*

Kilka sekund później pukali do dębowych drzwi dworku.

Dobijali się długo, a Gauvin okrążył nawet budynek, chcąc zajrzeć do środka przez okna; na próżno, ponieważ je zasłonięto. Widać było tylko niewyraźny cień poruszający się za matowym szkłem świetlika.

Upłynęło pięć minut, zanim drzwi wreszcie się otworzyły.

Przed nimi stał mężczyzna koło pięćdziesiątki. Potargany, zziębnięty, z podwiniętymi rękawami i kołnierzykiem rozpiętym pod szyją, która dźwigała okrągłą głowę, spoconą i zaczerwienioną.

Natura. Prawdziwe życie, pomyślała Diane-Perle, wyobrażając sobie trupy kur i kaczek w spiżarni.

– Pan Lefebvre? – Gauvin wyciągnął do niego rękę. – Gauvin Baudricourt. Mamy rezerwację na tydzień.

Lefebvre patrzył na niego, zdezorientowany, jakby zastanawiał się, o czym mówi ten intruz. W końcu jednak zszedł na ziemię i chyba zrozumiał, po co przybyli tu ci dwoje.

– A tak, tak... Hm... Zapraszam.

Wnętrze dworku urządzone ze smakiem. W łagodnej kolorystyce, nieco już wyblakłej, co delikatnie przypominało o upływie czasu i podkreślało wartość nawet najbardziej banalnych przedmiotów: spłowiała ceglasta czerwień terakoty; meble z jasnego drewna, które zatraciły pierwotny blask; suszone kwiaty, które wyglądały jak zwiędłe.

Czy rzeczy, jak kolory, przemijają?, pomyślał w przypływie natchnienia Gauvin.

– Ładnie tu u pana – stwierdził, rozglądając się.

Diane-Perle postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. W końcu, jeśli nawet to jej mąż znalazł tę romantyczną perełkę w internecie, wszelkie szczegóły ustalała ona. Gauvin zawsze dawał się nabrać. Był

za grzeczny, można to było wyczytać nawet z jego mejli!

– Pani Lefebvre nie ma?

– Hm...

– Po prostu to z nią uzgadniałam wszelkie szczegóły.

– Żona... Żona będzie lada chwila.

Diane-Perle użyła słowa „szczegóły”, ale chodziło o coś więcej. Miała w głowie całą listę wymagań, jakie zawarła w umowie. Obrusy, ręczniki, ścierki, dostęp do pralki i instruktaż jej obsługi, pościel, suszarnia, dostęp do internetu dla Gauvina...

Stali w korytarzu, czekając na panią Lefebvre, nie wiedzieli jednak, czy pojawi się za dwie sekundy, czy za dwie godziny.

– Może przed jej powrotem mógłby pan nas oprowadzić?

– Hm, owszem.

Wycieczka po domu była długa. Lefebvre wahał się, jękał, najdłużej jak mógł skupiając uwagę na kwestiach technicznych, na których się znał. Automatyczny wyłącznik światła na schodach, konieczność dokładnego zamykania drzwi, skrzypiący parkiet, blokujące się klamki, kuchenka, którą trzeba podłączać, regulacja wody pod prysznicem, klimatyzacja – zupełnie tu zbędna. Diane-Perle dręczyła go drobiazgowymi pytaniami, na które niezmiennie odpowiadał: „Żona to państwu wyjaśni”.

Diane-Perle wzruszała ramionami, lekko już zniecierpliwiona ignorancją właściciela i rozbawionym uśmiechem Gauvina.

Sypialnia. Nareszcie...

Na podobieństwo całego dworku, o uroku tego pokoju przesądzała patyna czasu, sfatygowane tapety, krucha równowaga baldachimu, stare boazerie... jakby zachowane z myślą o leciwych małżonkach, którym dodawały pewności siebie.

*

Oczy Gauvina rozblęły na widok szerokiego łóża, grubego materaca i bieli koronek układających się w łagodne fale. W przeciwieństwie do niego Diane-Perle, po szybkiej kontroli czystości pościeli, odwróciła się

plecami do baldachimu i z podziwem patrzyła na wspaniałą normandzką szafę, która zajmowała pół ściany.

– Przepiękna – powiedziała zachwycona.

Arcydzieło meblarstwa artystycznego! Na drzwiach i gzymsie, zamiast klasycznych motywów zdobniczych i rzeźbionych koszy owoców, kłosów zboża czy bukietów kwiatów, widniały ustawione w korowód zwierzęta, te bukoliczne, jak motyle, gołębie i jagnięta, i te mniej typowe – jednorożec, sowa, lis czy wąż. Diane-Perle była zaskoczona finezją tych motywów. Lubiła szukać staroci, prowadząc Gauvina po antykwariatach w okolicy Luwru i po pchlim targu w Vanves, ale jeszcze nigdy nie trafiła na taki kolekcjonerski rarytas.

Kiedy już wyciągała rękę, Lefebvre powstrzymał ją, reagując w zaskakujący szybkością, ale i nerwowością sposób.

– Niech pani nie dotyka!

Diane-Perle zamrużyła fiołkowymi powiekami na znak zdziwienia.

– Jest tu jako ozdoba – wyrecytował nagle bardzo rozgadany Lefebvre. – To stary rodzinny mebel, ma dla nas ogromną wartość. Dziadek uratował tę szafę podczas bombardowania, które doprowadziło do pożaru dworku w czterdziestym trzecim, i przypłacił to utratą trzech palców poparzonych tak mocno, że trzeba je było obciąć. Wcześniej szafa przetrwała okupację w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, kiedy to Prusacy zajęli dworek. Ponoć podczas Rewolucji hrabia Audibert de Lussan, który był właścicielem dworku, dopóki nie sprzedał go naszemu przodkowi, zamknął się w tej szafie nocą czwartego lipca i przesiedział w niej jednaście dni, zanim odważył się wyjść.

Gauvin bardziej interesował się historią niż meblarstwem. Podszedł do szafy, żeby pogłodzić palcami drewniane motywy zdobnicze. Lefebvre jego też powstrzymał.

– Nie! Niech pan jej nie dotyka. Drzwi ledwie się trzymają. Zawiasy, zamki, wszystko jest już rozklekotane. Gdyby spróbować ją otworzyć... rozpadłaby się jak domek z kart.

Diane-Perle i Gauvin spojrzeli na siebie zdziwieni. Gospodarz mówił dalej, a ton jego głosu stał się mentorski, chwilami brzmiał groźnie:

– Macie państwo cały dom, całą posiadłość, wszystkie piętra aż po strych, do tego ogród, budynki gospodarcze, możecie spacerować i odpoczywać, jak wam się żywnie podoba, ale proszę was tylko o jedno: nie dotykajcie tej szafy! Zrozumieliście państwo? Ma dla nas ogromną wartość, więc patrzcie na nią, podziwiajcie, ale jej nie dotykajcie!

– W porządku – powiedział ugodowo Gauvin. – Będziemy grzeczni! Obiecuję!

Jego oko rozbłysło, zwracając się na baldachim.

Diane-Perle patrzyła w tę samą stronę... bardziej praktyczna niż romantyczna.

– A co z bielizną? – zapytała. – Ustaliłam z pańską żoną, że sami będziemy sprzątać i zmieniać pościel oraz ręczniki, a brudną bieliznę będziemy zostawiali pod drzwiami. Nie lubię, gdy ktoś narusza naszą intymność, rozumie pan? Pani Lefebvre się na to zgodziła.

Gauvin westchnął. Przez te wszystkie lata Diane-Perle nigdy nie chciała, by ktoś wyręczał ją w codziennych obowiązkach, żeby gosposia zajęła się prasowaniem ich rzeczy albo odkurzała mieszkanie; zawsze robiła wszystko sama, nawet w tym okresie, na którego wspomnienie Gauvina przebiegał dreszcz – gdy łączyła pracę nauczycielki francuskiego z wychowywaniem Léopolda, Alix i Sibylle, z funkcją prezesa klubu Piętnastej Sztuki... Toteż oczekiwanie, że podczas wakacji, w domku czy hotelu, pozwoli komuś zająć się porządkami w sypialni, należało uznać za science-fiction. Gdyby się nie wstydziła, postawiłaby za drzwiami zapałkę, żeby mieć pewność, że pod ich nieobecność nikt nie wchodził do pokoju. Ale Lefebvre przyjął to spokojnie.

– Skoro ustaliła tak pani z moją żoną...

I wyszedł.

*

Gauvin rzucił się na łóżko, ale nie dlatego, że miał nadzieję pobaraszkować przed wieczorem, w tym małym okienku czasowym

między chwilą, gdy Diane-Perle wreszcie się odpręży, a momentem, gdy padnie ze zmęczenia. Diane-Perle sprawdzała kurze na listwach przyściennych.

– Dziwne, że jego żony nie ma w domu – powiedziała w zadumie.

– Zamordował ją!

Diane-Perle gwałtownie się odwróciła. Gauvin skorzystał z okazji i uwięził ją w objęciach.

– Pamiętasz ten krzyk, kiedy tu szliśmy? To ona krzyczała! Zabił ją, dla mnie to oczywiste.

Diane-Perle bacznie mu się przyglądała, by mieć pewność, że żartował, a potem uwolniła się z jego uścisku.

– Wariat z ciebie! Lepiej idź po walizkę!

*

Kiedy wrócił, Diane-Perle nadawała sypialni bardziej osobisty charakter: zdjęła ze ściany i wsunęła pod łóżko reprodukcję Moneta ukazującą iglicę i klify w Étretat (nie znosiła impresjonizmu!) i przestawiła lampkę nocną, tę po lewej, gdzie spał Gauvin, ponieważ była zbędna – jej mąż nigdy nie czytał przed zaśnięciem.

– Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałeś – stwierdziła Diane-Perle, przeprowadzając inspekcję w toalecie.

– Nad czym?

– Że zabił żonę!

Gauvin był zachwycony swoim kawałem. To był genialny sposób na dodanie pikanterii ich wakacjom: rzucić podejrzenie na nieznanomego, wzbudzić dreszcz emocji. Uwielbiał takie gry. Diane-Perle także... kiedyś.

– I co?

– Ten typek, Lefebvre. On miał krew na spodniach.

Tym razem to Gauvin zamarł. Nie należał do osób, które zwracają uwagę na takie szczegóły.

– Serio?

– Przecież mówię – potwierdziła Diane-Perle, od niechcienia

układając rolki papieru toaletowego.

Gauvin promieniał. Czy mówiła prawdę? A może Diane-Perle chciała, żeby wpadł we własne sidła?

Tej nocy, po przeczytaniu pierwszego rozdziału i zgaszeniu światła, wtuliła się w niego i niemal natychmiast zasnęła.

*

Nazajutrz Diane-Perle wstała przed ósmą i szeroko otworzyła okno. Gauvin naciągnął kołdrę.

– Oszalałaś?!

– Coś tu śmierdzi.

Jego żona zdążyła już wziąć prysznic, ubrać się, wyperfumować.

– Idę pomówić z panią Lefebvre. W łazience nie ma dywanika ani suszarki, a nawet kubeczków. I nie zamierzam czekać do jutra z praniem.

Gauvin zagrzebał się w pościeli i tylko krzyknął:

– Zapytaj, czy podają śniadanie do łóżka!

*

Pani Lefebvre nie było. Jej mąż samotnie siedział w saloniku, kończąc śniadanie, i pochylony nad filiżanką kawy od czasu do czasu zerkał na ekran telewizora ustawionego na L'Équipe 21, gdzie co trzy minuty pokazywano te same bramki. Nie, żony nie było. Ale zajrzy dziś wieczorem albo nawet wcześniej, kiedy tylko wróci. Niech korzystają z pogody, mają szczęście, błękitne niebo i słońce – to prognoza na dziś.

Diane-Perle zastanawiała się, czy wrócić do pokoju, wziąć umowę najmu, zejść i pomachać mu nią przed nosem. Nie zrobiła tego, a tylko rozejrzała się wokół i zatrzymała wzrok na zdjęciach, spośród których zwłaszcza jedno trudno było przeoczyć, bo oprawione w ramy wisiało nad kominkiem w salonie. Pan i pani Lefebvre pod deszczem ryżu, związani ze sobą na resztę życia, on szczuplejszy niż dziś, ona dość ładna, uśmiechnięta, apetyczna!

Uderzył ją kontrast między tą fotografią a obrazem, który miała przed oczyma: pan domu, sam u szczytu długiego drewnianego stołu. W panu Lefebvre było coś dziwnego. Oczywiście, intrygował ją od chwili, kiedy ujrzała go po raz pierwszy, ale po przebudzeniu spojrzała na niego inaczej. Nie był zły, nie był przerażający.

Tylko... nieobecny.

*

Diane-Perle i Gauvin spędzili ten dzień w Étretat, weszli na górę, do groty zwanej Komnatą Panien, następnie zeszli, by zjeść obiad nad morzem, i ponownie wyruszyli w górę, ale tym razem po stronie lądu, do kościółka Notre-Dame-de-la-Garde. Z tej wycieczki wrócili wykończeni.

Nie spotkali się po powrocie z Lefebvre'em. Kiedy zaparkowali samochód, zauważyli go na drugim końcu posiadłości, pchającego taczkę w stronę szopy, w której zapewne przechowywał narzędzia ogrodnicze.

Weszli do Lisiej Jamy, snuli się po dworku, oglądali pokój po pokoju, wsłuchując się w skrzypienie parkietu. W końcu stanęli przed drzwiami sypialni.

Wciąż ani śladu pani Lefebvre!

– Idź, zapytaj go – powiedziała Diane-Perle. – Zapytaj tego niedźwiedzia, czy jego żona wreszcie wróci do tej jaskini.

Gauvin wyciągnął się już na łóżku. U kresu sił.

– Przecież ona nie żyje!

Diane-Perle nie podchwyciła tematu – wzruszyła ramionami i podeszła do okna, żeby je otworzyć. Tym razem Gauvin także poczuł ten uporczywy zapach. Uroki wsi, snuł domysły, stare domy, wilgoć przenikająca mury, cicha zbrodnia przemijających lat, zabójczego czasu wydzielającego tylko lekki odór, by ujawnić swą brudną robotę, zatechłe tapety, drewno, które zaczyna gnić, żółknące tkaniny.

– Jednak to dziwne, że tej kobiety wciąż nie ma – podjęła Diane-Perle.

Pociągnęła prześcieradło.

– No, Gauvin! Go! Rusz się. Idź go zapytać!

Gauvin nie miał na to najmniejszej ochoty, ale przez całe życie zamiast mówić „nie” – uczniom, dyrektorowi, dzieciom, Diane – rozwijał subtelną sztukę retoryki.

– Diane, zastanów się... Skoro naszej gospodyni nie ma, to na pewno z ważnego powodu. Wyobraź sobie, że pokłócili się przed naszym przyjazdem, więc się wyniosła. Nie będę zawracał Lefebvre’owi głowy i pytał go, jak obsłużyć mikrofalówkę!

Zrezygnowana Diane-Perle zasłoniła okno.

– Wymówki... Ty zawsze potrafisz znaleźć wymówkę! A ponieważ nie mieszkasz na Marsie, jest ci z tym wygodnie.

*

Tej nocy, doczytawszy drugi rozdział, nie wtuliła się w męża. Kiedy Gauvin pełzał pod baldachimem, żeby się do niej zbliżyć, kiedy jego ręka dotknęła jej piersi, Diane-Perle, przewracając się na drugi bok, szepnęła:

– Przestań. Nie dziś. Pohamuj się.

W łóżku Diane-Perle nie zawracała sobie głowy retoryką. Ani sztuką miłosną, pomyślał Gauvin.

Żeby zasnąć, liczył raz po raz noce, które zostały do końca tygodnia, zastanawiając się, dlaczego Pfizer sprzedaje viagrę w opakowaniach po osiem sztuk.

*

Rankiem trzeciego dnia spotkali Lefebvre’a, kiedy wyruszali do Varengeville-sur-Mer.

Grabił zwirową alejkę. Choć było wcześnie, krzemienne kamyki już mieniły się w słońcu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Kiedy poznamy pańską żonę?

- A jest jakiś problem? – zaniepokoił się Lefebvre.
- Nie, nic szczególnego, ale...
- Wszystko jest w jak najlepszym porządku – uciał Gauvin, ciągnąc Diane-Perle do ich chryslera.
- Żona przyjdzie do państwa, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę – rzucił Lefebvre i uniósł grabie, przerywając pracę i patrząc, jak Gauvin cofa z otwartym oknem. – Dziś musiała wyjść bardzo wcześnie.

*

Gauvin wjeżdżał do Doudeville, skrupulatnie przestrzegając ograniczeń prędkości, gdy Diane-Perle wrzasnęła:

- Stój!
- Co?
- Stój, przecież mówię!

Chwilę później zatrzymali się na małym parkingu, który wskazała mu Diane-Perle, pod złotym szyldem w kształcie kłosa. Diane-Perle weszła do piekarni, poprosiła o dwa rogaliki i bagietkę z siemieniem lnianym, a potem powiedziała od niechcienia, tak naturalnie, że Gauvinowi ciarki przeszły po plecach:

- Przyjechaliśmy tu na tydzień. Zatrzymaliśmy się w Lisiej Jamie.

Sprzedawczyni przez moment rozpływała się nad architekturą dworku, pięknem parku, pełnym autentyzmu wystrojem pokoi, a także nad sympatycznymi gospodarzami.

– Taak – mruknęła Diane-Perle, jakby już uważała tę kobietę za starą przyjaciółkę, gotową wysłuchać przykrych zwierzeń. – Pan Lefebvre jest... jak by to powiedzieć... trochę gburowaty. A jeśli chodzi o panią Lefebvre...

– Jest przemiła – wpadła jej w słowo sprzedawczyni. – Chyba pani nie zaprzeczy! A przy okazji, proszę ją ode mnie pozdrowić, już od tygodnia do nas nie zagląda. Rzadko się to zdarza, zwykle wpada codziennie po chleb. – I wydała Diane-Perle resztę. – Pewnie jest chora.

Diane-Perle zamierzała odpowiedzieć, ale Gauvin pociągnął ją za pasek torebki. Szybko poprowadził żonę do samochodu, licząc, że będzie milczała, dopóki nie ruszą.

Pomylił się...

– Wcale nie jest chora! – wycedziła przez zęby Diane-Perle, kiedy znaleźli się na parkingu. – Lefebvre powiedział nam, że wyszła dziś wcześniej rano.

– A może jest bardzo, bardzo chora – zażartował Gauvin, przeciągając palcem po szyi. – Kwii...

– Głupek! Tak czy inaczej, Lefebvre nas okłamuje, teraz mamy już dowód.

Gauvin prawie wepchnął żonę do chryslera, nie przestając się uśmiechać.

– Albo ją zabił, albo go rzuciła... Morderca albo rogacz! Statystycznie, a mówi to emerytowany nauczyciel matematyki, znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że wydarzyło się to drugie, kochanie.

– Irytujesz mnie! – rzuciła.

A potem złamała na jego głowie bagietkę z siemieniem lnianym.

*

Kiedy wrócili, Lefebvre oglądał telewizję. Męskie głosy w salonie komentowały niesłychany triumf PSG. Diane-Perle zatrzymała się na moment w przedpokoju. Dopiero teraz zauważyła damskie okrycie, które wisiało na wieszaku. Długą pikowaną kurtkę w kolorze aluminium.

– Mażonki nadal nie ma?! – zapytał Gauvin, przekrzykując telewizor.

Lefebvre sięgnął po pilot i z bólem serca przyciszył telewizor.

– Wróci późno!

Diane-Perle uszczypnęła męża, kiedy w milczeniu szli po schodach do sypialni. Szepnęła mu do ucha:

– Nie powinienesz być taki natarczywy. Domyśli się, że go

podejrzewamy.

Naprawdę drżała, i to tak, że nie mogła znaleźć kluczy. Gauvin wykorzystał okazję i wodził palcami po jej plecach, niby to pieszcząc, niby strasząc, że chodzi po niej pająk.

– Kochanie, jesteśmy niewygodnymi świadkami. Tej nocy przyjdzie, żeby się nas pozbyć!

Udał, że przęłyka ślinę, a potem wessał się w kark żony jak wampir.

Wywróciła oczami, znalazła klucz i wreszcie otworzyła drzwi. Kiedy już znaleźli się w pokoju, zamknęła je na cztery spusty.

– I jeszcze ten smród! Matko Boska Nazareńska, ten smród!

*

Tej nocy Diane-Perle praktycznie nie zmrużyła oka.

A Gauvin miał za swoje.

Połknęła dwadzieścia rozdziałów, nie zastanawiając się nad tym, że światło może mu przeszkadzać. Co pewien czas odrywała wzrok od lektury i patrzyła na sufit. Czowała się jak mysz pod miotłą. Wyłączyła lampkę około trzeciej nad ranem, a o piątej trzydzieści nagle ją zaświeciła.

Olśnienie!

Kiedy Gauvin otworzył oczy, dosłownie poraził go blask żarówek plafoniery nad baldachimem; mrugał, żeby pozbyć się zielonych błyskawic, które tańczyły mu pod powiekami, jakby zasnął pod laserową lampą w dyskotecie. Tymczasem jego żona wyskoczyła już z łóżka.

Zobaczył ją na czworakach, ze ścierką, którą czyściła podłogę pod normandzką szafą.

W końcu podniosła się i podsunęła mężowi pod nos szmatę.

– Krew!

Gauvin bez słowa patrzył zaspanymi jeszcze oczyma na ciemne plamy na jasnej ścierce.

– To krew, Gauvinet! Zapewniam cię, potrafię rozpoznać krew.

– Pewnie od miesiący nikt nie sprzątał pod tą szafą – westchnął,

odwracając się.

– To świeża krew. Jest tu najwyżej tydzień!

Zrezygnowany Gauvin usiadł na łóżku. Nie mógł zaprzeczyć, że smród rozkładu w sypialni stał się nieznośny. I że ten smród, bez cienia wątpliwości, wydobywał się z normandzkiej szafy.

– Choć raz w życiu – szeptała Diane-Perle – otwórz oczy i potraktuj sprawę poważnie. Ten facet zamordował żonę i ukrył trupa w szafie! Śpimy obok nieboszczki, mój drogi!

Gauvin wybełkotał kilka niezrozumiałych słów. O szóstej rano, nagi jak święty turecki i oślepiiony światłem, nie potrafił popisać się legendarnymi zdolnościami retorycznymi.

– Zawiadomimy policję – postanowiła Diane-Perle.

Gauvin rozmasował skronie i wzburzył włosy.

– I co im powiemy? Że pod meblem było parę kropli krwi? Że cuchnie zgnilizną? Że jakaś kobieta wcześniej wychodzi do pracy, a wraca tak późno, że ani razu jej nie widzieliśmy? Wyśmieją nas!

– W takim razie otwórz tę szafę!

– Lefebvre nam zabronił.

– Tratatata! Jasne, że nam zabronił, skoro wewnątrz jest trup jego żony.

Gauvin niechętnie wstał i nawet nie pofatygował się, by założyć bokserki. Przyjrzał się zamkniętym na klucz drzwiom. Nie miał żadnych narzędzi, które pomogłyby mu wyłamać zamek. Próbował nieśmiało wsunąć palec w kilkumilimetrową szczelinę między skrzydłami, na górze. Na próżno.

Diane-Perle podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Co za niezdara! Skonam zadżgana przez psychopatę, bo poślubiłam faceta, który nie potrafi posługiwać się śrubokrętem.

*

I wtedy Gauvin nareszcie się zdenerwował. Odrobinę. Na swój sposób. Polegało to na wypowiedzeniu trzech poważnych zdań podniesionym głosem. Praktycznie nigdy mu się to nie zdarzało;

dawało mu to ogromną przewagę nad żoną, jednak – aby metoda pozostała skuteczna – należało ją stosować z umiarem.

– Posłuchaj, Diane, trzeba zachować zimną krew. Sama powiedziałaś, a przecież znasz się na tym lepiej niż ja, że ta szafa to egzemplarz kolekcjonerski i że jest warta fortunę. Nie zamierzam jej dewastować z powodu jakichś żalonych podejrzeń.

– To co proponujesz? Mamy iść do Lefebvre’a i powiedzieć mu, że w sypialni cuchnie, a smród wydobywa się z szafy, i że dłużej tak być nie może?

– Całkiem logiczne rozwiązanie, przyznaję...

Diane-Perle patrzyła na niego z przerażeniem, a raczej lustrowała go od stóp do głów, jakby chciała ocenić, czy to stare gołe ciało warte jest jeszcze zachodu, czy też nadaje się tylko do wyrzucenia, a w najlepszym razie do recyklingu.

– Wszystko przez to, że nie masz odwagi otworzyć tej cholernej szafy!

– Diane, bądź rozsądna. Ta historia o zbrodni to miała być gra. Nie mamy żadnych obiektywnych przesłanek, żeby podejrzewać Lefebvre’a. A tym bardziej, żeby łamać jego zakazy. Dokładnie określił, jak mamy obchodzić się z tą szafą. Przyjechaliśmy na wakacje, ten dom jest idealny...

– Tylko że śmierdzi!

– W takim razie musimy powiedzieć o tym gospodarzowi. Skąd ma wiedzieć? Przecież zabroniłaś mu wchodzić do sypialni.

*

Gauvin zerknął przez okno. Brzask zaczynał rozjaśniać linię horyzontu, obsypując złotem łagodnie pofałdowaną krainę Caux. Ziemia się budziła, spokojna i cicha, nie zważając na morze, które rok po roku obgryzało jej paznokcie u stóp. W zwirowej alei zobaczył Lefebvre’a, który już wstał i ubrany w poplamiony fartuch niósł w każdej ręce po martwej gęsi.

Kaszlnął, zasłonił okno i odwrócił się do żony. Przeciwwstawienie się

jej, podniesienie na nią głosu podekscytowało go. Czuł początki erekcji, nawet jeśli nie śmiał spuścić oczu, by – w końcu jako emerytowany nauczyciel matematyki – oszacować kąt nachylenia co do stopnia.

Istota sprawy tkwiła w stwierdzeniu:

Stymulacja.

Kilka czerwonych kropli... skuteczniejsze od kilku niebieskich pigułek.

– Posłuchaj, Diane – powiedział, dążąc do zgody. – Jest tylko jedno rozwiązanie. Przez cały dzień będziemy dyskretnie prowadzili śledztwo, zbierzemy informacje, poszukamy jakichś tropów. Postaram się znaleźć jakieś narzędzie. A jeśli dziś wieczorem tajemnicza pani Lefebvre znów się nie pojawi, otworzę tę szafę.

Diane-Perle spuściła oczy na znak kapitulacji, szepcząc niezrozumiałe słowa, które zapewne oznaczały, że wieczorem ona także może być już martwa.

Gauvin zbliżył się o krok i wsunął rękę pod jej koszulkę nocną.

Cóż, gdyby ten poranek miał być ostatni...

– Przestań! – ofuknęła go i, znów pełna energii, wyskoczyła z łóżka.
– Musimy przeprowadzić śledztwo! Ubieraj się, mój Herkulesie! –
I jeszcze raz rozbawionym spojrzeniem oceniła anatomię swego męża. – Mój Herkulesie Poirot!

*

I zgodnie z planem przez cały dzień prowadzili śledztwo. Ich głównym celem było odnalezienie śladu pani Lefebvre. Trzymając się za ręce, spacerowali wokół gołębnika, pochylali się nad studnią, błądzili po sadzie. Pan Lefebvre o nic nie pytał, nie ruszył się od rana z miejsca, zajęty wzmacnianiem zaprawą murarską ceglanej ściany jednego z budynków gospodarczych.

– Zaleje ją cementem – szepnęła do ucha męża Diane-Perle. – Zrobi to, kiedy tylko stąd odejdziemy.

I przytuliła się do Gauvina.

Bezsprzecznie ta sytuacja miała swoje dobre strony, mimo że Gauvin zarzucił pomysł, by zaciągnąć żonę za gołębnik albo najgrubszą jabłoń.

– Zobacz – szepnęła nagle Diane-Perle. – Popatrz na to pranie.

– A co z nim?

– Wisi na sznurku od naszego przyjazdu. Nikt go nie zebrał. Nawet gdyby pani Lefebvre wyjeżdżała tak wcześnie, a wracała tak późno, jak twierdzi jej mąż, to i tak zebrałaby suchą bieliznę! Ten dworek jest bardzo zadbany, jak mogłaby pozwolić sobie na takie niedopatrzenie?

Kontynuowali inspekcję terenu bez pośpiechu, przytuleni.

– Skrzynka na listy, Gauvin. Zobacz, jest przepełniona reklamami i listami.

Szli dalej, obejmując się. Lefebvre wciąż nakładał zaprawę, od czasu do czasu uśmiechając się do nich.

Ostrożnie, udając, że podziwiają kwietniki, skręcili za stodołę i poszli do garażu, budynku z cegły na samym końcu posiadłości. Pod dachem z blachy falistej, obok czarnej terenówki z potężnym orurowaniem, samochodu nieznanego Gauwinowi marki, której logo był niedźwiedź z pazurami na wierzchu i z koroną nad łbem, zobaczyli jasnozielone twingo.

– Samochód jego żony! – stwierdziła triumfalnie Diane-Perle. – Jeżeli dotąd myślałeś, że codziennie odwiedza chorą ciotkę, to masz odpowiedź. Wcale stąd nie wyjechała!

Gauvin nie odpowiedział. Szedł przez garaż, uważając, by nie pchnąć żadnej ze zgromadzonych tu rzeczy – jakieś opony, narzędzi ogrodniczych, worka z ziemią, metalowej sztaby... A potem sprawdził kolejno wszystkie szuflady nad dużym warsztatem.

– Ostrożnie, Gauvinet – szepnęła Diane-Perle, stając na czatach.

Podobał się jej taki: zawsze prawy, trochę niezdarny. Człowiek z charakterem, w pewnym sensie. Człowiek o utrwalonych przekonaniach, na swój sposób. Kiedy po chwili wrócił do niej, chowając pod kurtką łom, prawie żałowała, że nie zaproponował jej teraz jakieś niegrzecznej gierki.

Nie tym razem.

– Musimy mieć czyste sumienie! – oświadczył z zadziwiającą

determinacją.

*

Znów znaleźli się na dziedzińcu.

I prawie od razu zwolnili kroku.

Lefebvre szedł w ich stronę. W obcisłym T-shircie, z naprężonymi mięśniami i zmrużonymi oczyma wyglądał trochę jak Charles Bronson – może z powodu słońca, które wbijało się promieniami w ich plecy, a może z powodu młota, który trzymał oburącz, przyciskając do torsu. Tym młotem od rana rozbijał cegły, krzemień i cement.

Gauvin zacisnął palce na łomie ukrytym pod kurtką. Diane-Perle drżała. Lefebvre zatrzymał się kilka metrów od nich, wykrzywiony, jakby zatracił resztki ogłady, jakby razem z tynkiem i kawałkami cegieł opadła z niego maska dobrego wychowania.

– Nie wybieracie się dziś na wycieczkę?

Gauvin wysunął się o krok, stając między Diane-Perle i człowiekiem z młotem. Uznała ten odruch za niesamowicie rycerski.

Czas, by i ona chroniła swego Gauvineta.

– Nie – rzuciła, mrugając fiołkowymi powiekami. – Jesteśmy trochę zmęczeni. Ta wczorajsza wspinaczka po wiszących dolinach kompletnie nas wykończyła. A posiadłość jest taka ładna, że warto się nią nacieszyć.

– Tak. Ale to przede wszystkim praca, bo o wszystko trzeba zadbać. Czasami człowiek ma ochotę to rzucić.

Wymachiwał im przed nosem żelaznym młotem, jak tamburmajorka pałeczką. Ani Gauvin, ani Diane-Perle nie odważyli się zapytać go o żonę. Każdy zakręcony młynek zdawał się oznaczać: „Wspomnij o niej, a roztrzaskam ci czaszkę”. Ale oboje zdawali sobie sprawę, że po raz pierwszy, natykając się na niego, nie mówią o pani Lefebvre i że takie przemilczenie jest bardzo podejrzane.

Stali tak całą wieczność, bojąc się odwrócić do niego plecami. Ich gospodarz zdawał się oczekiwać, że goście podtrzymają rozmowę, ponieważ jednak milczeli, odszedł, wciąż skrzywiony.

*

Kiedy wreszcie znaleźli się w pokoju, Gauvin rzucił łom na łóżko.

– Zastanówmy się jeszcze... – Czule pocałował żonę. – Diane, nie zamierzam przed tobą ukrywać, że w starciu z tym osiłkiem niewiele mógłbym zdziałać. Może powinniśmy się stąd po prostu wynieść i o wszystkim zapomnieć.

– I żyć z takim ciężarem? To niemożliwe!

Patrzyła na wygięty na końcu pręt z czarnego metalu, wynurzający się spod kremowych koronek pościeli niczym wąż, który odciska swój ślad na piasku.

– Otwórz mi tę szafę, Gauvin, i skończmy z tym wreszcie!

– Minutkę, kochanie. Wiem, że nie znosisz, kiedy myślę jak kartezyński matematyk i stary belfer, ale czasami to konieczne. Jeżeli otworzę tę szafę łomem, są dwie możliwości. Tylko dwie. I żadna z nich mi się nie podoba. Albo w szafie nie ma trupa, więc okaże się, że bez powodu zdewastowaliśmy mebel nieszczęsnych państwa Lefebvre; albo jest tam rozkładające się ciało, a wtedy zostaniemy świadkami zbrodni psychopaty, z którym będziemy musieli pozostać przez długie minuty, dopóki nie przyjedzie policja...

Diane-Perle wciągnęła powietrze w nozdrza. Smród był coraz silniejszy.

– Jesteś zwyczajnym tchórzem! – wybuchła nagle.

I zaczęła opróżniać wszystkie szuflady w sypialni, aneksie kuchennym, łazience, komodzie. Chwyciła ścierkę i przecierała każdy mebel, każdy kąt, szukając najdrobniejszego śladu popełnionej tu zbrodni.

Gauvin patrzył na nią w osłupieniu, podskakując przy byle hałasie.

– Pomóż mi, tchórzku! – rozkazała, tym razem nie zniżając już głosu.

Chciała przesunąć materac, który blokowała rama łoża z baldachimem.

Wspólnymi siłami, po kilku minutach, zdołali unieść go z jednej strony i zrzucić na bok.

A potem skamienieli.

Pod materacem schowana była koszula. Damska koszula, biała, poplamiona krwią, taka jak dawne koszule skazańców kładących głowę pod gilotynę.

*

Jeszcze jeden dowód... ale to nie ten kawałek materiału wsunięty pod materac był źródłem ohydny smrodu.

Teraz już Gauvin sięgnął po łom, decydując się na działanie.

– Diane – polecił – weź telefon komórkowy i wybierz numer żandarmerii w Doudeville. Kiedy tylko otworzę szafę, dzwoń i wszystko im powiedz. Zaraz potem wychodzimy stąd, nie zabierając rzeczy, i idziemy w stronę naszego sebringa, zachowując się, jakby nigdy nic, spokojnym krokiem, bez oglądania się za siebie.

Diane-Perle skinęła głową. W drżącej ręce ścisnęła telefon komórkowy. Gauvin odważył się jeszcze wyrzucić przez okno.

– Gdzie jest?

– Nie wiem, już go nie widzę.

– Trudno!

Gauvin chwycił łom i po chwili namysłu postanowił zacząć od zawiasów prawego skrzydła drzwi.

Ledwie dotknął górnego, drzwi trzasnęły o podłogę. Od razu odpadło drugie skrzydło, a w ślad za nim wszystkie listwy, wsporniki, półki, w końcu zaś mocno już rozkołysane boczne ścianki i podtrzymywany przez nie gzyms, który z potwornym hukiem runął z wysokości dwóch metrów.

Rzeźbione w drewnie zwierzęta potoczyły się po parkiecie, okaleczone motyle, jagnięta na dwóch nogach, zmiażdżone węże, sowa bez głowy. Elementy gzymsu poodpadały, podobnie jak płyciny drzwi.

*

Katakлизм.

Huk, który słyhać było w najdalszym zakątku posiadłości...

Morderca z pewnością go słyszał!

Tylko że nie było mordercy. Ani mordercy, ani zwłok.

Na najniższej półce szafy, na poźółkłym prześcieradle, leżały dwa dorosłe szczury i miot pięciu młodych. Wszystkie zdechłe, w stanie rozkładu, najprawdopodobniej uśmiercone trutką wyłożoną w dworku. I to było źródło smrodu.

Gauvin, wciąż trzymając w ręku łom, wybuchnął histerycznym śmiechem, nad którym nie potrafił zapanować.

*

Za ich plecami rozbrzmiał głuchy głos.

– Co państwo zrobili?!

Nie czekając na odpowiedź, Lefebvre uklęknął pośród kawałków drewna. Kompletnie załamany, próbował je poskładać, zbierał porozrzucane deski, kołki, zwierzęta – wszystkie elementy układanki cierpliwie tworzonej przed tyloma laty, teraz roztrzaskane w kilka sekund przez wariata w porywie złości albo obłądu.

Długo klęczał, nie mogąc otrząsnąć się z szoku, a później odwrócił głowę i spojrzał na gości.

– Jak to się stało?

Zdenerwowana Diane-Perle zapomniała o zniknięciu pani Lefebvre, o zakrwawionej koszuli, o kłamstwach Lefebvre'a; nad tym wszystkim górę wzięło poczucie winy, takie, jakie ma dziecko, które potłukło wazę w chwili, gdy dorośli otwierali już drzwi mieszkania.

– Tu... tu coś cuchnęło – wyznała z ciężkim sercem i wskazała palcem zdechłe szczury.

– Próbowałem otworzyć szafę – dodał Gauvin.

Uniósł łom, który trzymał w prawej ręce. Lefebvre przewracał oczyma, bardziej zdumiony niż zdenerwowany. Jakby taka głupota była dla niego niepojęta.

– Ale dlaczego nic mi nie powiedzieliście? – wybełkotał. – Przecież codziennie pytałem, czy wszystko jest w porządku.

Jego głos brzmiał już spokojnie, jakby żal był silniejszy od gniewu. Zresztą, czy warto zdzierać sobie gardło na takich wariatów?

Gauvin milczał. Diane-Perle postanowiła inaczej rozegrać tę sprawę.

– Pewnie będzie się pan z nas śmiał, ale, prawdę mówiąc, nie wspomnieliśmy o niczym, ponieważ obawialiśmy się, że...

Gauvin odkaszlnął i wpadł jej w słowo, podnosząc głos:

– Obawialiśmy się, że w natłoku zajęć nie znajdzie pan dla nas czasu. Nie chcieliśmy... panu przeszkadzać.

Diane-Perle była lekko obruszona, ale już się nie odezwała.

Lefebvre znów skupił uwagę na szczątkach szafy. Wyjaśnienia paryżan wydawały się tak banalne w obliczu tragedii...

– Przecież was uprzedzałem. Ta szafa była krucha jak szklana półeczka. Od trzystu lat przechodziła w naszej rodzinie z ojca na syna. Jak mam ją naprawić? Już po niej, już po niej...

Diane-Perle, nie zważając na gromiące ją spojrzenia męża, chwyciła zakrwawioną koszulę, którą znalazła pod materacem, żeby podsunąć ją Lefebvre'owi pod nos. Dlaczego pomijać okoliczności łagodzące? Była zdecydowana kontratakować, omówić punkt po punkcie umowę, jaką zawarła z jego żoną, umowę, której nie dotrzymano... gdy warkot silnika przed domem oderwał ich od rozmowy.

Biała stoszóstka jechała zwirową aleją pod topolami.

Z samochodu wysiadła pani Lefebvre. Promienna i pełna wdzięku, jak na zdjęciach w salonie. Niska, pulchna, energiczna.

To był ostateczny cios!

– Ale... naprawdę tu cuchnęło – szepnęła ledwie słyszalnym głosem Diane-Perle.

Gauvin już nie słuchał – po prostu wyjął z kieszeni książeczkę czekową, nerwowo wypisał czek i wyrwał go pewnym ruchem.

– Naprawdę jest nam bardzo przykro. Zachowaliśmy się jak idioci, trudno to inaczej nazwać. Proszę, wiem, że to nie wyrówna sentymentalnej wartości tego mebla, a nawet jego wartości historycznej... – Popatrzył jeszcze na rozrzucone deski. – Ale nic więcej nie możemy zrobić, chyba tylko raz jeszcze przeprosić.

Lefebvre chwycił papierek jakby z pogardą, nie patrząc na kwotę,

za to wciąż na szczątki szafy.

*

Pięć minut później Diane i Gauvin wyjechali, wcisnąwszy rzeczy do walizek, a walizki do samochodu.

Co za wstyd! Wstyd ich życia!

*

Kiedy tylko chrysler sebring zniknął na końcu topolowej alejki, pani Lefebvre zwróciła się do męża, zniecierpliwiona.

– Mów, ile?

– Cztery tysiące euro! – wykrzyknął Lefebvre.

Jego żona klasnęła w dłonie.

– Cztery tysiące! Ładnie! Daleko do naszego rekordu, ale nie spodziewałam się aż tyle po tym nauczycielskim małżeństwie.

Popatrzyła na rozrzucone deski.

– A cztery tysiące euro za rozsypującą się normandzką szafę, podartą koszulę i miot zdechłych szczurów to całkiem dobry interes! Uda ci się ją jeszcze jakoś naprawić?

– Jasne! Musi się trzymać tylko na tyle, żeby runęła, kiedy ktoś dotknie zawiasów. Nie martw się. Mam czas, następnego paryżanie przyjadą dopiero za trzy dni.

Pani Lefebvre rzuciła mu błagalne spojrzenie.

– A może tym razem ja zagrałabym morderczynię?

– Nie ma mowy – odparł z uśmiechem jej mąż. – Jestem od ciebie dużo bardziej wiarygodny w roli seryjnego mordercy z Caux!

– Proszę cię! Piekarka powiedziała mi, że dobrze by było coś zmienić. Już się widzę jako czarownica z krainy Caux, kiedy zbieram zioła, zostawiam w domu truciznę, gadam z czarnym kotem, który łasi mi się do nóg...

– Dobrze, dobrze, zobaczymy.

*

Chrysler wolno jechał przez lasy doliny Austreberthe pod Rouen. Ani Gauvin, ani Diane-Perle nie odezwali się ani słowem od opuszczenia dworku.

Zaczynało się ściemniać. Las był gęsty, mroczny; wokół ani żywego ducha.

Diane-Perle zauważyła wąską drogę biegnącą pośród drzew, a nieco dalej mały, mający za ścianą zieleni parking.

Położyła rękę na kolanie męża. Delikatnie przesuwiała ją po jego udzie, gdy redukował bieg, by wolniej wejść w zakręt. Potem palcem wskazującym włączyła światła awaryjne, szepcząc:

– Zatrzymaj się. Zatrzymaj.

Życie strychu

1

Wszystko zaczęło się w majową niedzielę. Niezwykle piękną niedzielę.

Zdaję sobie sprawę, że trudno uwierzyć w to, co przeczytacie. Bardzo trudno.

Dlatego postaram się opowiedzieć wam o każdym etapie tej tajemniczej historii dokładnie tak, jak ją przeżywałem. Chociaż nie jestem w tym najlepszy, nie umiem mówić o sobie.

Ale Muguette jest mi świadkiem i powie wam to może lepiej niż ja: niczego nie zmyśliłem! Fakty są faktami. Kłóć się z rozumem, jednak są realne. Układałem to sobie na wszystkie możliwe sposoby, starając się spójnie wszystko połączyć. O mało nie oszalałem, bo wciąż znajdowałem tylko jedno rozwiązanie, w które nikt nie wierzył. Może wy, bardziej obiektywni, mniej skoncentrowani, niezaangażowani w to wszystko, zdołacie mi uwierzyć?

*

A zatem wszystko zaczęło się w majową niedzielę. Siedziałem na krześle przy biurku, twarzą do okna. Na horyzoncie nie dostrzegałem ani jednej chmury, jak okiem sięgnąć tylko czysty błękit nieba i ani odrobiny wiatru, który wprowadziłby w drżenie liście wierzby płaczącej albo zmarszczył tafłę wody w sadzawce pod moim oknem. Nic! Tylko piękne majowe popołudnie. Zbyt piękne, by nie mieć się na baczności.

Po mojej prawej ręce piętrzył się stos gazet wysoki na trzydzieści centymetrów, po lewej natomiast leżało pewnie z dziesięć książek, toteż została mi zaledwie odrobina miejsca na laptop. *Sprawa otrutej Josacine* – informowały tytuły gazet na biurku. Przyznaję, nie jest to zbyt oryginalna informacja z kroniki kryminalnej, ale nie da się jej

pominąć, a przede wszystkim byłem święcie przekonany o słuszności tezy o pomyłce sądowej oraz hipotezy wypadku w domu, czego jednak wymiar sprawiedliwości nie chciał przyznać.

Po sukcesie pierwszego tomu – *Zbrodnie pod jabłoniami* (jestem bardzo dumny z tego tytułu). *Morderstwa i niewyjaśnione zdarzenia w Normandii* (ten podtytuł narzucił mi wydawca) – trzech dodrukach i dokładnie 773 sprzedanych egzemplarzach wydawca żądał ode mnie tomu drugiego jeszcze przed latem. Dlatego też w pośpiechu wybrałem dziesięć nowych wydarzeń, ekshumowałem setki artykułów z lokalnych gazet, wyselekcjonowałem i skopiowałem tysiące stron materiałów archiwalnych, a następnie, ze ściśniętym żołądkiem, zabrałem się do pisania w nadziei, że znajdę w sobie natchnienie, dzięki któremu liczne lokalne tygodniki, jak „Les Informations dieppoises”, „L’Impartial” czy „L’Éveil de Pont-Audemer”, twierdziły, że mam styl zarazem wrażliwy, precyzyjny i ironiczny.

Sami będziecie mogli to ocenić!

Wierzcie mi, chyba to ja jestem tym najbardziej zaskoczony. Przed czterema laty, kiedy przeszedłem na emeryturę i pożegnałem się z pracą kontrolera kolei państwowych, i kiedy Florian i Pauline wyjechali z domu na studia, zastanawiałem się, jak wypełnić sobie dni. I nawet nie przyszło mi na myśl, że dziś całą moją energię poświęcać będę na zajęcia tak pasjonujące, wręcz pochłaniające, że stopniowo zaniedbam wszystko, co przedtem miało dla mnie takie znaczenie – wycieczki rowerowe z kolegami, comiesięczne spotkania w restauracji z byłymi współpracownikami z linii Rouen–Paryż, weekendy z rodziną.

Ja, który przez całe życie czekałem na emeryturę bez zniecierpliwienia, ale i bez większych obaw, trochę tak, jak czeka się, by iść spać po wypełnionym po brzegi dniu, teraz czułem nagłą potrzebę, coś w rodzaju strachu, że nie zdążę wszystkiego napisać, nim dopadnie mnie starość. Nie wiem, czy potraficie to zrozumieć: w lokalnych kronikach jest mnóstwo zapomnianych wydarzeń, które na zawsze popadną w niepamięć, jeśli nikt nie zada sobie trudu, by pochylić się nad tymi złamanymi zyciami i niewyjaśnionymi

zbrodniami.

Choć może się wam to wydać śmieszne, mając pięćdziesiąt dziewięć lat, niemal każdego ranka odliczam piękne lata, jakie mam jeszcze przed sobą, gdy człowiek jest nadal pełen życia, i złorzeczę na tak szybkie przemijanie dni. Zbyt szybkie, bym mógł zrealizować swą pasję. A właściwie więcej niż pasję: swoją misję.

*

Prawdopodobnie snułem właśnie takie rozważania, kiedy usłyszałem kroki na schodach.

Muguette, któż by inny.

Miała sukienkę w kwiatki, pachniała wiosną, umalowała się w kolorach wiosny. I czułem, że przyszła, żeby mnie zgilotynować.

– Gabrieliu, chyba nie będziesz siedział w zamknięciu przez cały dzień?

Bum!

A nie mówiłem?

Gdyby padało, a przynajmniej kropiło, gdyby z nieba leciała przyjemna normandzka mżawka majowa przy pocziwych dziesięciu stopniach i przejmującym zachodnim wietrze, Muguette przyniosłaby mi kawę i zapytała: „Dobrze ci się pisze, kochanie?”, a potem pozwoliłaby mi spokojnie pracować przez całe popołudnie.

Ale dziś...

– Widzisz, jakie cudowne słońce, kochanie?

Odkąd piszę, rozumiem, dlaczego Normandia to wyjątkowa kraina pisarzy – od Flauberta po Maupassanta. Nie ze względu na bliskość Paryża, morza, romantycznych chat krytych słomą czy nawiedzonych opactw. Nie. To bez związku. Jeżeli normandzcy pisarze od zawsze wypełniali słowami więcej kart niż ci z innych regionów, to wyłącznie ze względu na pogodę!

Gdy Muguette kładła mi rękę na ramieniu, ja błyskawicznie opracowywałem strategię. Mimo słońca niewiele mi groziło: jakież zajęcie można znaleźć, by się rozerwać w Touffreville-la-Corbeline,

w samym sercu krainy Caux, w majową niedzielę? Dyplomatycznie zgodzę się na podwieczorek w ogrodzie, dam Muguette pół godzinki na pogawędkę, będę się zachwycił geranium i różami, a potem tu wrócę!

– Taki piękny dzień – nie ustępowała Muguette. – Nie nacieszyć się nim to zbrodnia!

W odpowiedzi ziewnąłem jak niedźwiedź wyrwany z zimowego snu przez wiosnę. Muguette uśmiechnęła się, znała mnie, cofnęła rękę z mojego ramienia i rozłożyła trzymaną w drugiej gazetę. Prawdziwą gazetę, nie stary pożółkły egzemplarz krzyczący nagłówkami o wisielcu w gołębniku na fermie.

Dzisiejszą gazetę.

Straszny ze mnie głupiec!

Czułem, że pułapka się zamyka. Muszę wam powiedzieć, że chociaż lubię kroniki wydarzeń, to nie jestem przewrotnym manipulantem. Wręcz przeciwnie. Myślę, że te sprawy interesują mnie przede wszystkim dlatego, że brak mi wyobraźni. Moją jedyną przyjemnością, jedynym talentem jest wnikliwe badanie ich konstrukcji, tak jak zegarmistrz rozkładałby skomplikowany mechanizm. W rzeczywistości jestem człowiekiem naiwnym, prostym, zwyczajnym, nie ma we mnie za grosz wyrachowania. Zupełnie inaczej niż Muguette, której mózg bez wytchnienia obmyśla plany, by mnie chronić, zabawiać, kochać, zapewniać mi szczęście, choć o nic nie prosiłem.

– No już, Gaby, chodź przewietrzyć neurony!

Kiwam głową, mam jeszcze nadzieję, że jakoś się wymigam.

– Masz rację. Krótka przerwa dobrze mi zrobi. Otworzymy sobie butelkę cydru i posiedzimy na werandzie?

Pół godzinki i już, sprawa załatwiona!

– Mam dla ciebie coś lepszego, kochanie!

Muguette podsunęła mi pod nos „Le Courrier cauchois”.

Wpadłem w potrzask. Dałem się zwieść. Przyprzeć do muru.

Spojrzałem na normandzkie słońce, przeklinając je na wieki.

Muguette powściągała triumfalny uśmiech, ale jednak napierała, jakbym nie umiał czytać.

Niedziela, 21 maja 2017
Jarmark różności Świętego Konstantego
Stadion Miejski w Touffreville-la-Corbeline
9.00–19.00
Ponad 50 wystawców

Komentarz Muguette

Nie dajcie się zwieść!

Mój Gaby chce zwrócić na siebie uwagę. Pokazać, jaki jest mądry, nieszczęśliwy, mój biedny mężuś, który nie ma w sobie ani odrobiny wyrachowania, biedny mężuś, którego wyciągam przemocą z tej jego jaskini, żeby wygrzał kości w słońcu. Na pewno się ze mną zgodzicie: skoro poświęca tyle czasu i uwagi, żeby opowiedzieć tę historię o słonecznej niedzieli, o swoich rozterkach i podstępnych kalkulacjach swojej przebiegłej żony, to najwyraźniej potrzebuje odmiany po tych wszystkich potwornych relacjach i opisach najohydniejszych morderstw!

Bo w gruncie rzeczy mówienie o sobie wcale nie jest dla niego takie niemiłe.

Ale czy mam powody do narzekań? Zostawia mi kilka linijek na końcu rozdziału, żebym podała własną wersję.

Możecie być spokojni – nie zmarnuję takiej okazji.

2

Coś wam powiem. Sformułowanie „jarmark różności” jest prawie nieznanne poza granicami Normandii. To swoisty egzotyczny barbaryzm. W każdym innym regionie Francji mówi się o wyprzedaży strychowej, garażowej, ewentualnie o brokanterstwie, pchlim targu, handlu starociami... Zdobywałem cenną wiedzę podczas wakacji spędzanych w różnych stronach Heksagonu, kiedy dreptałem między handlarzami skupionymi na rynku małego miasteczka albo przy moło na plaży.

Wyznam wam coś jeszcze. Tylko jedno jest równie nudne jak włączenie się po jarmarku różności: handlowanie na tym jarmarku! Poświęcić tydzień na opróżnianie domu, pakowanie bibelotów, zabawek, ciuchów, umieszczanie ich w bagażniku samochodu, wykładanie ich na kawałku ziemi długości trzech metrów, jaki wydziela się sprzedającym na stadionie albo w sali weselnej... A potem czekać, czekać i czekać, bo dobre interesy robi się tylko przez pierwszy kwadrans. To złota zasada jarmarków różności: wystawione rzeczy sprzedają się natychmiast... albo nigdy! Pod koniec dnia zarobiona suma ledwie pokrywa koszt hot dogów z frytkami, które kupiliście w południe przy grillu, żeby zasilić kasę klubu piłkarskiego albo wesprzeć ochotniczą straż pożarną.

I jak rozwikłać tę zagadkę? Po co zawracać sobie głowę i marnować w ten sposób cały wolny dzień, skoro dziś nieporównywalnie łatwiej i korzystniej jest upłynnić domowe ramoty przez internet? Ale chyba potrafię to wyjaśnić: kryzys jest tylko prymitywnym pretekstem, mającym usprawiedliwiać to zamiłowanie do normandzkich jarmarków różności i wszelkich wyprzedaży garażowych na świecie. W rzeczywistości przyczynę ich popularności można ująć w kilku

słowach, które nie mają nic wspólnego z pieniędzmi: zobaczyć się z ludźmi!

Cudownie! A ja nie chcę nikogo widzieć! Interesują mnie tylko zmarli i ich zabójcy – równie martwi jak ich ofiary, tyle że zmarli we własnych łózkach, bezkarni. To moje prawo, a śmiem nawet dodać – mój obowiązek!

*

Już prawie kwadrans włączyłem się po boisku piłkarskim, na które wtargnął tłum ludzi. Muguette i ja przyszedliśmy piechotą. Stadion Touffreville-la-Corbeline znajduje się osiemset metrów od naszego domu. Samochody stały zaparkowane na poboczu i u podnóża zbocza, aż po najbliższe osady, Bourg-Naudin, Mont-du-Cul, Marais. Wielokilometrowy sznur aut!

I morze ludzi. Miałem wrażenie, że było ich czterokrotnie więcej niż mieszkańców Touffreville-la-Corbeline.

Jedyną pociechą był dla mnie widok innych dobrych mężów, którzy jak ja szli w wolnym tempie po trawie (po której uwielbiali biegać w korkach); wszyscy zerkali w roztargnieniu na płyty, książki, ciuchy, zabawki, identyczne na wszystkich straganach.

Muguette nabierała werwy. Zorganizowana kobieta! Kiedy szła na taki bazar, stosowała strategię polegającą na wyznaczeniu sobie precyzyjnego celu, podjęciu misji niemal niemożliwej do spełnienia. Kiedy Florian i Pauline byli mali, chodziło zwykle o rzadką książkę, drugi rower do zostawienia u babci, tanie kasety wideo, starą konew na mleko do ogrodu... Byle co, czego poszukiwanie stawało się kwestią być albo nie być i usprawiedliwiała przemierzanie alejki po alejce, a w razie niepowodzenia wyprawę do sąsiedniego miasteczka, za tydzień.

Tym razem Muguette szukała drabinki, takiej niskiej, o szerokich szczeblach, no i taniej, do pomalowania, żeby ustawić ją pod ścianą domu i wykorzystać jako stojak na doniczki z kwiatami. Rzecz nie do zdobycia, a więc zajęcie na całe lato.

A jednak nie!

Szczęście uśmiechnęło się do Muguette bardzo szeroko, bo wyszperała dokładnie to, czego chciała, na straganie faceta, który przecierał oczy ze zdumienia, że tak łatwo pozbył się toczonej przez robaki drabinki, nie fatygując się nawet do śmietnika. Cud, powiedziałem sobie. Szybko to załatwiliśmy... Ale później Muguette zaczęła się targować.

*

Czekałem. Wodziłem wzrokiem po sąsiednich straganach. Szczerze mówiąc, uważam, że to zgromadzenie rodzin rozstających się z osobistymi rzeczami ma w sobie coś wzruszającego. Całe życia wyłożone na desce wspartej kozłami. Żeby pozbyć się pamiątek i nie czuć rozżalenia, kiedy przyjdzie wtłoczyć śmietnik tego życia do dziesięciometrowego pokoiku w domu starców. Albo trochę później, do dwumetrowej trumny.

Podczas gdy ja tak sobie poetyzowałem, Muguette wciąż się targowała.

Dreptałem w miejscu i wtedy moje spojrzenie zatrzymało się na straganie naprzeciwko. Obserwowałem. Filozofowałem. Dostrzegłem inną niezmienną cechę jarmarków różności: to śmietniki czasu.

Wszyscy sprzedający wystawiają takie same rzeczy!

Nieodzowne w tych samych latach. Niemodne po kilku sezonach.

Wszyscy. Bez wyjątku.

Moją uwagę przyciągnęło pudło z płytami i kasetami wideo. Dokładnie przede mną. W myśli obstawiałem już, co tam znajdę, i przyjąłem, że będzie to to samo, co ma każda rodzina. Kolekcja *Žandarm z Saint-Tropez*, Andżeliki, Bruce Lee, Star Treki... Stare winyle Céline Dion, Supertramp, France Gall, Pink Floyd... Podeszedłem bliżej i zerknąłem na pudełka z gramami. Cluedo, Cztery Wygrywa, Master Mind. Oczywiście, Florian i Pauline też je mieli!

Tuż obok piętrzyły się figurki, jakie poniewierały się i po naszym domu – zapomniane gwiazdy tysięcy domowych telerzeczywistości: Teletubiś Dipsy, Pełzak Tommy Pickles, Barbalala z rodziny

Barbapapów.

Zrobiłem jeszcze krok, mimo wszystko pod wrażeniem faktu, że kiedyś posiadałem większość ułożonych na tym straganie rzeczy.

Na pudełku stały dwie miniatury samochodów: 205 GTJ w kolorze białym i żółty renault spider – dokładnie takie, jakie kolekcjonował Florian.

Odwrociłem głowę w prawo, gdzie wystawiono zabawki dla najmłodszych dzieci.

Zafascynowany, patrzyłem na konia na biegunach, interaktywny stolik do zabawy, karuzelę z zawieszkami w kształcie lizaków i zajaczków. Wszyscy kupowali takie, powiedziałem sobie, jakbym chciał zachować logiczne podejście do tych zbiegów okoliczności, które zaczynały mnie fascynować.

Wszyscy?

Mój umysł lekko się gubił.

Czy każda rodzina miała takiego samego konia na biegunach, tego, którego moja matka podarowała nam, kiedy urodziła się Pauline? Z tym czerwonym siodełkiem, grzywą zebry i srebrnymi kopytami? Taki sam stolik na grubych czerwonych nogach z pianinkiem o trzech klawiszach i czterema żabami ukrytymi pod plastikowymi nenufarami? Taki sam wózek-parasolkę – turkusowy, z odchylanym daszkiem, niezwykle zwrotny, identyczny jak ten, który wybraliśmy z Muguette przed narodzinami Floriana, dwadzieścia pięć lat temu?

Kobieta, do której należało stoisko, patrzyła na mnie z uśmiechem. Przy kości, mniej więcej w moim wieku, ubrana w szeroką szarą sukienkę w delikatne maki. Pewnie wyglądałem na dobrego klienta. Mężczyźni kupują szybko i drogo. Bez targowania się.

Odwzajemniłem uśmiech i nadal oglądałem rzeczy na straganie, starając się nie okazywać targających mną emocji.

Obok zabawek dla maluchów leżały trzy pudełka puzzli Walta Disneya. *Mulan*, *Król lew*, *Pocahontas*. Pauline i Florian dostali takie same, dokładnie takie same!

Zmuszałem się do myślenia, że to logiczne. Po prostu kwestia pokolenia. Wszystkie dzieci w ich wieku oglądały te same filmy. Kochały te same postacie, te same pluszaki, te same lalki. Przed

oczyna stanęła mi Pauline obejmująca we władanie salon, by wydać obiad dla lalek, a potem powitać mnie po późnym powrocie z trasy Paryż–Rouen wraz ze wszystkimi lalkami usadowionymi na kanapie. Żaden tata, nawet po tylu latach, nie mógłby zapomnieć ich imion. Charlotte – blondynka z długimi warkoczami; Laura – łysy i pyzaty bobas; Imani – duża czarna lala z kręconymi włosami; Kelly – mała rudowłosa Barbie.

Cholera!

Chyba naprawdę przekleństwo wyrwało mi się z ust.

One wszystkie tu były!

Uświadomiłem sobie, że drżą mi ręce. Charlotte, Laura, Imani i Kelly siedziały przede mną. Na blacie. Pięć euro za lalkę. Dziesięć euro z ubrankami. Uśmiechnięte, jakby rozpoznały tatę.

Mnie!

Zdaje się, że pod wpływem szoku o mało nie zacząłem wymieniać ich imion, żeby się przekonać, czy zareagują... Ale ten idiotyczny pomysł wystarczył, by przywrócić mi rozsądek. Żeby zdusić w zarodku kolejną falę dreszczy, które ogarniały już moje nogi, powtarzałem sobie, że wszystkie dziewczynki bawiły się w pewnym wieku takimi samymi lalkami. A fakt, że znalazły się razem, na jednym straganie, to zwyczajny zbieg okoliczności.

Kobieta w sukience w maki wciąż na mnie patrzyła.

Zażenowany, zanurzyłem spojrzenie w pudle z płytami CD. Jak wielu dorosłych z mojego pokolenia słuchałem głównie piosenek francuskich i rocka, najwyraźniej jednak gusta rodziny wyzbywającej się rzeczy były bardziej współczesne i... bardziej *hard*. Trochę jak te Floriana, mojego wielkiego buntownika, który jako nastolatek mimo wszystko zdołał zarazić mnie upodobaniem do metalu, do gitarowych riffów i skandowanych refrenów, z których nic nie da się zrozumieć.

Oglądałem płytę po płycie.

– Dwa euro za sztukę, dziesięć euro za siedem – poinformowała makowa pani.

Florian najbardziej lubił...

Nevermind Nirvany.

Przerzucałem rzeczy w pudle jak kartki książki. Szybko. Tak jak

przypuszczałem, płyta z pływającym niemowlakiem na okładce też tu była. Nic dziwnego. A jednak ugięły się pode mną nogi, a drżenie ogarnęło łokcie.

Uspokoić się. Uspokoić...

Florian godzinami słuchał też muzyki z *The Black Album* Metalliki. Nie zaskoczył mnie więc widok węża na czarnej okładce...

Okej, sprawdzimy coś rzadszego. Florian uwielbiał *Ten* Pearl Jam.

Jest! Znalazłem go między albumem AC/CD i Radiohead.

Pełen niedowierzania szperałem w pamięci. Przypomniałem sobie *Blue Lines* Massive Attack.

Do diabła, ta płyta też tu była!

Wstrzymując oddech, zapuszczałem się w przeszłość, miałem wrażenie, że stawiam wszystko na jedną kartę, że narażam swoje zdrowie psychiczne; przypomniałem sobie, że Florian ze szczególnym uwielbieniem odnosił się do *Act III* zespołu Death Angel. Pewnej nocy, około trzeciej nad ranem, obudził cały dom, słuchając tej muzyki z rozkręconej na cały regulator wieży hi-fi przez słuchawki, których... nie podłączył. Niemożliwe, żeby ten album tu był.

Coraz szybciej szperałem w pudle z płytami. Byłem jak zahipnotyzowany. Wystarczyło, że przełożyłem trzy CD, by w głowie eksplodowała mi bomba.

Jest!

Od razu rozpoznałem szkarłatną zasłonę na okładce *Act III*, sąsiadującej z zieloną obwolutą The Alan Parsons Project.

Nie brakowało żadnego z ulubionych albumów Floriana, nawet tych, które nie były tak popularne.

Oparłem dłoń na drewnianym blacie, jak człowiek, który potknął się i chwytą równowagę. Chciałem zmusić się do trzeźwego myślenia, ocenić, jakie jest prawdopodobieństwo, że wszystkie te znajome mi rzeczy znalazły się zgromadzone na dwóch metrach kwadratowych straganu.

Zerowe. Może jeden do miliarda.

Makowa pani już na mnie nie patrzyła, zajęta układaniem kartonów w przyczepie zaparkowanej za straganem.

Skorzystać z okazji! Cofnąłem się, wyjąłem z kieszeni komórkę i z

szybkością, do jakiej, moim zdaniem, nie byłem zdolny, strzeliłem dziesięć zdjęć straganu – dział niemowlęcy, ubrania, płyty, zabawki, lalki.

Żeby udowodnić sobie, że nie jestem świrem. I żeby pokazać to wszystko Muguette. Moja żona miała lepszą pamięć niż ja. Przypomni sobie. Wyjaśni tę tajemnicę.

*

Nawiasem mówiąc, Muguette wciąż się targowała. Podszedłem, by usłyszeć, jak kończy negocjacje, oznajmiając sprzedającemu, który ostatecznie obniżył cenę drabinki o połowę:

– Nie, rozmyśliłam się, nie kupię jej. Właściwie szukam takiej pięciostopniowej. Chyba spróbuję szczęścia w przyszłym tygodniu na jarmarku różności w La Folletière.

Komentarz Muguette

Na tym etapie opowieści, nie chcąc zakłócać napięcia relacji tak dobrze konstruowanej przez mojego męża pisarza, pragnę tylko wyjaśnić, że Gabriel znacznie wyolbrzymia mój – ponoć niepoohamowany – pociąg do jarmarków.

Jeżeli wybiorę się na pięć jarmarków w ciągu roku, to już rekord! I choć przyznaję, że siłą ciągnę tam mojego biednego mężulka, to faktem jest, że na ogół wracam z pustymi rękami, natomiast on spędza na jarmarku wiele godzin i zawsze przynosi do domu sterty książek, płyt i innych niesamowitych skarbów, które wyszperał. Zupełnie jakby przedmioty też mogły opowiadać nam o przeszłości.

3

Wydrukowałem wszystkie zdjęcia zrobione na straganie makowej pani i rozłożyłem je na stole w salonie. Muguette uważnie je obejrzała, a potem skomentowała tę ekspozycję, nawet nie starając się ukryć kpiącego tonu w głosie:

– Niesamowity Gaby! Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że ta dzielna kobieta miała syna i córkę i że jej dzieci są rówieśnikami naszych? Że wozila je wózkiem-parasolką, że kupowała córce lalki, a synowi samochody i figurki, że on słuchał rocka i metalu, kiedy był nastolatkiem?

Nie miałem jej tego za złe. To do siebie miałem pretensję. O to, że od razu nie zaprowadziłem Muguette do tego straganu. Na miejscu rozpoznalaby lalki, wózek, konika na biegunach, płyty. Na pewno przypomniałaby sobie szczegóły – uszkodzone koło, ślad ołówka na pudełku z grą, rysę na figurce... Nie odważyłem się, Muguette nie należy do osób, które potrafią zachować dyskrecję, kiedy powierzy się im sekret.

Nie poddawałem się i podsunąłem jej pod nos zdjęcie z lalkami na pierwszym planie.

– Przyjrzyj się uważnie. Na pewno poznajesz rodzinę Pauline w komplecie! Charlotte, Laura, Imani i Kelly... Blondynka, łysa, brunetka, ruda. Jej sławetne czworaczki. Razem!

Muguette uśmiechnęła się w sposób, którego nie znoszę. Jak wtedy, kiedy usiłuję przedstawić jej hipotezę wyjaśniającą jakieś przestępstwo.

– Daj spokój, Gaby. Kiedy dzieci były małe, do skrzynek wrzucano wszystkim ten sam katalog zabawek. Do każdego z nas trafiała ta sama oferta. W telewizji pokazywano w kółko te same reklamy.

Wszystkie dziewczynki, które były w tym samym wieku, zamawiały u Świętego Mikołaja te same zabawki.

Odłożyłem zdjęcie. Zdenerwowany.

– Jedna lalka, dobrze, zgadzam się... ale suma tych zbiegów okoliczności jest nieprawdopodobna! Wszystkie nasze zabawki, wszystkie płyty, wszystkie rzeczy znalazły się na tym straganie... jakby... – zawahałem się – ... jakby ta kobieta wyłożyła na stragan nasze życie!

– Kochanie, kupiliśmy mnóstwo rzeczy, których nie sprzedawała.

– To prawda... Ale wszystko, co sprzedawała, mieliśmy.

– Jak miliony innych rodziców... Do czego zmierzasz, Gaby?

– Do niczego. Ty mnie zaciągnęłaś na ten jarmark... Ja po prostu uważam, że to zdumiewające!

Muguette już mnie nie słuchała. Usiadła na kanapie, żeby przeczytać ostatniego Gilles'a Legardiniera. Moja żona nie cierpi kryminałów, zagadek, śledztw.

Nie ustępowałem, sięgnąłem po kolejną fotografię.

– A ten koń na biegunach? Moja matka podarowała go Pauline w dniu narodzin. Przypomnij sobie, to unikat zrobiony przez znajomego stolarza. Takiego nie zobaczyłabyś na półce w supermarkecie!

Muguette uniosła wzrok, odrywając się od lektury, i z anielską cierpliwością, jakbym był nachalnym dzieckiem, powiedziała:

– Tak, ale chyba pamiętasz, kochanie, że ten konik zbutwiał w kącie na strychu. Kiedy robiliśmy gruntowne porządki, sam rozłożyłeś go na części.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, pracowicie odkręciłeś metalowe i plastikowe elementy, a potem pociąłeś, co mogłeś, żeby pozbyć się zabawki w kawałkach. Nie wiem, gdzie te części trafiły.

Słuchając Muguette, przypomniałem sobie, że faktycznie jakoś tak to się skończyło. Jednak nie chciałem się do tego głośno przyznać, a nie śmiałem sugerować, że ktoś mógł zabrać konia w częściach i go poskładać.

Wciąż wpatrywałem się w zdjęcia, szukając nowych argumentów.

Muguette powoli zamknęła książkę i ze stoickim spokojem wypowiedziała zdanie, którego wolałbym nigdy nie usłyszeć:

– Mam wrażenie, że te historie ze starych gazet mącą ci w głowie.

Nie, Muguette!

Tylko nie to!

Nie sięgaj po takie argumenty!

To paskudny cios poniżej pasa. Zawołowana pretensja o to, że mam taką pasję, podkreślenie, że wpędza mnie w stan podenerwowania. Izuluje. To jedyny, powtarzający się powód naszych kłótni!

Chcecie, żebym podał przykład? Wiem, że nic nie jest tak żenujące, jak znaleźć się między młotem a kowadłem obustronnej złej woli zaprzyjaźnionego małżeństwa, ale zależy mi, żebyście zrozumieli. Za miesiąc mieliśmy świętować dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Muguette pragnęła, żebyśmy pojechali na tydzień do Wenecji, gdzie spędziliśmy miesiąc miodowy, tyle że ja muszę oddać ten piekielny drugi tom tajemnic Normandii.

– Kochanie, zaraz potem – obiecałem jej pewnego wieczoru. – Kiedy tylko skończę książkę. Po dwudziestu pięciu latach trzy miesiące to przecież żadna różnica.

Chyba miałem rację, prawda? I dążę do kompromisu? Tylko że Muguette zamknęła się w kuchni. Więc poszedłem do gabinetu.

Ale nie tym razem. Tym razem zostałem w salonie. Przetrawiałem to. Wrzałem. Muguette wszystko pomieszała. Ten zbieg okoliczności nie miał nic wspólnego z moimi śledztwami w sprawie zbrodni z okolicy. Po prostu, jeżeli myśli się racjonalnie, to trzeba uznać, że prawdopodobieństwo znalezienia dokładnie takich samych rzeczy w dwóch różnych domach jest zerowe.

Wstając, oznajmiłem triumfalnie:

– Przekonajmy się!

Muguette wybuchnęła śmiechem... Ale to książka Legardiniera ją rozbawiła.

Dodałem więc z determinacją:

– Większości tych rzeczy nie wyrzuciliśmy. Musimy je tylko znaleźć i będziemy mieli pewność.

Komentarz Muguette

Gdybyś wiedział, jak lubię, kiedy się denerwujesz, kochanie. Po tysiackroć wolę kłótnię od długiego milczenia i schodzenia sobie z drogi. Drzwi, które trzaskają, od drzwi zamkniętych. Burzę, która grzmi co jakiś czas, od długich okresów umiarkowanych temperatur.

Dobrze wiem, że gondole i Canal Grande we wrześniu też będą na nas czekały. Przyznaj jednak, że miałbyś mi za złe, gdybym nie okazała zniecierpliwienia!

A co do reszty, kochanie, sam napisałeś, że możesz mieć pretensję wyłącznie do siebie!

4

– Dzień dobry pani, nazywam się Gabriel Espinasse, jestem autorem *Zbrodni pod jabłoniami*. Może... może sobie pani przypomina? Kilka lat temu przychodziłem, żeby zajrzeć do archiwum miejskiego.

Sekretarka w merostwie przyglądała mi się podejrzliwie.

– Tak?

Najwyraźniej nie należała do klubu moich wiernych czytelniczek.

– Właściwie sprawa jest bardzo prosta, to tylko drobna formalność: chciałbym ustalić nazwiska osób handlujących na jarmarku różności w ostatnią niedzielę.

– W jakim celu?

Usiłowałem zaimponować urzędnicze.

– Hm... Powiedzmy, że... to poufna sprawa... To do jednego z moich śledztw...

Położyłem na blacie zielono-czerwony egzemplarz mojego bestsellera.

– Zrozumiałam. Ale jaki związek z pańskimi historiami o trupach ma jarmark w Touffreville?

Błąd!

– Żadnego, to prawda... hm...

Sekretarka wciąż wpatrywała się we mnie, jakby liczyła, że wyjawię, iż jeden z handlarzy starzyzną sprzedawał na straganie rodowe srebra mieszkańców sąsiedniej wsi, których zwęglone w piecu garncarskim zwłoki odnaleziono przed laty.

Postanowiłem się wycofać.

– Chodzi tylko o to, że... jeden z wystawców miał rzecz... W pierwszej chwili nie odważyłem się jej kupić, ale teraz tego żałuję i chciałbym skontaktować się z tą panią. To był... trzeci stragan, licząc

od północnej bramy stadionu. Na pewno są jakieś plany, dane wystawców. Chciałbym tylko poznać jej nazwisko, adres, numer telefonu.

Sekretarka bez pośpiechu poprawiła stos prospektów reklamujących schroniska i pokoje hotelowe w miasteczku.

– To prawda, panie Espinasse, prosimy wystawców o wypełnienie formularza z tymi danymi, gdy dokonują rezerwacji, ale kiedy jarmark się kończy... fru, wszystko ląduje w koszu.

Dobra, dobra, nie jestem aż taki naiwny! Myślisz, że tak łatwo pozbędziesz się najsprytniejszego śledczego w Caux? Wyciągałem informacje z mądrzejszych od ciebie.

Zaprezentowałem mój najpiękniejszy uśmiech, mrugając porozumiewawczo.

– Prawdę mówiąc, chciałbym sprawić niespodziankę żonie... Chodzi o drabinkę dekoracyjną... Sprzedawczyni była ubrana w szarą sukienkę w maki i...

Sekretarka zgromiła mnie spojrzeniem.

– Panie Espinasse, proszę uważnie posłuchać. Nie mam prawa ujawniać nazwisk sprzedających, a tym bardziej ich danych adresowych. Wbrew temu, co wydaje się pan myśleć, transakcje na jarmarku regulują stosowne przepisy.

Do diabła! Biurokratka!

Zdumiony tym brutalnym atakiem, musiałem przełknąć gorzką pigułkę i, choć nieudolnie, próbowałem jeszcze pertraktować.

– Mówię o starej drewnianej drabince, o prezencie dla żony, a...

Biurokratka przerwała mi, gwałtownie podrywając się z krzesła:

– To spokojne miasteczko, panie pisarzu! Niech pan myszkuje po okolicznych miejscowościach, skoro ma pan ochotę, ale tu nie ma żadnych sensacji. Żadnych ukrywanych morderstw. – Usiłowała się uspokoić, znów poprawiając stos prospektów. – Nie chcemy tu najazdu turystów, jak w Lépanges czy Chevaline. Niech pan roztrząsa swoje tajemnice gdzie indziej, panie Espinasse. Rozumie pan?

– Przeszkadzam im, Muguette! Drażnię. Niepokoję. Zapewniam cię, że reakcja tej sekretarki z merostwa była nieadekwatna do sytuacji. Nie chce, żebym myszkował. Na pewno coś ukrywa!

Muguette słuchała z uwagą, a w jej oczach nie było nawet tak typowej lekkiej ironii. Dziękuję, Muguette! Odpowiedziała mi z powagą, niemal z troską w głosie:

– W pewnym sensie masz rację, kochanie. Twoje książki bawią wielu czytelników. Wszystkich czytelników. Poza tymi, których zbyt mocno dotyczą.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Podstawowa materia twoich wydarzeń z kronik to ludzkie nieszczęście. To chwytliwa tematyka, bo ludzie uwielbiają litować się nad innymi. Ale nie zapominaj, że swoje trzy grosze z praw autorskich zarabiasz na grzbietach ofiar.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie, ale ty o tym pomyśl.

– I... Naprawdę uważasz, że ktoś może mieć mi to za złe? Chcieć mnie uciszyć? Przeszkodzić mi w poszukiwaniu tej kobiety w sukience w maki?

– Oczywiście, że nie! Mówię tylko o podglądaniu i o zazdrości.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Muguette wzniosła wzrok ku niebu, a później spojrzała na mnie. Tym razem dostrzegłem ironię. I to nie lekką.

– Dobrze, kochanie. Wierzę, że poruszyłeś sprawę wagi państwowej! Od lat merostwo Touffreville-la-Corbeline ukrywa pewien sekret. Wszyscy są w zмовie: mer, sekretarka, lokalni notable... A ciebie trzeba zabić. Wiesz, co w trawie piszczy, i jako pierwszy chcesz wyjawić prawdę... Tylko pomyśl... ta kobieta w sukience w maki zbierała najdrobniejsze informacje o naszym życiu, posunęła się do skopiowania zabawki po zabawce, ustalenia koloru włosów lalek naszej córki i liczby żabek na stoliku syna. Myślisz, że torturowali nianię Martine, żeby zdobyć te informacje?

Martine Louvain opiekowała się Pauline i Florianem, zanim poszli do przedszkola, podobnie jak dziesiątkami innych dzieci z miasteczka. Często spotykamy ją w otoczeniu szóstki maluchów uczepionych

wózka.

Staralem się zachować spokój.

– Nie kpij, Muguette. Moja praca wiąże się z pewnym ryzykiem. Zajmuję się morderstwami. Niektóre pozostały niewyjaśnione. Mordercy mieszkają w okolicy, cieszą się wolnością.

Zrobiłem trzy kroki w kierunku schodów, zamierzając iść do gabinetu. Muguette wiodła za mną wzrokiem. Zatrzymałem się dokładnie pod dużym zdjęciem pasma Puys w Owernii. To był fantastyczny widok z góry na szczyty Dôme, Vache, Pariou, Sarcouy. Wiem, że Muguette ma sentyment do tej fotografii – pamiątki z tygodni spędzonych razem na wędrówkach, jeszcze przed narodzinami dzieci. Z plecakami i dwuosobowym namiotem pokonaliśmy ścieżkami górskimi wiele kilometrów. Każdego lata, kiedy Pauline i Florian jęczeli, jeśli zabraliśmy ich na więcej niż godzinę przechadzki po górach, obiecywaliśmy sobie, że wskoczymy w nasze górskie buty, kiedy będą duzi. Zamienimy tylko namiot i biwak pod gwiazdami na pokój w schronisku i jedzenie w oberżach i restauracjach.

Zrobimy to, Muguette, daję słowo. Kiedy tylko skończę drugi tom. Albo zanim wydawca zamówi trzeci... Kto wie?

Wszedłem po schodach i moja sylwetka zasłoniła na chwilę owerniacki pejzaż. Muguette nic już nie powiedziała. Być może myślała teraz o bandzie potworów, psychopatów i innych wykolejeńców, którzy wtargnęli do naszego domu, żeby zabrać jej męża. Bo dobrze wiem, co tak naprawdę sądzi o mojej pasji.

Komentarz Muguette

Nie, kochanie, nie wiesz.

Mylisz się.

Szanuję twoją pasję. To twój wybór, a ja nigdy ani słowem go nie skrytykowałam.

Jeżeli chcesz, możesz mi zarzucić, że nie dzielam twoich

zainteresowań, ale nie to, że cię od nich odwodzę. Mimo że wiem, jaką cenę przyjdzie nam za to zapłacić, tobie, mnie, nam.

Ale gdybyś zechciał wysłuchać rad zwykłej czytelniczki, to jest w tym rozdziale coś, co się nie klei.

Zaczynasz od historii o jarmarku różności i o makowej pani, a kończysz swoimi krwawymi kronikami.

Wybacz, Gaby, zapewniam cię, że jestem pełna dobrej woli, nie widzę jednak związku między niewyjaśnionymi morderstwami a lalkami Pauline czy modelami samochodów Floriana.

5

Trochę mnie już znacie. Nie ustępuję tak łatwo.

Poszedłem do merostwa jeszcze raz, próbowałem się czegoś dowiedzieć, dyskretnie prowadziłem śledztwo, wypytyując przyjaciół. Bez powodzenia. Nikt nie znał tej sprzedającej w sukni w maki, nikt niczego nie zauważył, nikt nie rozumiał nawet, czego szukam. Albo udawał, że nie rozumie.

Im dłużej myślałem o tym straganie na jarmarku różności, im częściej przeglądałem fotografie, tym trudniej było mi uwierzyć, że tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności mógł pozostać niezauważony. Dlatego skoncentrowałem się na złożonej Muguette obietnicy. *Większości tych rzeczy nie wyrzuciliśmy. Wystarczy je tylko znaleźć i będziemy mieli pewność.* Trzeba jedynie poczekać na dogodną okazję.

*

Kilka dni później siedziałem w gabinecie, czytając ponownie zeznania wszystkich pielęgniarek SMUR, mobilnej jednostki reanimacyjnej, obecnych wieczorem w dniu otrucia cyjankiem małej Émilie, kiedy zobaczyłem, że na końcu parkingu zatrzymał się samochód Floriana. Dokładnie mówiąc, samochód Floriana i Amandine.

Jak zawsze, poczułem ukłucie w sercu, gdy patrzyłem, jak mój duży, dwudziestoczteroletni synek idzie przez niewielki osiedlowy parking do naszego ogródka, trzymając za rękę swoją ukochaną. I jak zwykle myślałem o tym, ile razy ja prowadziłem Floriana za rękę przez ten kieszonkowy parking. I ile razy przytrzymałem kierownicę jego roweru. Najpierw na trzech, później na czterech i wreszcie na dwóch

kołach. Potem uczyłem Floriana jeździć na rolkach, na desce. Ileż to razy odbijałem piłkę między dwiema zaimprovizowanymi bramkami albo lotkę do badmintona przerzucaną to z jednej, to z drugiej strony siatki.

I pomyśleć tylko, że wydawało mi się, iż te dni zabawy z Florianem w tatę-olbrzyna będą trwały wiecznie! Tymczasem ile się ich zebrało? Dziesięć lat? Najwyżej piętnaście? Zamkniętych między trzydziestoma latami życia w nadziei na nie i trzydziestoma latami po nich – na ich wspomnienie. Dziesięć, piętnaście lat bliskości z Florianem. Na nasz sposób. Nie, nigdy żadnych wielkich rewelacji, żadnych zwierzeń, sekretów płynących z serca. Ale niekończące się rozmowy o tym, kto zwycięży Tour de France, o składzie reprezentacji piłkarskiej, o tym, czy to Santoro, czy Pioline powinien grać w Pucharze Davisa. No i oczywiście o muzyce.

*

Skrzypienie kroków na zwirowej ścieżce. Florian i Amandine przyjeżdżali do Touffreville co dwa tygodnie. Florian opuścił rodzinne gniazdo tylko po to, by uwić mniejsze z Amandine. Przed trzema laty. Choć może się to wydać dziwaczne, od tego czasu, o ile sobie przypominam, nie widziałem Floriana samego! Nie pamiętam też, żeby choć raz wymienił nazwisko jakiegoś piłkarza, skomentował wynik Wielkiego Szlema czy Grand Prix Formuły 1. Florian siedzi grzecznie na kanapie i słucha, jak Amandine dyskutuje z Muguette. Te dwie się uwielbiają, godzinami rozmawiają o wszystkim i o niczym, a Florian kiwa głową, w milczeniu, delikatnie gładząc po kręgosłupie ukochaną, jeśli jest w sukience, albo po nodze, jeśli akurat włożyła spodnie. Zupełnie jakby wystarczyło, że się zdekoncentruje i wypowie nazwisko Ribéry’ego, by spłoszyć ukochaną, która uciekłaby, gdzie oczy poniosą. Uspokój się, synu, nie narobię ci takiego wstydu! Toteż kiedy Florian nas odwiedza, mówię uprzejmie dzień dobry, napełniam kieliszki, siadam na chwilę, a potem idę pracować w mojej jaskini. „Powinieneś z nim porozmawiać”, powtarza niezmiennie

Muguette, kiedy Florian i Amandine są już w samochodzie i jadą do mieszkania w Montivilliers.

O czym porozmawiać?

Florian się zmienił. Mężczyźni zawsze wybierają dziewczyny, przy których czują się lepsi, subtelniejsi, nie tak głupi jak w rzeczywistości.

– Nie rozmawiam z moim synem, ponieważ go szanuję – odparłem kiedyś Muguette.

– A ja mam wrażenie, że on jest przekonany, że się na niego obraziłeś!

A teraz Muguette i Amandine prowadziły gorące debaty o strategicznym wyborze między drewnianymi okiennicami i elektrycznymi żaluzjami. Słyszałem je, schodząc. Głowa Floriana obracała się między matką a ukochaną, jakby sędziował mecz tenisowy i, znużony, postanowił liczyć punkty, siedząc na kanapie.

– Florianie, czy mogę cię o coś zapytać?

Zaniepokojony Florian zwrócił na mnie oczy.

– Chciałbym zrobić porządek z tymi starymi kartonami. Mógłbyś ze mną iść i wybrać płyty, które chcesz zatrzymać?

Muguette zmarszczyła brwi. Amandine wydawała się rozbawiona. A Florian zdziwiony, chociaż zachował z dzieciństwa nawyk posłuszeństwa wobec ojca.

*

Po kilku minutach zaczęła się wielka premiera: my, ojciec i syn, staliśmy na środku strychu!

Otwieraliśmy rozmiękle pudła. Zgromadziłem tu rzeczy, które Florian kiedyś zabierze, przenosząc się z mieszkania w centrum miasta do nowo wybudowanego domku i z nastolatka-marzyciela – który nie wie, jak się trzyma młotek w ręku – definitywnie przeistoczy się w tatę-majsterkowicza, który spędza niedziele, stawiając ścianki z gips-kartonu. Po wyjeździe Floriana do Hawru zawładnąłem jego pokojem, by urządzić w nim gabinet, a na półkach opróżnionych z jego skarbów ustawiłem roczniki „Le Courier

cauchois”, jednak troskliwie zarchiwizowałem całe dzieciństwo Floriana w pudłach, które wyniosłem na strych.

Pod belką na wpiół owiniętą watą szklaną wciąż jeszcze stał włączony do kontaktu stary odtwarzacz CD. Scyzorykiem otworzyłem pudło z napisem: Florian Muzyka.

Mój syn zniknął prawie na kwadrans! A przynajmniej jego głowa, zanurzona w głębokim kartonie i wychylająca się tylko na kilka sekund, kiedy musiał zaczerpnąć powietrza i odłożyć CD w większości opisane markerem.

Hity lat '94–'96.

Rock francuski '97.

Przeboje lata '99.

Dyskretnie zerkałem na wszystkie okładki, na razie Florian nie wyjął z kartonu żadnego z albumów, które rozpoznałem na jarmarku różności, a których przecież słuchał bez końca jako nastolatek. Nirvana, Metallica i inne Death Angel.

Florian wstał, wsunął CD do sfatygowanego odtwarzacza i wcisnął play. Odtwarzacz zgrzytnął niczym zardzewiały bąk, jakby miał bez końca obracać się w pustce, i dźwięki gitar Cranberries wprawiły w drgania belki stropowe.

Zombie.

– Wow! – zawołał Florian. – To było dobre!

I przez chwilę kołysał się w rytm wolnej, przejmującej muzyki, a potem wcisnął trójkątny przycisk. Przejściu do drugiej melodii towarzyszyły trzaski odtwarzacza. Kilka krótkich akordów gitary; najślawniejszych w ostatnim dwudziestoleciu.

Krzyknąłem, jakbyśmy grali w „kto szybszy”:

– *Wonderwall!*

– Brawo, tatku! To była łatwizna. A to?

Zaciekły riff gitarowy wprawił w drgania zakurzoną podłogę.

– Łatwe! Lenny Kravitz! *Are You Gonna Go My Way!*

– Jeszcze jedna?

Brzmienie uspokojonej gitary zastąpiło poprzednią melodię. Łagodne, ale równie porywające.

– Red Hot! *Californication!*

– Imponujesz mi, tatau. Wygląda na to, że nie zapomniałeś niczego z moich lekcji prawdziwej muzyki!

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Zastanawiałem się, od jak dawna nie spędzaliśmy ze sobą takich chwil. Od lat? Odkąd poszedł do liceum?

Przewijały się kolejne tytuły. Florian włączył CD z francuskim rockiem. Ani on, ani ja już się nie odzywaliśmy. Prawie. Oparci o belki, po prostu słuchaliśmy, od czasu do czasu jednym słowem komentując muzykę, czasem szybciej przechodziliśmy do następnej melodii albo wracaliśmy do poprzedniej, albo wsłuchiwalismy się w *Les nuits parisiennes* Louise Attaque, *Onde sensuelle* M, *L'homme pressé* Noir Désir, *L'Apologie* Matmatah.

*

Wykorzystałem chwilę zmiany płyty i odważyłem się zadać pytanie (Florian chciał odsłuchać nieopisaną markerem płytę, która go intrygowała). Jeszcze się wahałem, miałem wrażenie, że zepsuję te bezcenne chwile, ukrywając przed synem moje prawdziwe intencje, a potem wyrzuciłem to z siebie niemal jednym tchem:

– Skoro już robimy pełny przegląd twojej muzyki dzikusa, to pewnie znalazłeś w kartonie Nevermind Nirvany? I ten ulubiony album z metalem, *The Black Album* Metalliki albo *Ten* Pearl Jam czy *Blue Lines* Massive Attack?

Florian spojrział na mnie dziwnie. Chyba zdumiała go precyzja moich wspomnień.

– Nie, tato. To dziwne, ani śladu.

– A *Act III* Death Angel?

Dziecięcy uśmiech rozświetlił jego twarz.

– Kurwa, masz rację, Death Angel! To było mocne! Ale nie, nie ma go w pudle.

Miałem zapytać, jak to wyjaśni, ale uprzedził mnie:

– Musiałem pożyczyć je jakiemuś kumplowi, a on już mi ich nie oddał. Sprawiedliwość losu: większość płyt z pudła sam podwędziłem.

Zastanawiałem się, jak zapytać o szczegóły. Któremu kumplowi?

Kiedy? Czy ma z nim jeszcze kontakt? Jednak poczułem, że to żalosna gra, i postanowiłem się wycofać.

Scorpionsi wypełnili strych podmuchem *Wind of Change*.

Florian tymczasem opróżnił inne pudła, skupiając się głównie na tym, w którym leżały samochody Norev.

– Ciekawe... – rzucił nagle. – Brakuje 205 GTI i renault spidera.

Poczułem się, jakby dach runął mi na głowę.

Wizualizowałem w skatowanej głowie oba modele samochodów wystawione na jarmarcznym straganie. 205 GTI! renault spider! Ogarnęło mnie dziwne doznanie: euforia, w jaką wprawiał mnie fakt, że od początku miałem rację, mieszała się z silnym niepokojem w obliczu czegoś niepojętego.

– Nie dałeś ich żadnemu koledze?

– Modeli z kolekcji Norev? Tato, nie żartuj! Trudno mi uwierzyć, że mogłem zgubić te samochody. Żal mi zwłaszcza szarego spidera.

Skoncentrowałem się na wspomnieniu dwóch samochodów ustawionych między pluszakami a gramami towarzyskimi.

– Twój spider był żółty, synu.

– Szary, na pewno szary, tato.

Nie odpowiedziałem, jednak wciąż myślałem o tym samochodziku.

Nie, synku, on był żółty! Tak jak ten na zdjęciu, które zrobiłem w niedzielę na stadionie. Teraz leży na moim biurku. A obok spidera stała biała 205 GTI.

Florian też nie wracał już do tej kwestii. A ja, po chwili namysłu, doszedłem do wniosku, że wcale nie jestem taki pewny koloru starego kabrioletu.

Teraz 4 Non Blondes wyły *What's Going On!*

– Jeżeli pominąć boysbandy – snuł rozważania Florian – to lata dziewięćdziesiąte były naprawdę świetne.

– Taa, były ze dwie, trzy rzeczy warte posłuchania.

*

Florian wyraźnie nie miał ochoty wracać do Amandine, na kanapę

w salonie, by gawędzić o automatycznych żaluzjach. Oparłem się możliwie wygodnie o belkę – chciałem tylko przedłużyć ten moment. I jeszcze go powtórzyć. Zaczynał się sezon koncertów, nic nie stało na przeszkodzie, bym zaproponował Florianowi wspólny wypad.

Na dnie innego pudła znalazł stary album Panini Foot. Sezon '97-'98. Niesamowite zwycięstwo RC Lens w lidze francuskiej miesiąc przed mistrzostwami świata. Mistrz, o którym wszyscy zapomnieli. Oczywiście poza samym Lens. W mojej głowie zrodziła się jeszcze bardziej szalona myśl: zarezerwować dwa miejsca na stadionie, dla mnie i dla Floriana, jak wtedy, kiedy miał sześć lat.

Komentarz Muguette

Absolutnie nie chciałabym psuć tej miłej harmonii między ojcem a synem. Nie będę więc pisać ani o Ribérym, ani o samochodzikach Norev czy o najlepszym strzelcu Lens sprzed dwudziestu lat...

Tylko jedna uwaga, kochanie: zapewniam cię, że kiedy w pobliżu nie ma mężczyzn, kobiety mają ciekawsze tematy niż elektryczne żaluzje...

Tak, tak, przysięgam ci, i proszę, nie miej mi tego za złe.

Piszę to w trosce o twoją karierę, nie chciałabym, żebyś stracił czytelniczki, zrażone zbyt seksistowskimi stwierdzeniami!

Twoja żoneczka, trochę zazdrosna, ale bardzo wzruszona, że udało ci się znów zbliżyć do twojego, naszego syna.

6

– Wydaje mi się, że merostwo coś ukrywa.

– Co? – zapytała Muguette i nie okazując większego zainteresowania, ścierała kurze z mahoniowych mebli.

Po cudownych chwilach, jakie spędziłem z Florianem na strychu, znów pojawiły się pytania, jeszcze bardziej natrętne niż dotąd. Przed oczyma nieustannie przewijał mi się obraz pustego pudła po CD, a potem tego, w którym leżały modele samochodów; obraz brakujących rzeczy ustawionych na straganie przez kobietę w sukience w maki. W jaki sposób mogłaby nam je ukraść?

Mówiłem, zwierając się Muguette:

– Myślę, że niechcący trafiłem na jakąś starą sprawę, którą mają na sumieniu. Przejrzałem lokalne wydania „Le Courrier cauchois” z niemal siedemdziesięciu ostatnich lat i wiem, że w regionie sporo było zagadkowych spraw: zaginięcia nastolatków, zgony, które nie wyglądały na naturalne... Jeżeli patrzy się na przeszłość metodycznie, jeżeli potrafi się powiązać wypadki na pozór banalne, wszystko staje się jasne. Dziś rano sprzedawczyni w piekarni dziwnie na mnie patrzyła. A przed szkołą wielu rodziców...

Pod pretekstem podrażnienia przez tumany kurzu Muguette zakasłała, a potem po prostu parsknęła śmiechem.

– Jasne, przecież od trzech tygodni wciąż zadręczasz ich tą historią z jarmarku różności. Wymachujesz ludziom przed nosem portretem pamięciowym tej kobiety, własnoręcznie narysowanym... Powtarzasz, że nie mogła tak po prostu zniknąć... Prosisz, żeby cię zawiadomili, jeśli się na nią natkną...

Sławetny portret pamięciowy, który sam naszkicowałem, leżał na pianinie, dokładnie przed Muguette; nie był zbyt podobny do

oryginału, przyznaję, ale pokazywał grubą kobietę o zaczerwienionych policzkach. Tylko szara sukienka w maki stanowiła przydatny trop, jednak biorąc pod uwagę, że od 21 maja bez przerwy padało, była niewielka szansa, by sprzedająca pojawiła się w tak lekkim stroju.

Nawet pogoda zwróciła się przeciwko mnie!

Po trzech tygodniach śledztwa trafiłem zaledwie na jeden ślad. Dawna niania z Mont-de-l'If, sąsiedniego miasteczka, była trochę podobna do mojej sprzedającej. Jej dzieci chodziły do podstawówki w Touffreville-la-Corbeline w tym samym okresie co Florian i Pauline. Nie dość jednak, że ta niania już dawno się przeprowadziła, to jeszcze o dziwo nikt nie pamiętał jej nazwiska.

– Omerta krainy Caux – zażartowała Muguette. – To ziemia milczków. A może... to moja druga hipoteza... rysujesz jak przedszkolak?

Jakie to motywujące, czuć, że ktoś cię wspiera!

Podszedłem, trzymając w prawej ręce nożyczki, a w lewej gazetę. Przypuszczam, że wyglądałem jak uparty, przebiegły dzieciak. Kilkakrotnie pochylałem się nad portretem pamięciowym i odrywałem od niego oczy, żeby spojrzeć na Muguette.

– Przysięgam ci, że odkryję, dlaczego ta kobieta kopiuje nasze życie!

– Gaby, czy ty trochę nie przesadzasz?

– Ja przesadzam? A lalki Pauline? A pudła z płytami Floriana, w których brakuje właśnie tych albumów ze straganu?

– Florian dał te płyty jakiemuś koledze!

– Właśnie! Nie mamy już tych płyt, a ona je sprzedawała. Zupełnie jakby postarała się zdobyć wszystkie rzeczy, które miały nasze dzieci.

– Wszystkie?

– W każdym razie większość.

Muguette odłożyła ścierkę i usiadła na taborecie przy pianinie.

– Czyli według ciebie ta kobieta od lat kolekcjonuje rzeczy, którymi siejemy na prawo i lewo. Zachowuje się jak jakaś fanka oszalała na punkcie... powiedzmy... Amélie Nothomb; szpera w śmietniku, odwiedza przyjaciół idolki, nianię jej dzieci i zbiera zapomniane bibeloty; podąża za nią do zsypu, żeby błyskawicznie przechwycić

niemodne ciuchy, których tamta już nie chce, czy tak?

Dokładnie tak, Muguette!

Promieniałem.

– Tak. Doskonale to podsumowałaś.

Ale mnie przygasiła.

– Dlaczego miałyby być twoją fanką?

Spojrzałem żonie prosto w oczy.

– Naszą, Muguette. Naszą. Naszej rodziny.

– Zaczynasz mnie męczyć...

Uniosła pokrywę pianina i uderzyła w trzy klawisze.

Do, mi, sol.

Trzy nuty, które zdołały mnie uciszyć.

To pianino milczało, odkąd Pauline przeprowadziła się do Tuluzy. Przedtem nasza córka grała prawie codziennie. Muzyka stanowiła część naszego życia. Pianino Pauline, metal Floriana, piosenki Muguette. Każdy pokój rozbrzmiewał inną melodią. Szczęśliwa rodzina to kakofonia.

Dziś zostały tylko piosenki Muguette. Nad klawiaturą leżała partytura *Pięknej Heleny* Offenbacha. W młodości Muguette śpiewała w zespole regionalnym, który wystawiał operetki. Zawsze towarzyszyłem jej podczas tournée – najdalej do Paryża. Pięć lat zajęło mi wyznanie żonie, że nie cierpię tych komedii muzycznych. A kiedy już to zrobiłem, czułem się, jakbym ją zdradził.

Potem Muguette przestała śpiewać; jeszcze przez jakiś czas zdarzało się jej towarzyszyć koleżankom podczas przedstawień, teraz już ich nie odwiedzała. Już nikt oprócz Muguette nie lubi operetek.

Mi, fa, sol.

– Jedziemy!

Muguette spojrzała na mnie, zdumiona.

– Dokąd?

– Do Tuluzy, odwiedzić Pauline.

– Ot tak?

– Oczywiście! Wciąż mi zarzucasz, że nie wychodzę z własnej nory, że brak mi spontaniczności. W takim razie ruszamy, pakujemy walizki i jedziemy do Tuluzy spotkać się z córką... Nie widzieliśmy jej od

Bożego Narodzenia!

– A twój drugi tom?

– Trzy dni. Spędzimy tam trzy dni. Chyba mogę poświęcić córce trzy dni raz na pół roku.

Położyłem rękę na ramieniu Muguette, a palec wskazujący drugiej na klawiaturze pianina.

Fa, si, do.

Komentarz Muguette

To doskonale pytanie, Gabrielu. Zadawałam je sobie przez całe lata, odkąd wyznałeś mi, że nie znosisz Offenbacha, Francisa Lopeza i Georges'a Guétary'ego.

Tak, to naprawdę piękne pytanie.

Czy dawać partnerowi do zrozumienia, że lubi się to co on, to dowód miłości czy zdrady?

Z czasem otrzymałam odpowiedź. Słuchać przez pięć lat, jak śpiewam, towarzyszyć mi podczas tournée operetkowych, skoro lubi się tylko rock i piosenki poetyckie, to dowód miłości, wielki dowód miłości.

Od dawna dostarczasz mi takich dowodów, kochanie.

Ale wyznanie za wyznanie: przez te wszystkie lata śpiewałam dla ciebie, tylko dla ciebie.

Z tarasu roztaczał się niepowtarzalny widok na Tuluzę, na Kanał Południowy i airbusy startujące w dali z Blagnac.

– Przyznaję – przekonywał Stanislas, wznosząc kieliszek i patrząc na Muguette i na mnie – że czasami trochę słychać tu samoloty, ale wolę to niż mieszkać jak moi koledzy inżynierowie na drugim końcu miasta i codziennie tkwić przez dwie godziny w korku, żeby dojechać do pracy.

Chociaż z założenia odnoszę się z niechęcią do wszystkiego, co dotyczy mojego zięcia, to muszę powiedzieć, że dom jest piękny, z tarasem z patynowanego drewna, połyskującym basenem, doskonale utrzymanym ogrodem. To podmiejski domek przeobrażony w pałac za sprawą czarów „króla Merlina”, jak mówiła Pauline, będąc małą dziewczynką; pałac, w którym moja córka panuje teraz jako dobra wróżka.

Pauline zawsze uwielbiała wróżki! Co wieczór, jeśli nie wróciłem zbyt późno, opowiadałem jej bajki o wróżkach i dobrych czarodziejkach. Pauline była dziewczynką, którą wszystko pasjonowało, marzycielką obdarzoną bujną wyobraźnią. Uczennicą zdolną i pilną. Matura humanistyczna. Licencjat z literatury nowożytnej z wyróżnieniem, potem specjalizacja z edytorstwa i magisterium w Tuluzie. Zupełnie jakby musiała tak bardzo oddalać się od Normandii, żeby znaleźć uczelnię! Dalej wszystko potoczyło się jak w moich najgorszych koszmarach.

Pauline zakochała się w studencie wydziału lotniczego. Przestała przyjeżdżać do Touffreville-la-Corbeline na dłużej niż trzy dni. I przerwała studia, kiedy Stanislas został zatrudniony w Balma, po zakończeniu stażu w Wydziale Technik Lotniczych DGA. Zadłużyli się

na dwadzieścia pięć lat, żeby kupić ten dom z tarasem, basenem i żeby mała wróżka Pauline przeistoczyła się we wróżkę kucharkę. Chcieli mieć dziecko, na razie się nie udało, jeszcze nie, a ja, jeśli mam być z wami szczerzy, zaczynam mieć nadzieję, że nigdy się nie uda. Czuję, że to ostatnia szansa, by Pauline odzyskała kiedyś swoją wolność.

To nie znaczy, że Stan (Stanislas nie znosi, kiedy nazywa się go Stan!) jest zły.

I nie oznacza, że Pauline wygląda na nieszczęśliwą. Po prostu nie tak wyobrażałem sobie jej życie.

*

– Masz jeszcze swoje lalki?

Rzuciłem to pytanie zupełnie od niechcienia, przy aperitifie, gdy każde z nas siedziało z kieliszkiem rosé, a na środku stolika stała miseczka oliwek.

Muguette obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, które było niczym atak precyzyjny Rafali.

– Lalki? – powtórzyła Pauline, wytrzeszczając duże, zdziwione oczy.

A przecież starałem się delikatnie sprowadzić rozmowę na te kwestie. Na początku wspomniałem wakacje na Cykladach – najpiękniejsze wspomnienie najpierw nas dwojga, potem czworga (Muguette utrzymuje, że spłodziliśmy Pauline na Santorynie, na wprost kaldery, i to ona chciała, żebyśmy wrócili tam po dziesięciu latach wraz z dziećmi). Florian miał wtedy sześć lat i skupiał się na ustawianiu samochodzików, które miały wjechać na prom, a Pauline doskonale się bawiła, burząc ich porządek: przecinała sznur aut, jeżdżąc wózkiem dla lalek, tak jak przeszkadza się podążającym ścieżką mrówkom.

A później spytałem o lalki!

*

Mój prymitywny podstęp nie zwiódł Muguette, jednak okazał się

skuteczny, bo Pauline odpowiedziała na pytanie bez ceregieli.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Lalki zostały chyba u was.

Pamiętałem, jak Stan i jego trzech tuluzańscy koledzy podjechali ciężarówką pod nasz dom, żeby w niespełną godzinę, w sobotni rano, zrabować całe dzieciństwo Pauline: meble, książki, zeszyty, zabawki, ubrania.

Brutalne porwanie. Pozostała nam tylko pustka.

– Nie, Pauline, zabrałaś wszystko.

Pauline zastanawiała się przez chwilę. Jest taka ładna, kiedy marszczy brwi. Czy ten łajdak Stan zdaje sobie sprawę ze swego szczęścia? Czy ma świadomość, że złapał w sieci najpiękniejszą dziewczynę świata?

– Nie wszystko – stwierdziła Pauline. – Zabrałam tylko potrzebne rzeczy: biurko, wieżę hi-fi, książki i zeszyty. Ale jestem pewna, że nie zabrałam do Tuluzy zabawek.

Niemożliwe, Pauline!

Pokręciłem tylko głową, żeby nie podważać słów ukochanej córeczki przy jej mężu, ale byłem pewien swojej racji. Lalek nie ma w domu. Wszystko przetrząsałem. Znalazłem kilka starych zabawek – tablicę szkolną, stolik do przewijania lalek, ale żadnej lalki!

– A nie zalało was czasem? – rzuciła nagle Pauline.

Cholera! Zalanie! Ma rację. Późną zimą w 2014 zauważyliśmy przeciek na strychu. Spadła dachówka. Kilka kartonów ucierpiało, musieliśmy wyrzucić to, co zniszczyła wilgoć. Usiłowałem przywołać dokładniejsze wspomnienia. Na próżno.

Wciąż potrząsałem głową, tym razem z góry na dół.

– Tak.

Muguette wyglądała na rozbawioną. Jeśli uważała, że tak łatwo ustąpię, to była w błędzie. Skoro Pauline ma taką dobrą pamięć, będzie mogła ją poćwiczyć!

– A pamiętasz je?

Przez chwilę budowałem napięcie, a potem wyjąłem zdjęcia z torby zawieszanej na oparciu krzesła.

Cztery lalki w szeregu. Czarna, biała, ruda, łysa.

Już myślałem, że Muguette chluśnie mi w twarz różowym winem

albo obrzuci oliwkami. Po spojrzeniu morderczym niczym atak Rafali moja żona analizowała, czy zamienić się w samolot gaśniczy, czy w bombowiec. Korzystając z jej niezdecydowania, podsunąłem fotografię Pauline. Moja szalona dobra wróżka, która stała się panią domu, najpierw obojętnie uniosła zdjęcie, ale zaraz potem jej twarz się rozświetliła.

Błysk.

Który mnie poraził.

W ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że wszystko, co przeżyłem, czego oczekiwałem, co straciłem, było warte trudu choćby dla tej jednej chwili. Tej szczerzej emocji.

Moja córka, która stała się kobietą, stała się poważna, stała się seksowna, stała się pewna tego, z czego zrezygnowała, by zadowolić się tym, co otrzymała, moja Pauline na moment, za sprawą jednej fotografii, znów była dziewczynką i odzyskała wszystkie marzenia dzieciństwa; była dziewczynką bez kompleksów, bez chłopaka, którego trzeba uwieść, wolna od brzemienia roli przypisywanej od dwóch tysiącleci kobiecie... Po prostu małą dziewczynką, święcie wierzącą, że rzeczywistość można kształtować jak plastelinę.

Że jej cztery lalki są żywe i jedyne na świecie.

Palec Pauline przesuwiał się kolejno na każde z plastikowych dzieci.

– Charlotte, Laura... Imani i Kelly.

Odsunąłem od siebie ponurą myśl.

Porzuciłaś je. Tak jak porzuciłaś tatusia.

– Znalazłeś je?! – zawołała radośnie Pauline. – Przywiozłeś?

Moje serce trzepotało jak rzęsy Pauline.

Stan patrzył na żonę, jakby ta oszalała.

Będziesz się musiał przyzwyczaić, stary, że za twoją udomowioną wróżką kryje się rozmarzona czarodziejka, której nigdy nie poskromisz!

Na fali euforii (mam dowód! Pauline jednoznacznie rozpoznała na zdjęciu swoje cztery lalki) już zamierzałem opowiedzieć całą historię o jarmarku, o kobiecie w sukni w maki, o szeregu zbiegów okoliczności, o płytach, samochodzikach, grach, koniku na biegunach... gdy Muguette nagle kopnęła mnie pod stołem w piszczel.

Jak atomowy Rédoutable.

*

– Przyjechałeś do Tuluzy tylko dlatego! Nie po to, żeby zobaczyć córkę. Nie po to, żeby odwiedzić zięcia. Wyłącznie dlatego, że ta debilna przygoda stała się twoją obsesją!

Muguette siedziała na łóżku, wciąż kipiąc gniewem. Kiedy wpada w taki stan, lepiej uciec do ogrodu i przeczekać pod dziurawym parasolem ulewny deszcz.

– Cii! – syknąłem. – Usłyszają cię.

– I co z tego?!

Muguette wstała i krążyła wokół walizek po „pokoju dla przyjaciół” (ten kretyn Stanislas powtórzył przynajmniej pięć razy: „Kochanie, twoim rodzicom najwygodniej będzie w pokoju dla przyjaciół!”). Tak, czyżbyśmy nie należeli już do rodziny?).

– Czy ty to rozumiesz?! – wrzeszczała Muguette. – Od początku drwiłeś sobie ze mnie. Jedynym powodem przyjazdu do Tuluzy był dla ciebie ten cały obłąd! Sprawa lalek! Lalek, które pewnie cisnęliśmy do kosza wiele lat temu.

Rozważnie czekałem, aż burza trochę ucichnie, patrzyłem, jak Muguette kręci się w kółko, potem dokładnie ogląda pokój, rozpakowuje walizki, porusza wszelkie możliwe tematy, od domu, tak pełnego światła, przez Stanislasa, przemilego chłopca, po ich fantastyczne małżeństwo.

Wolałem już przeprosić, niż tego słuchać!

– Przykro mi, Muguette. Jakoś tak wyszło, w rozmowie, kiedy wspominaliśmy Grecję, zabawki dzieci...

Nic nie wskórałem. Muguette za dobrze mnie znała, żeby się na to złapać i przyjąć nieudolne przeprosiny. Nie mając sensownych argumentów, postanowiłem skoczyć na głęboką wodę.

– Muguette, przyznaj chociaż, że zauważyłaś spojrzenie naszej córki? Widziałaś, jak rozbłysły jej oczy, kiedy wzięła do ręki zdjęcie swoich lalek? Nie możesz zaprzeczyć. Jej uśmiech wart był więcej niż

wszystkie testy DNA. Pauline je rozpoznała!

– Jesteś chory, Gaby. Jesteś naprawdę ciężko chory!

*

Nazajutrz, idąc na śniadanie, mijaliśmy pokoić przyszłego dziecka. Pokoić o białych ścianach, prawie pusty, pomijając materac, pudła, przedpotopowy komputer i popsutą drukarkę.

Poczekalnia. Pokój tak wyczekiwanego dziecka.

Na środku pokoju, jakby pozostawiony na wpół na wolności, czekał też konik na biegunach.

Muguette nie mogła stracić takiej okazji! Pociągnęła mnie za rękę.

– Zobacz, Gaby... konik! Konik, którego twoja matka podarowała Pauline z okazji narodzin. Jest tu!

Zdumiony przyglądałem się małemu czerwonemu siodełku, pasiastej grzywie, czterem srebrzonym kopytom. Z trudem wydukałem pytanie:

– Nie mówiłaś, że leży rozłożony w garażu, w kawałkach?

– Widocznie – promieniała Muguette – Pauline go zabrała, złożyła i pomalowała. Albo coś mi się pomyliło. Ale nie to jest najważniejsze. Bo najważniejsze, kochanie, jest to, że skoro koń na biegunach grzecznie czeka w tym pokoju... a powtarzałeś z naciskiem, że to jedyny, неповtarzalny egzemplarz... to nie mógł znaleźć się na tym piekielnym straganie!

Okej, Muguette, wygrałaś tę rundę.

Przynajmniej tak się wydaje.

Bo przyglądając się uważniej konikowi z Tuluzy, wcale nie byłem przekonany, że to ten, który należał do Pauline. W moich wspomnieniach siodełko konia na biegunach było jaśniejsze, kopyta srebrne, ale nie tak lśniące, a uszy dłuższe. To tylko szczegóły, których ci oszczędzę, są jednak na tyle ważne, by przekonać mnie, że to tamten wystawiony na jarmarku różności w Touffreville należał do mojej córki... a ten z pokoju to uzurpator!

*

Śniadanie ciągnęło się jak czarodziejska przerwa. Stan poszedł wypuszczać w powietrze swoje samoloty z Balma, a my odzyskaliśmy na wyłączność córkę. W domu panował rozkoszny nieład, Pauline zdawała się oswobodzona.

Promieniałem. Nareszcie zobaczyłem moją małą wrózkę – żywą, radosną, dowcipną, naśladowującą oksytański akcent piekarza, zasypującą deszczem okruchów kuchnię przy wciskaniu do opiekacza za grubych kromek, zonglującą trzema pomarańczami przed wyciśnięciem z nich soku, śmiejącą się na całe gardło, bo chleb w opiekaczu spalił się na węgiel.

Jak mogłem dopuścić, żebyśmy nie spotkali się z Pauline przez pięć miesięcy? Natychmiast obiecałem sobie, że teraz będziemy przyjeżdżali często, bardzo często. I nie tylko z powodu tej historii z lalkami... i nie tylko do naszej przyszłej wnuczki (bo jestem pewien, że to będzie dziewczynka).

Siedzieliśmy we troje, ciesząc się porannym słońcem. Powstrzymywałem się, przysięgam wam, że powstrzymywałem się do końca śniadania.

Dopiłem kawę, odsunąłem krzesło, żeby znaleźć się poza zasięgiem balerinek Muguette, odwróciłem oczy, zatapiając spojrzenie w Kanale Południowym, i rzuciłem do Pauline:

– A koń na biegunach w przyszłym pokoju dziecięcym? Jest bardzo podobny do tego, którego miałaś od urodzenia. Gdzie go zdobyłaś?

Pauline odpowiedziała mi z szerokim, ciepłym uśmiechem:

– Dała mi go babcia!

Komentarz Muguette

Ponieważ zostawiłeś mi niewiele miejsca, Gaby, skupię się tylko na kilku wybranych kwestiach. Po pierwsze, uważam, że jesteś

niesprawiedliwy dla Stanisłasa, kochanie. Rozczulający, kiedy piszesz o Pauline, ale głupio zacięty wobec zięcia. Obawiam się jednak, że musisz do niego przywyknąć.

Co do opisu atomowego gniewu Rédoutable, nawet na potrzeby twojej opowieści, to sam przyznasz, że nieco przesadziłeś, prawda?

Przede wszystkim jednak mylisz się w sprawie zasadniczej, mój Gaby. Nie rób sobie złudzeń: kiedy nasza Pauline urodzi, będziemy kołysali małego chłopczyka!

8

Nienawidzę tego miejsca! Przychodzę tu najrzadziej, jak się da. Jeżeli ta opowieść może czemuś służyć, to niech przynajmniej niesie te potwierdzone przez świadków słowa, nadając im moc testamentu: nie godzę się skończyć zamknięty tam!

Choćby dlatego, że nie chcę skazywać dzieci na taką udrękę.

Udrękę, której najczęściej unikam, przyznaję się przed wami. Życie w domu starców, gdzie przebywa mama, jest zorganizowane, zaplanowane, toczy się w rytm cotygodniowych wizyt moich dwóch siostr, które podzieliły się tym obowiązkiem: Stéphanie przychodzi we środy, a Brigitte w soboty. Dbają o pranie, różne drobne zabiegi, papiery, a nawet o rozmowę. Mnie pozostawiają wyjątkowe okazje – Boże Narodzenie i urodziny, poza tym jednak: „Daj spokój, Gaby, nie martw się, radzimy sobie”.

Trochę jak młode mamy, które nigdy tak naprawdę nie pozwalają ojcom zajmować się dziećmi. W gruncie rzeczy mają rację – nie młode mamy w sprawie dzieci, o nie, ale córki w sprawie matki. Stéphanie i Brigitte mają oszałamiający dar znajdowania tematów do rozmowy, potrafią przez trzy godziny wydłużać czas, pozwalając, by stygła im herbata, telewizor grał, wyciszony, a same wypełniają popołudnie łańcuszkiem słów.

Ja, w tych nielicznych przypadkach, kiedy odwiedzałem mamę w ciągu dnia, przez ledwie trzy minuty wyrzucałem z siebie wszystko, co miałem do powiedzenia. Moje siostry rozumieją, dobrze wiedzą, że miłości nie mierzy się liczbą zamienionych słów. Istnieje nieme porozumienie, zastępcze oznaki czułości: wybór restauracji na spotkanie rodzinne, jakiegoś sympatycznego miejsca nad brzegiem morza, muzeum albo wystawy wartej obejrzenia.

Dawniej.

Teraz mama ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

– Gabrielu, co ty tu robisz? Chyba nic się nie stało?

Mama troszkę traci głowę, ale zachowała doskonałą pamięć. Im dalsze stają się wspomnienia, tym dokładniej je przywołuje.

– Po prostu byłem w pobliżu.

– Nie musisz nic wyjaśniać, cieszę się.

Chociaż nie mamy już sobie prawie nic do powiedzenia, mama zna mnie jak nikt inny. Rozszyfrowuje moje milczenie. Interpretuje gesty. Kilka słów wystarczyło jej, by podsumować treść niedopowiedzeń.

Nie musisz nic wyjaśniać.

Gdybyśmy potrafili ze sobą rozmawiać, moglibyśmy mówić o tym przez całe popołudnie: mama jest uszczęśliwiona moją wizytą, dlaczego więc chciałem się usprawiedliwić? Czy nie mogę po prostu wejść i powiedzieć: Miałem ochotę cię zobaczyć, mamó, powinienem częściej tu przychodzić!

I powtórzyłem w myśli: Powinienem częściej tu przychodzić.

*

Rozmawialiśmy o dzieciach, o Muguette, trochę o moich książkach (pierwszy tom *Zbrodni pod jabłoniami* leży na stoliku nocnym) i ani słowem nie wspomnieliśmy o mojej emeryturze (kto przypuszcza, że pewnego dnia będzie rozmawiał z rodzicami o własnej emeryturze?). Ku swemu zaskoczeniu wytrzymałem prawie trzynaście minut. Potem pozwoliłem, by przez chwilę trwała cisza, a kiedy mama była już przekonana, że wstanę i wyjdę, oparłem się na krześle, odkaszlnąłem i znów zagałem rozmowę:

– Dałaś Pauline konika na biegunach?

Chyba zaskoczyłem ją tym pytaniem. Jak dziecko przyłapanie na wybryku wydukała:

– Och, to prawda. Przepraszam... Zwykle daje się zabawkę, kiedy dziecko jest już na świecie. Ale dobrze wiem, że u Pauline i Stanisłasa na razie się na to nie zapowiada. Uda im się, muszą tylko być

cierpliwi, a Stanislas to naprawdę mężczyzna, jakiego potrzebuje Pauline. Będą mieli śliczne dzieci. A ja, zrozum, robię się stara. Z tym sercem, które galopuje jak opętane, boję się, że odejdę, zanim dziecko się urodzi. Albo że ręce stolarza będą za mocno drżały...

– Stolarza?

– To kolega ojca z regimentu, jak to się kiedyś mówiło. André. Był świadkiem na naszym ślubie. Mieszka w Cagnes-sur-Mer. Widywałeś go do dziesiątego roku życia, potem się przeprowadził. To on rzeźbił koniki na biegunach. Dobiega dziewięćdziesiątki, ale nadal pracuje. I to prawie tak dobrze jak kiedyś.

– A pierwszy konik, ten, którego dałaś Pauline tuż po jej narodzinach? Co się z nim stało?

– Skąd mogę wiedzieć? Mam nadzieję, że go zachowaliście!

Przewinałem w pamięci słowa Muguette. Konik na biegunach zapomniany na strychu, zawilgocony, w końcu rozłożony na kawałki. Powoli wyjąłem zdjęcie drewnianej zabawki ze straganu makowej pani i podałem je mamie.

– To on?

– Tak, to on!

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Każdy konik Andrégo jest niepowtarzalny... Widzisz, André dostosowuje go do dziecka, które się urodziło, kształt uszu, tekstura grzywy, kolor oczu. Nie mam cienia wątpliwości, Gabrielu... to konik Pauline. Cieszę się, że przechowaliście go w tak dobrym stanie.

Najchętniej chwyciłbym się poręczy łóżka. Muguette nigdy w to nie uwierzy. Musiałbym tu z nią przyjść, poprosić mamę, żeby to powtórzyła, musiałbym...

– Wpadniesz do mnie jeszcze?

– Oczywiście, mamo.

Byłem o tym przekonany. Głęboko przekonany. Tak, wpadnę, przyniosę różne rzeczy, zdjęcia, książki, żeby wspominać i wybiegać w przyszłość... I żeby rozmawiać o mojej książce. Tylu ludzi, zupełnie nieznajomych, zwracało się do mnie tylko po to, żeby powiedzieć coś o mojej książce, a ja nigdy nie pogadałem o niej z rodzoną matką.

Zatrzymałem spojrzenie na zielono-czerwonej okładce tomu leżącego na stoliku nocnym i spojrzałem na mamę ze strachem gimnazjalisty, który dowiaduje się, że rodzic odebrał kartę jego ocen.

– Co o tym sądzisz?

Mama się uśmiechnęła.

– A już myślałam, że nigdy nie zapytasz!

Komentarz Muguette

A ja, Gaby? Pomyślałeś o mnie?

Zapamiętałam twój testament, wiadomość dotarła, zanotowałam ją sobie, wyryłam w pamięci, muszę cię znosić w domu aż do końca, o ile to ty jako pierwszy zaczniesz się źle starzeć...

A ja?

Czy mam ochotę na mały pokój dostosowany do potrzeb chorych, i pielęgniarce, które będą się o mnie troszczyły? Czy chcę wylądować wśród innych staruszek, grać z nimi w domino i szydełkować?

Nie poszedłbyś ze mną? Nawet byś mnie nie odwiedzał, Gaby? Ze zdjęciami i rzeczami, żeby odświeżyć mi pamięć?

To zależy, wiem, to zależy, kto pierwszy straci siły.

A skoro tak lubisz zwracać się do czytelników, możesz ich zapytać o zdanie.

Myślę, że dobrze zaczęłaś, kochanie:))))

Żartuję! Zauważyłaś uśmiešky, które dodałam, tak jak nauczyła mnie Pauline?

Żartuję, Gaby. Mam nadzieję, że skoczymy razem, na obie nogi, trzymając się za ręce, w szaleństwo tej szarej zimy.

9

Przez najbliższe dni i tygodnie próbowałem znów skupić się na drugim tomie *Zbrodni pod jabłoniami*. Zrobiłem, co mogłem, przeklinając tę zwariowaną historię z jarmarku różności, która pozostała nierozwikłaną zagadką.

Dalej prowadziłem śledztwo, ale już potajemnie, nie zdradzając się przed Muguette. Uruchomiłem swoją siatkę, rodziców dawnych uczniów, przyjaciół z biblioteki, urzędników okolicznych merostw. Nadal rozdawałem portrety pamięciowe i krąg zaciskał się wokół dawnej niani z Mont-de-l'If, której dzieci chodziły do szkoły w tym samym okresie co Pauline i Florian. Nazywała się Sylvie Tonneville. Nareszcie udało mi się to ustalić!

Moje źródła sygnalizowały, że w gimnazjum Pauline prawdopodobnie należała do kółka cyrkowego razem z córką tej Sylvie, że Muguette chyba w tym samym czasie co ona została wybrana do komitetu rodzicielskiego, potem jednak pani Tonneville rozwiodła się, przeprowadziła i chyba ponownie wyszła za mąż, ponieważ ani w książkach telefonicznych, ani w internecie nie znalazłem śladu osoby o tym nazwisku. Podsumowując, była matką uczniów, którzy mogli znać moje dzieci.

Stopniowo krystalizowała się zwariowana hipoteza (na próżno analizowałem zagadkę pod każdym kątem – tylko ta wydawała się prawdopodobna): ta kobieta podglądała nasze życie. Jak w tym dreszczowcu, *Sublokatorka*. Tylko że Sylvie Tonneville nie poprzestała na naśladowaniu kobiety, o którą była chorobliwie zazdrosna, ale postanowiła naśladować całą rodzinę. Aż któregoś dnia wszystko wyrzuciła i sprzedała na straganie całe to podwójne życie.

Dlaczego? Bo dręczyły ją wyrzuty sumienia? Bo u Tonneville'ów coś

pękło? Bo dzieci odeszły z domu? Bo rzucił ją mąż? Ale dlaczego naśladowała właśnie naszą rodzinę? Co w nas było godne zazdrości? Wyjątkowe? Czy Pauline i Florian nawiązali z jej dziećmi jakąś niezwykłą znajomość?

Nie chciałem mówić o tym Muguette. Obiecałem sobie zachować dyskrecję w tej sprawie, dopóki jej nie rozwikłałem. I często tego żałowałem. Może Muguette groziło niebezpieczeństwo? Może przyjaźniła się z tą Sylvie Tonneville, kiedy dzieci były młodsze?

*

Tom drugi *Zbrodni pod jabłoniami* ukazał się 30 czerwca. Spędziłem lato na wędrownie po regionie i spotkaniach z czytelnikami, podczas których co weekend sprzedawałem od dziesięciu do trzydziestu egzemplarzy książki zaciekawionym nią, choć często przypadkowym uczestnikom, a pod koniec sierpnia przekroczyłem pięćset egzemplarzy, co sprawiło, że wydawca zamówił tom trzeci, zalecając tym razem, abym nie rozszerzał obszaru, o którym piszę, ale bardziej cofnął się w czasie. Miałem, w miarę moich możliwości, przedstawić kryminalną historiografię gminy i jej okolic od starożytności! Wykopać wszystkie zwłoki ukryte pod domami, w różnych warstwach geologicznych od jury.

Bogaty program. Ambitny. Ekscytujący. Samobójczy.

Zacząłem się brać do pracy. Im częściej dzwoniłem do drzwi, im dłużej szperałem w archiwach, myszkowałem po strychach, snułem się po cmentarzach, tym częściej ludzie patrzyli na mnie spode łba. Jakby każdy z mieszkańców obawiał się, że odkryję w jego rodzinie pradziadka-oprawcę albo przodka-pedofila.

W dniu Wszystkich Świętych, podczas oficjalnej promocji drugiego tomu zorganizowanej w bibliotece w Touffreville, za wymuszonymi uśmiechami i grzecznościowymi gratulacjami, złożonymi przez mera i jego zastępcę do spraw kultury, wyczułem coś dziwnego.

Przeszkadzałem.

Wszystko było ze sobą powiązane.

Miasteczko miało się przede mną na baczności. Moi informatorzy nabrali wody w usta. Znajomi szukali wymówek. Przyjaciele się ode mnie odwracali. Gwizdałem na to! Jeśli nawet przez to śledztwo miałbym tracić sąsiada po sąsiedzie, to dzięki niemu odzyskałem rodzinę.

*

W listopadzie mama w przebłysku świadomości podała mi nazwisko stolarza-świadka: André Lombard. Odnalazłem go w domu starców w Mandelieu. Nadal piłował i zbijał kawałki drewna, tworząc rzeczy, o których on jeden wiedział, czym mają być, poza tym jednak niczego już nie pamiętał.

– Niech pan go nie męczy, ma wióry w głowie – szepnęła porażająco subtelna pielęgniarka.

Wszcząłem także oficjalne poszukiwania Charlotte, Laury, Imani i Kelly. Otworzyłem na Facebooku specjalną stronę dla nich. Na próżno. Można by pomyśleć, że dziewczynki zapominają o lalkach, kiedy łączą się z siecią.

Wykonałem też kilka telefonów do najbliższych przyjaciół Floriana, tych, którzy być może pożyczyci od niego płyty Nirvany, Metalliki czy Death Angel. Kilka godzin później zadzwonił do mnie Florian.

– Tato! Dzwonił do mnie Nico. Podobno pytałeś go, czy ma jeszcze płyty, które pożyczyłem mu dziesięć lat temu?

– Uhm... No tak... Pamiętasz, sam mi powiedziałeś, że koledzy ci ich nie oddali.

– Odbiło ci, tato? Jak mogłeś narobić mi takiego wstydu przed kumplami?

– Nie przesadzaj, synu. Nawiasem mówiąc, Nico i pozostali koledzy uznali cię za świra. Nie podobało się im, że ich oskarżasz. Twierdzą, że nigdy w życiu nie pożyczyłeś im ani jednej płyty!

Florian parsknął śmiechem.

– A to łobuzy! Jesteś chyba najbardziej stukniętym ojcem na świecie. Ale jeżeli aż tak ci na tym zależy, to zamówię te płyty na

Amazonie i jutro będziesz je miał.

*

W połowie grudnia Pauline oznajmiła nam, że jest w ciąży. Niemal natychmiast pojechaliśmy z Florianem i Amandine do Tuluzy. Po raz pierwszy spędziliśmy razem Boże Narodzenie. Stan był uszczęśliwiony, że jako człowiek sukcesu może gościć na tarasie z drewna tekowego całą rodzinę żony. Ostatecznie Muguette i ja zostaliśmy u nich jeszcze przez pierwszy tydzień stycznia. To było zabawne – Stan o mało nas nie wyrzucił.

Przez te tygodnie pobytu w Tuluzie tom trzeci nie wzbogacił się ani o słowo. A w drodze powrotnej Muguette znów przystąpiła do ataku:

– Gaby, moglibyśmy się zatrzymać w schronisku pod pasmem Puys. Kupilibyśmy swetry, szaliki, solidne ciepłe buty i powłóczylibyśmy się przez kilka dni. Taki krótki, spontaniczny wypad. Besse-en-Chandesse jest przecież bliżej niż Wenecja czy Santoryn.

– Zobaczymy – odparłem. – Zobaczymy.

I załatwione. To proste.

Najpierw rozwiązać zagadkę Tonneville.

Później zająć się jurajskimi tajemnicami.

Komentarz Muguette

Zgoda, Gaby, zgoda. Będę cierpliwa.

Najpierw rozwiązać zagadkę Tonneville.

Wiesz, że nie jestem szalona. Zdaję sobie sprawę, na co czekasz.

Zakreśliłeś tę datę na czerwono w kalendarzu.

To niedziela.

Majowa niedziela.

Gdybym przewidziała...

*Toteż czekam, obiecuję, czekam do tego dnia.
A potem, kochanie, będziesz mój!*

10

A zatem wszystko miało się zakończyć w majową niedzielę. Siedziałem na krześle przy biurku, twarzą do okna. Na horyzoncie nie dostrzegałem ani śladu słońca, jak okiem sięgnąć tylko szare niebo i ani odrobiny wiatru, który wprowadziłby w drżenie liście wierzby płaczącej albo przegnał mżawkę dziurkującą sadzawkę pod moim oknem. Nic! Tylko deszczowe majowe popołudnie. Zbyt paskudne, by nie mieć się na bacności.

Po mojej prawej ręce piętrzył się stos gazet wysoki na trzydzieści centymetrów, po lewej natomiast leżało pewnie z dziesięć książek, toteż została mi zaledwie odrobina miejsca na laptop.

Prawdopodobnie snułem właśnie takie rozważania, kiedy usłyszałem kroki na schodach.

Muguette, któż by inny.

Miała na sobie dzinsy i ciepły wełniany sweter. I czułem, że przyszła, żeby mnie zgilotynować.

– Jeżeli zamierzałeś wyjść, to nic z tego!

Bum!

A nie mówiłem?!

Gdyby pogoda była ładna, powiedzmy pocziwe dwadzieścia stopni, podszedłbym do Muguette z szerokim uśmiechem na twarzy, żeby oznajmić: „Zgoda, sporo udało mi się zrobić, kochanie, jeżeli chcesz, możemy się przejść”.

Ale dziś...

– Widzisz, jak dziś pochmurno, Gaby?

Sięgnąłem po gazetę leżącą na stosie materiałów archiwalnych, nie kserokopię, nie stary pożółkły egzemplarz krzyczący nagłówkami o wisielcu w gołębniku na fermie.

Dzisiejszą gazetę.

Niedziela, 20 maja 2018
Jarmark różności Świętego Konstantego
Stadion Miejski w Touffreville-la-Corbeline
9:00–19:00
Ponad 50 wystawców

– Chyba nie powstrzyma nas ten kapuśniaczek, kochanie?

Muguette z niepokojem obserwowała wodnych kamikadze roztrzaskujących się o szybę nad moim biurkiem. Była świetną komediantką, ale postanowiłem położyć kres improwizowanemu meczowi, który rozgrywaliśmy. Oczywiście, że Muguette wiedziała, do czego zmierzam! Od roku czekałem tylko na to, chciałem wrócić na stadion i snuć się między straganami. W nadziei na to, że znów spotkam kobietę w sukience w maki.

– Skoro to może cię wyleczyć z obsesji! – zadrwiła Muguette.

Obruszyłem się.

– Z jakiej obsesji? Już od miesięcy nie zawracam ci tym głowy!

– I w tajemnicy prowadzisz poszukiwania... Gaby, żyjemy na tej samej planecie. Rozmawiam z twoją matką, z Pauline, z Florianem. A nawet z ludźmi w miasteczku.

Zdemaskowała mnie!

Muguette zawsze była sprytniejsza ode mnie.

*

Ubraliśmy się w nieprzemakalne stroje, wyszliśmy, ruszyliśmy po mokrym chodniku. Parasole sunęły w stronę stadionu miejskiego jak rozrzucone konfetti.

Podjąłem rozmowę, nareszcie oswobodzony:

– Muguette, przyznaję, że od czasu do czasu myślałem o tej sprawie. Ale przyznaj, że moje dochodzenie miało też pewne dobre strony. To dzięki niemu znowu odwiedzam matkę, poszedłem z Florianem na Caen – Olympique Marsylia i na koncert Les Insus, pojechałem do

Pauline. A tego wszystkiego już nie robiliśmy.

Muguette nic nie powiedziała, a na jej twarzy pojawił się tylko uśmiech, którego wołałem nie interpretować. Dochodziliśmy do stadionu. Deszcz najwyraźniej nie zniechęcił ludzi, którzy przybywali tłumnie. Pośród wystawiającymi, chroniącymi się pod plastikowymi plandekami i zaimprovizowanymi namiotami, brnęły po błocie dziesiątki potencjalnych kupujących.

Ludzie przystosowują się do wszystkiego, do najgorszych warunków meteorologicznych. Już miałem stworzyć sobie nową teorię, gdy nagle urwał się wątek moich myśli. Poczujęm się, jakbym wdepnął obiema nogami w blok świeżo wylanego cementu.

Makowa pani była na jarmarku! Trzy stragany od nas. Tym razem nie w sukience, tylko wciśnięta w sztruksowe spodnie i schowana pod kapturem zielonego płaszcza nieprzemakalnego, nie miałem jednak wątpliwości, że to ona!

Rozmiękła ziemia na stadionie była jak szybkoschnący cement. Cały, od stóp do głów, zamieniłem się w posąg. Przez miniony rok zdołałem już uwierzyć, że ta kobieta nie istniała, że była wytworem mojej wyobraźni i że i tak nigdy jej nie odnajdę. Podobnie jak nie odnajdujemy ślicznej dziewczyny, której nie mieliśmy odwagi zagadnąć i pozwoliliśmy, by zniknęła na zawsze, pozostawiając nas z niewypowiedzianym żalem.

Odkąd nadałem nieznanemu prawdopodobne nazwisko, Sylvie Tonneville, nie zdoławszy natrafić na jej trop, miałem przeczucie, że ona się ukrywa. Trochę tak, jakbym przypadkiem odkrył spisek, o którym nic nie wiedziałem, będąc tylko niespodziewanym świadkiem skomplikowanych machinacji, a spiskowcy zatarliby wszelkie ślady i uciekli.

Myliłem się od samego początku. Sylvie Tonneville stała przede mną.

Naturalna. Przystępna. Gawędząca z oglądającymi. Żartująca.
I wcale się nie ukrywała.

U mego boku, zastygła w tym samym błotnym bagnie, Muguette milczała. Od straganu dzieliło nas trzydzieści metrów, jednak doskonale widziałem blat przed kobietą. Nie dostrzegalem żadnej z rzeczy, które zwróciły moją uwagę przed rokiem. Ani samochodzików, ani figurek, ani lalek, ani płyt, ani konia na biegunach. Nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę dziecka.

Wygrzebałem się z brei i ruszyłem, usiłując zobaczyć przez krople deszczu, co sprzedaje w tym roku tajemnicza kobieta. Wybór był mniejszy. Towary, raczej drobne, mieściły się na ćwiartce straganu.

Podszedłem jeszcze bliżej.

Teraz już widziałem.

Gdyby Muguette nie przytrzymała mnie za rękę, prawdopodobnie pośliznąłbym się w błotnistym strumieniu, który spływał mi pod nogami.

Muguette bez słowa pchnęła mnie do przodu. Odebrałem ten gest jako swoistą zachętę do chwycenia się nowej idée fixe. Przez krótką chwilę miałem nawet wrażenie, że sprzedająca w zielonej kurtce, domniemana Sylvie Tonneville, uśmiechnęła się do Muguette, a nawet (chyba że stało się to za sprawą kropli wody skapującej z jej mokrego kaptura) mrugnęła do niej okiem.

Zrobiłem jeszcze krok. Przed każdym stoiskiem organizatorzy posypali grunt wiórami, toteż nie było tu aż tak ślisko.

Ale dlaczego Muguette tak mocno ścisnęła moją rękę?

*

Na stole, pomiędzy bibelotami, których nie rozpoznawałem, królował podniszczony przewodnik z mapami – „Trasa 30: łańcuch Puy i jeziora Owernii” – i pomyślałem, że ma zagięte rogi tak samo jak nasz, noszony w plecakach podczas wypraw przed ponad dwudziestu laty; dwie maski z Wenecji – Pierrota i Colombiny, identyczne jak te przywiezione przez nas z podróży poślubnej i długo zdobiące kominek; stare programy z operetek Offenbacha, *Piękna Helena*, *Orfeusz w piekle* i *Życie paryskie* – przedstawień sprzed lat, z których

zostały mi mgliste wspomnienia; stos kart pocztowych, w tym leżącą na wierzchu kartę z Santorynu. Dałbym głowę, że wysłałem ją wczoraj z Firy, nad kalderą, i że na odwrocie są słowa *Kocham Cię* i splecione serca narysowane przeze mnie i przez Muguette.

*

Jej dłoń na silnym teraz deszczu ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

Komentarz Muguette

Masz rację, kochanie, twoja obsesja ma dobre strony. Nawet sobie nie wyobrażałam, jak dobre.

Szukałam wszelkich możliwych sposobów, żeby wyciągnąć cię z tej nory, żebyś odzyskał kontakt z dziećmi i z matką. Nie znalazłam lepszej metody niż wykorzystanie twojej pasji: upodobania do zagadek i tajemnic. Reszta to dla osoby tak sprytnej, dla tak dobrej komediantki jak ja, dzięki pomocy mojej dawnej koleżanki Sylvie, kaszka z mlekiem.

Gaby, przekonałam się, że tom pierwszy Życia strychu wprowadził cię w zachwyty!

Mam nadzieję, że drugi również ci się spodoba.

Zapamiętaj każdą wskazówkę, o niczym nie zapominaj. Sądzę, że twoje nowe śledztwo będzie dla mnie pasjonujące, mój namiętny tropicielu tajemnic.

Gdy będziesz mnie błagał, żebyśmy znów poszli na operetkę. We dwoje, tylko we dwoje.

Gdy będziesz knuł, żeby zabrać mnie na wędrowkę po Owernii.

Gdy zrobisz mi niespodziankę, kupując bilety na nocny pociąg do Wenecji.

Gdy całując mnie rano, będziesz szeptał: „Wyjedźmy jak pierwszego dnia, wyjedźmy kochać się na Santorynie”.

Ucieczka do raju

Plaża Ermitage Saint-Gilles-les-Bains

Siedem godzin po północy

Cilian obudził się pierwszy. Równocześnie ze słońcem. Remis. Otworzył namiot dokładnie w chwili, gdy promienie przeciskały się przez koronę rzewni skrzypolistnej. Okrążył duży wystudzony grill, rondle z curry, stawiał stopy między butelkami rumu, przeskoczył nad Guibertem i Kephrenem, którzy spali na gołym piasku (powitanie Nowego Roku zakończyło się późną nocą) i wziął z niskiego stolika maskę i rurkę Fafane'a, swojego starszego brata.

Cilian mieszkał w Dos d'Âne, w Les Hauts, na skraju cyrku Mafate. Na lagunie bywał najwyżej trzy razy w ciągu roku, raz albo dwa jeździł tam autokarem, ze szkołą albo klubem sportowym, a 31 grudnia... tylko jeśli nie padało!

Większość jego kolegów miała ocean w nosie, to było dobre dla Zorejów[1], ta woda pełna rekinów. Ale nie on. W chacie dzielił pokój z Kephrenem, Fafane'em i Guibertem. Każdy z nich miał swoją ścianę. Guilbert powiesił na swojej plakat z Jacksonem Richardsonem, Kephren z Dimitrim Payetem, Fafane z Valérie Bègue, a Cilian wolał taki z rybami z laguny, kupiony w akwarium w Saint-Gilles!

Jedna noga, dwie nogi w wodzie.

Maska była trochę za duża.

Nie szkodzi. Rogatnice już krążyły wokół jego palców. Laguna Ermitage jest jak akwarium, do którego można skakać na oślep.

Cilian delikatnie rozgarniał wodę rękami, przez długie minuty podążając śladem jaskrawożółtej płetwy grzbietowej pokolca, potem skierował się ku kalafiorowatym gałęziom koralowca; dziesiątki maleńkich błazenków zastygły, bojąc się go zaatakować w obronie swojej rafy, aż w końcu czmychnęły. Kilka kropli zmąciło tafłę wody.

Unosząc się w pozycji rozgwiazdy, w masce, Cilian miał wrażenie,

że znalazł się w samym sercu otchłani, nad największym rowem oceanicznym, odkrywając wszelkie detale tajemniczego życia morskich głębin... choć miał pod sobą zaledwie metr wody! Gdyby stanął, może sięgnęłaby mu pępka.

Poruszał się najwolniej, jak mógł, nie chcąc, żeby błazenki ukryły się między przezroczystymi mackami ukwiału.

Jak jego koledzy mogli lekceważyć takie cuda?

To tu, to tam Cilian odkrywał na dnie laguny szczątki chińskich lampionów puszcanych wczoraj, punktualnie o północy, z plaży. Część spadła parę metrów dalej. Te życzenia, choć może nie do końca utracone, nie poleciały daleko, właściwie nawet się nie wzbiły, jakby wierzono w nie tylko trochę, więc poszły na dno.

Cilian stopniowo oddalał się od plaży, podążał teraz za pokolcem pasiastym, który uciekał na pełne morze. Woda była nieco głębsza, ale Cilian wciąż miał grunt. Płynął ostrożnie, żeby nie skaleczyć się o krwistoczerwony koralowiec.

Właśnie tam Cilian go zobaczył.

Dokładnie pod sobą. Jak w lustrze.

Leżał jak on.

Był Kafrem[2], jak on.

W pierwszej chwili uznał, że tamten śpi. Jak wszyscy na plaży. Za dużo wypił, za późno poszedł spać, więc padł, zasnął tam, gdzie dopadło go znużenie. Tyle że ten Kafr unosił się w lagunie.

Pokolec Picasso pływał nad człowiekiem, przemykał między kosmykami jego czarnych włosów w odcieniu jeżowca; zainteresował się owłosieniem muskularnego torsu, przemknął wzdłuż zgiętej ręki, przesunął się dalej i krążył wokół pępka, a potem gwałtownie zmienił kierunek, by ominąć przeszkodę.

Trzonek noża. Sterczący nad sercem.

Kolejna reakcja Ciliana to uczucie, że tonie, choć przecież wciąż miał grunt pod nogami. Spanikowany, stanął i rozciął skórę stopy o koralowiec. A potem wrzasnął tak przeraźliwie, że obudził chyba całą plażę:

– W lagunie jest martwy facet!

1 Zorejowie (fr. Zoreilles) – Francuzi z obszaru Metropolii, zamieszkali na Reunionie.

2 Kafrowie (fr. Cafres) – ludność Reunionu pochodzenia afrykańskiego.

Trzy godziny przed północą

Justine rozstawiła mały namiot Quechua na skraju plaży. Nie potrzebowała młotka, śledzie same wchodziły w piasek, między korzenie rzewni. Przykucnęła na moment, opierając się na łydkach, i obserwowała, jak za rafą koralową zachodzi słońce. Niebo stało w ogniu, czerwone chmury wyglądały, jakby chciały zanurzyć się w lagunie – niczym ciężko poparzeni skaczący do wody – ocean był ze złota, plaża z miedzi, czarne sylwetki rzewni pozowały do kartek pocztowych, ale Justine nie robiła zdjęć.

Była w samym środku tej scenerii!

Niewiarygodne, że się tu znalazła.

Wszystko było takie piękne.

Zapowiadał się najbardziej niezwykły sylwester w jej życiu.

Johana podała jej szklaneczkę ponczu.

Ucieczka do raj, pomyślała Justine, gdy ciepły wiatr pieścił jej skórę. Miała poncz, słońce, w morzu wodę o temperaturze trzydziestu stopni, podczas gdy jeszcze wczoraj wieczorem tłoczyła się w RER B, jadąc w stronę lotniska Roissy-Charles-de-Gaulle, a godzinę wcześniej tkwiła w galerii handlowej na dworcu Saint-Lazare i sprzedawała ciuchy H&M, szyte przez dziesięcioletnie dzieci gdzieś w Azji. Jak wytłumaczyć dziewczynie z urzędu pracy, że mimo dyplomu wyższej szkoły handlowej nie ma się ochoty obsługiwać klientów niektórych sklepów; ze względów etycznych.

Justine chciała na tydzień zapomnieć o tym wszystkim. Nawet jeśli wiedziała, że gdyby nie praca w H&M, nigdy nie poznałaby Johany...

Przyjaciółka odwiedzała Reunion raz w roku! Płaciła tylko za bilet. Na miejscu miała całą rodzinę, która gościła ją z radością.

Johana bardzo ją prosiła.

No, Ju, leć ze mną! Wiem, bilet kosztuje całą pensję, ale dostaniesz wiele następnych wypłat, aż do emerytury, policz to sobie, stara, dwanaście razy czterdzieści pięć lat składek... A ile razy w życiu zdarzy ci się ucieczka do raj?

Johana miała rację.

Tu wszystko było takie piękne.

Johana była urocza. Metyska. Drobna, subtelna, wysportowana. O kręconych włosach. A przy tym bardzo nieśmiała. Justine zobaczyła ją po raz pierwszy zimą 2012. Przyjechała dwa tygodnie wcześniej, wtedy gdy Paryż zasypany był śniegiem, co zdarza się najwyżej raz na dziesięć lat. Johana dygotała w grubej czapce, spod której wyglądały tylko jej duże oczy w kształcie migdałów. Marzła na placu pod zegarami dworca Saint-Lazare, więc Justine wzięła ją za rękę. A raczej za rękawicę. Zamówiły gorącą czekoladę u Mollarda, naprzeciwno. Johana po raz pierwszy zobaczyła paryską *brasserie* z mozaiką na suficie, kryształowymi żyrandolami i kelnerami wyglądającymi jak pingwiny.

Odtąd już co rano jadły razem śniadanie. I tak od sześciu lat.

Koleżanki na dobre i na złe. Siostry. Bliźniaczki. Powiernice.

Jedź ze mną, Ju, jedź ze mną tym razem, błagała Jo.

Raz kozie śmierć!

Najdalsza podróż Justine skończyła się w La Tranche-sur-Mer, tamtego roku gdy zabrała rower do TGV. Zanim jeszcze obrzydły jej prowadzące przez bagna ścieżki rowerowe, wybrzeże w Merlin Plage i woda o temperaturze dwudziestu stopni.

Nie tak jak tu, gdzie wszystko było piękne.

Nawet faceci!

Johana wyjęła z przenośnej lodówki przygotowane przez jej matkę *acras* i *achard* – aromatyczne kuleczki rybne i duszone po kreolsku warzywa. Wzniosły toast szklaneczkami rumu *charrette* i roześmiały się.

– Za raj! I za anioły, które się w nim opalają!

Pięćdziesiąt metrów od ich namiotu rozbili się chłopcy, a właściwie – rozłożyli swoje ręczniki. Dziewczyny otoczyły swój kwadrat rozpiętą pomiędzy drzewami taśmą – to było ich terytorium, oddzielone od zajmowanych przez rodziny, które od tygodni przygotowywały się do tej doskonałej zabawy, a teraz skupiły się nad brzegiem oceanu. Zwłaszcza że w tym roku nie zapowiadano deszczu.

– Przyniosłaś nam szczęście – oznajmiła Johana, znów wznosząc szklaneczkę.

Rzeczywiście, szczęście im dopisało – zdołały znaleźć mały zakątek pod sosnami, z widokiem na plażę, pośród tysięcy miejscowych, którzy biwakowali nad laguną i ustawili już stoły, krzesła, radia, lodówki, kuchenki.

Ale nie koniec na tym: ich najbliższymi sąsiadami byli ci chłopcy!

Niesamowicie seksowni. Wysocy. Czarni. O sylwetkach kulturystów.

Było ich piętnastu. Justine nie mogła uwierzyć własnym oczom!

– Jak leci, dziewczyny?

Wzrok Johany prześliznął się po chłopaku, który je zagadnął, a potem powędrował w stronę trzech plastikowych taśm przywiązanych do drzew wokół namiotu.

– Zakaz wstępu – powiedziała groźnie. – Teren prywatny!

Chłopcy zaczęli się śmiać. Ten „teren” miał dwa metry na dwa.

– To Schengen? Może jednak możemy wejść? Jesteśmy uchodźcami.

Johana zamierzała ich splawić, znała takich podrywaczy...

Tyle że Justine ich uwielbiała... Nie była zbyt ładna, na pewno nie tak jak Johana. Miała banalną twarz, przeciętną figurę, ale tu, w kostiumie kąpielowym, z tak białą skórą, pragnęła czuć, że na nią patrzą, że pożądamy jej ci muskularni faceci, wysocy, durni, i oczywiście myślący tylko o jednym...

Osiem godzin po północy

Zwłoki leżały na leżaku hotelu Récif, pierwszym, jaki znaleźli. Najbliżej plaży.

Spokojny facet, pomyślał Christos Konstantinow, podporucznik żandarmerii z Saint-Giles-les-Bains.

Żaden inny leżak nie był zajęty, nie było żadnego sąsiada, który by mu przeszkadzał. Miał basen wyłącznie dla siebie. A wokół palmy, które wciąż szeleściły, każda ozdobiona bożonarodzeniowymi girlandami, i rytmicznie pulsujące światło karetki pogotowia.

Tak, spokojny, pomyślał znowu Christos, pocierając głowę. Nieboszczyka przynajmniej nie boli głowa. Jego telefon komórkowy mógł godzinami dzwonić w kieszeni, odbierać esemesy, *szczęśliwego nowego roku, zdrowia*, a jemu nie przeszkadzało to spać na dnie laguny!

Nie to co ja, pomyślał podporucznik. Położył się o szóstej rano. Obudzili go o siódmej! To Dorian, jego syn, przywiózł go z Saint-Louis do Saint-Gilles. Dorian miał siedemnaście lat. Pierwsze trzy tysiące kilometrów musiał przejechać, prowadząc pod nadzorem osoby dorosłej. Nawet jeśli ta osoba dorosła spała, ponieważ wypła miśkę ponczu, żeby uczcić nadejście Nowego Roku...

Nawiasem mówiąc, Christos zastanawiał się, czy nie poprosić Gabina, barmana-wirtuoza, o przygotowanie jeszcze jednej szklaneczki. Choćby miał iść do Récif, dokąd niedawno przeniósł się Gabin Payet, najlepszy barman na wyspie, warto zacząć rok lepiej, niż zakończyło się miniony.

Reynald Bertrand-Guy, właściciel hotelu, Zorej świeżo przybyły z czterogwiazdkowego hotelu na Opalowym Wybrzeżu, patrzył na niego nieufnie. Jeszcze nie otrząsnął się z szoku termicznego. Chodził

w krawacie, koszuli zapiętej na ostatni guzik i antracytowym garniturze. Na co ten człowiek narzekał? Przecież jego basen, stół i menu znajdują się na pierwszych stronach wszystkich jutrzejszych gazet!

No już, rusz się, do baru masz dwadzieścia metrów.

Ale niezrównany Morez zatrzymał go, zanim pokonał choćby pięć. Lambat, drugi dyżurny żandarm, Zarab[3], wstrzemięzliwy jak to Zarab, był na miejscu już od godziny i czekał, żeby podsumować ustalenia.

Chłopak był skuteczny!

Zidentyfikował zwłoki. Manu Nativel. Trzydzieści osiem lat. Kawaler. Mieszkał jeszcze z rodzicami, w Le Tampon. Urzędnik miejski w zarządzie terenów zielonych. Strażak ochotnik. Piłkarz amator. Na pierwszy rzut oka porządny facet...

Lambat w swym zapale posunął się nawet do identyfikacji noża wbitego w serce Manu.

Nóż kuchenny należący do Hoarau de Saint-Philippe – poważanej rodziny, której siedemnaścioro członków ucztowało i spało pod rzewniami skrzypolistnymi – miał według właścicieli zniknąć na krótko przed północą. Marie-Thérèse, odpowiedzialna za przyrządzenie curry, twierdziła, że szukała go przez sporą część nocy. Musieli przesłuchać ją jeszcze na posterunku żandarmerii, podobnie jak całą rodzinę Hoarau, ale w ciemności, przy takim tłumie, petardach, lampionach sylwestrowych, każdy mógł chwycić tę leżącą na stoliku kempingowym broń.

– Dobra robota, Lambat – pochwalił Christos. – Pozostaje nam to wszystko powiązać. Jak nóż Marie-Thérèse mógł się znaleźć w sercu tego faceta na środku laguny? Masz jakiś pomysł?

Lambat nie odpowiedział. Wcale nie był taki cwany.

A Christos na razie nie wybiegał myślami poza bar Gabina... Jeszcze tylko piętnaście metrów i będzie mógł wyczytać przyszłość ze wzburzonej tafli mojito.

Christos przeszedł trzy kroki, ale Dorian czekał na niego na plastikowym krześle, z colą w dłoni. Siedział z Cilianem, chłopakiem, który znalazł zwłoki w lagunie.

– Nie przesłyszałem się? – spytał Dorian. – Naprawdę mówiłeś o Manu Nativelu?

– Znasz go?

– Słyszałem o nim. Był środkowym obrońcą podczas D1R[4].

– Dobry?

– Dość dobry! Grał w AS Marsouins w Saint-Leu, i nie mówię o tych dzisiejszych partaczach, ale o legendarnej drużynie z sezonu dwa tysiące–dwa tysiące jeden! Tej, która doszła do jednej ósmej finału Pucharu Francji, wygrała z Hawrze w jednej szesnastej na stadionie miejskim, a dopiero później została wyeliminowana przez Wasquehal.

Christos zamyślił się nad pamięcią nastolatków. Kto poza Dorianem mógłby spałmętać takie rzeczy? Przecież ledwie się wtedy urodził, podczas gdy on, Christos, zachował tylko mgliste wspomnienie przelotnych sukcesów piłkarskich. I to wspomnienie nie tyle niespodziewanego zwycięstwa Saint-Leu nad pierwszoligową drużyną francuską, co raczej dotkliwej porażki w kolejnej rundzie, kiedy cała wyspa siedziała przed telewizorami.

– Dzięki za informację – rzucił Christos – ale trochę to upiększasz. Epopeja, która kończy się cztery do zera na przedmieściach Lille, przy minus pięciu stopniach, bardziej kojarzy mi się z kampanią napoleońską w Rosji! No, przesun się, chłopcze... Wymagać, żeby Gabin podawał ci colę, to jak prosić Mozarta, żeby zagrał *Macarenę*.

Christos już był blisko, jeszcze dwa kroki i dotarłby do baru, kiedy zadzwonił jego telefon.

Patché, jeden z żandarmów. Coś takiego!

– Poruczniku, mamy kłopot.

Cholera. Został mu zaledwie metr.

– Co?

– Dwie dziewczyny. Zagięły. Jestem przy sosnowym lasku, tuż przy plaży Ermitage, przed ich pustym namiotem. Ich sąsiedzi nie mają wątpliwości. Nie widzieli ich od północy.



3 Zarabowie (fr. Zarabes) – muzułmanie pochodzenia hinduskiego.

4 D1R – mistrzostwa piłki nożnej na wyspie Reunion.

Godzina przed północą

Utworzyli krąg na piasku, pod rzewniami skrzypolistnymi, na wprost plaży. Kółko niezbyt duże, ale wystarczające, żeby otoczyć trzy przenośne lodówki. Stali tuż obok siebie. Piętnastu chłopców i dwie dziewczyny.

Jo i Ju. Justine trochę żałowała, że się zgodziła, że namówiła koleżankę: *Johana, chodź, co ci szkodzi napić się z nimi, przecież nie będziemy siedziały jak dwie mniszki, czekając na północ. Wyglądają na fajnych chłopaków, to grupa kumpli. Sama mi mówiłaś, że twoja wyspa to tygiel narodów!*

Teraz Justine straciła pewność siebie. Powinna była posłuchać Johany.

To nie znaczy, że faceci okazali się niemili. Może tylko trochę prymitywni.

Cała piętnastka paradowała w markowych T-shirtach, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z losu dzieci, które je szyły. Przekazywali sobie z rąk do rąk butelkę rumu, pili z gwinta, popalając zamal[5]. Może i na co dzień byli normalnymi ludźmi, dowcipnymi, wykonującymi pasjonujące zawody, może nawet potrafili prowadzić ciekawą rozmowę, trzeba było jednak dopaść jednego i odizolować go od reszty, bo teraz, w stadzie, nie dało się powiedzieć zdania, żeby nie skwitował go gromki śmiech.

*

– No, dziewczyny, jeden mach, na próbę.

Justine spróbowała, raz, żeby wiedzieć. Johana nie.

Fajka pokoju krążyła. Wędrowała w ślad za butelką. Czas zaczynał

się dłużyć. Nie rozmawiali o niczym poza samochodami, piłką nożną i... seksem.

Justine zakasłała. Wysoki atleta natychmiast pospieszył jej z pomocą.

– Ślicznotko, może łyceczek? Żeby przepłukać gardło.

Justine nie wzięła od niego butelki, Johana też odmówiła.

Chłopcy właściwie nie nalegali. Nie obrażali się ani nie kleili do nich.

– Jesteście same czy czekacie na chłopaków?

– Albo na dziewczyny?

Znowu gromki śmiech.

Właściwie nawet ich nie podrywali, Justine uświadomiła to sobie po pewnym czasie. Przyszli tu, żeby się wyszaleć z każdym i każdą, kto chciał dołączyć do kręgu, a ten mogli poszerzać w nieskończoność. To był wieczór wielkiej karmy, na pewno nie noc kamasutry. Żaden z nich nie byłby w stanie oddać się miłosnym igraszkom, zresztą jak znaleźć spokojny kąt na zatłoczonym wybrzeżu?

Szkoda...

W głębi ducha Justine pragnęła takiej przygody z lekko podpitym facetem, który przysięgałby jej, że ma piękne oczy, że dla niego jest egzotyczna, i prosiłby, żeby opowiedziała mu o wieży Eiffla, ująłby ją za rękę, aby dotknęła jego potężnych mięśni, hebanowej skóry, obcisłych dżinsów. Pragnęła, żeby był niegłupi, miły, potrafiący zachować równowagę między zuchwalstwem a nieśmiałością.

Jej spojrzenie wędrowało po twarzach w kręgu.

Był taki jeden.

Cichszy od innych, bardziej zamknięty w sobie. I przystojniejszy. Chętnie zrobiłaby z niego pluszaka na tę noc.

I tylko on wolał patrzeć na dziewczyny niż śledzić wędrowkę skręta i butelki.

Ale tak naprawdę – Justine zdążyła to już zauważyć – nie patrzył na obie dziewczyny.

Patrzył na jedną.

I to nie na nią.



5 Zamal – lokalna marihuana.

Osiem godzin i kwadrans po północy

- Christos?
- Słucham.
- Mówi Aja.

Cholera, szefowa! Podporucznik Konstantinow schował mojito za plecami, zupełnie jakby kapitan żandarmerii z Saint-Gilles mogła je zobaczyć przez telefon.

- Przecież nie masz dzisiaj służby, kotku?
- Siła wyższa, stary!
- A Jade i Lola? Jak twoje małe księżniczki poradzą sobie bez mamy?
- Tom się nimi zajmuje. Jedziemy na obiad do jego rodziców, do Plateau-Caillou. Z okazji Nowego Roku. Dołączę do nich, kiedy skończymy.

Christos pomyślał sobie po cichutku, że długo będą na nią czekali, a szefowej pozostanie zadowolić się na tę noworoczną ucztę podgrzewanym zembrocalem[6] sprzedawanym w plastikowych pudełkach.

- Gdzie jesteście? – zainteresował się podporucznik.
- W szpitalu akademickim Félix Guyon w Saint-Denis. Pokój dwieście siedemnaście. Odnalazłam te dwie zaginione dziewczyny spod sosen. To Johana Fontaine i Justine Patry.

Lambat i Morez czytali mu z ust. Dyrektor hotelu również. Christos nieco się od nich oddalił. Sprawa trochę się komplikowała, a kapitan Aja Purvi nie należała do szefów oszczędzających swoich podwładnych. Nawet w dni wolne.

- A co one tam robią? – zapytał. – Są ranne?
- Jedna z dziewczyn, Johana Fontaine, jest w śpiączce. Lekarze nie

potrafią ustalić przyczyny. Nie ma widocznych obrażeń, żadnych śladów przemocy. Wygląda na to, że doznała szoku. Według lekarzy przyczyna nie jest fizyczna, ale emocjonalna, jakby sama zamknęła się w pokoju i nie chciała otworzyć.

– A jej koleżanka?

– Justine Patry? Jest przerażona, ale nic jej nie dolega. Ponoć to ona przywiozła Johanę Fontaine na ostry dyżur. Czuwa przy jej łóżku. Spróbuję ją przesłuchać i zadzwonię do ciebie. Wygląda... – Aja zniżyła głos, próbowała dobrać odpowiednie słowa – ...jak ktoś, kto wrócił z wyprawy do piekieł.



6 Zembrocal – podawana na Reunionie potrawa z ryżu z przyprawami.

Pół godziny przed północą

Justine przesypywała drobny piasek między palcami. Kołysała go w zagłębieniu dłoni. Rozgarniała palcami u stóp. Johana siedziała przed nią na plaży, tuż obok ich namiotu, ale w niemal całkowitej ciemności Justine widziała tylko jasną chustę przewiazaną na biodrach przyjaciółki i ząb rekina wiszący na jej szyi.

Dziewczęta oświetlał jedynie ogień na biwaku sąsiadującej z nimi rodziny – płomień kuchenki gazowej, na której curry gotowało się pod okiem *gramoune*[7] wyposażonej w rozmaite leżące na stoliku kempingowym przybory: noże, łyżki, chochle.

Kiedy ogromny cień chłopaka pochylił się między garnkiem a nimi, pochłonęła je kompletna ciemność.

Miał na imię Manu.

To on za nimi poszedł.

Dziewczyny opuściły krąg kilka minut przed dwudziestą trzecią, pośród docinków i żarcików grupy.

– Cuchnie nam z gęby?

– Chyba nie zamierzacie iść spać przed północą?

– Znajdzie się trochę miejsca w waszym namiocie?

Ich nieco rozżalone protesty rozbawiły Justine. Sprawiało jej przyjemność, że wszyscy ci mężczyźni patrzą, jak wstaje, wiodą wzrokiem za jej białymi nogami i pośladkami, gdy oddalała się, niezdarnie stawiając bosc stopy na suchych gałęziach rzewni.

Alkohol, upał, egzotyka. Justine, choć uciekała przed pieprznymi uwagami, żegnała się z chłopakami z lekkim żalem.

Czego żałowała?

Ona i Johana nie odeszły daleko. Z pięćdziesiąt metrów. Wiedzieli, gdzie jej szukać, noc była długa. Jeżeli znajdzie się odważniejszy, taki,

który nie zaśnie po pijatyce, to może otworzy suwak jej namiotu i zaprosi na spacer po wydmach. A potem zachęci, by rozpięła sukienkę i zatańczyła z nim w poświęceniu księżycu. Dlaczego nie? Coś takiego nigdy nie przydarzy się w hali dworca Saint-Lazare. Była wolna, młoda, samotna, dziesięć tysięcy kilometrów od wszelkich „co ludzie powiedzą”. Nie znała tylko zwyczajów.

Tych z tropików.

Czy to dziewczyna wybiera? Prowokuje? Czekają?

Jo je znała.

Wstając, by wyłamać się z kręgu, Johana spojrzała prosto w oczy miłemu chłopakowi. Jedyńemu, który mógł zdobyć się na opuszczenie grupy, zlekceważenie żartów kumpli, wzruszenie ramionami i uśmiech, który mówi *ależ z was głupki, chłopaki*, i na odejście jakby nigdy nic. On mógłby zostawić kumpli z tymi ich ograniczeniami, których nawet alkohol nie mógł przełamać.

Manu.

Introwertyk.

Mimo to najciekawszy ze wszystkich.

Potem wróci napuszony do kumpli, bez słowa weźmie skręta i butelkę, zostawiając im tylko domysły.

Ale na razie Manu był z nimi.

Serdeczny, miły, uprzejmy.

Opowiadał nawet, że jest strażakiem, że dlatego nie pije, że po północy wszędzie zaczną wybuchać petardy, w górę wzleczą tysiące chińskich lampionów, które będą zawisały na gałęziach rzewni, zmieniały kierunek lotu przy każdym podmuchu wiatru, spadały na zaparkowane samochody, na namioty, że 31 grudnia na lagunie jest pięknie, ale niebezpiecznie i że wcale nie zamierza twierdzić, że ludzie są nieodpowiedzialni, po prostu woli zachować czujność. Wyobraźcie sobie pochodnię, która spada na dziecko, sztuczne ognie, które podpalają trzciniową chatę.

Justine uznała, że przystojny Manu trochę przesadza... Właściwie wolałaby już któregoś z jego podpitych kumpli, nie tak gadatliwych.

Ale Jo wyraźnie była innego zdania. Słuchała strażaka z powagą, trzymając palce tuż przy ustach, a drugą rękę na jego kolanie. On

zdawał się mówić tylko do niej.

Zorejka, jej koleżanka, stała się dla niego niewidzialna.

Krótkie *och*, krótkie *ach*.

W porządku, pomyślała Justine. *Wszystko jasne, Jo.*

Nie przejmuj się.

Manu też zrozumiał. Wybraliście siebie, oboje macie na to ochotę i nie odmówicie sobie tego! Ty rozpalisz gwiazdy, a ja będę trzymała świeczkę, przez tych parę sekund, zanim zgasi ją brzask.

*

Mimo wszystko Justine nie mogła mieć żalu do przyjaciółki, a tym bardziej jej zazdrościć. Chociaż to zawsze za Jo oglądają się faceci, zawsze przy niej się zatrzymują. I chociaż Justine spędza sylwestrową noc sama w namiocie, a Johana zostawia ją dla swojego strażaka.

Bo Justine знаła historię Johany. Ona jedna wiedziała o tym, co dla innych było tajemnicą. Tylko jej młoda Kreolka odważyła się o wszystkim opowiedzieć. Po tym, jak uciekła ze swojej wyspy.

Johana potrzebowała wielu lat, żeby znów zdobyć się na uśmiech do mężczyzny. Na to, żeby otworzyć się przed mężczyzną. Więc nie, Justine nie czuła zazdrości, choć ten strażak był niezłym ciachem.

*

– Wykąpiemy się? – zaproponował Manu.

– Nie wiem – wahała się Johana.

Spojrzała na Justine. Potrzebowała jej rady.

– Ja idę – zdecydował Manu.

I ruszył w stronę oceanu.

– Idź – szepnęła Justine. – Idź do niego. Zaczekam.

Johana sprawiała wrażenie wyzwolonej, tak jakby czekała na pozwolenie przyjaciółki. Wstała, szepnęła *dziękuję*, położyła dłoń na ramieniu Ju i cmoknęła ją w policzek.

*

Na plaży Manu odrzucił koszulkę, potem dzinsy i hop, przystojniak został w kąpielówkach.

Nie możesz zazdrościć Jo, powtarzała w myślach Justine, jakby chciała to sobie wyperswadować, a tymczasem księżycowa poświata muskała mięśnie Kafra, jego brzuch, jego potężne uda.

Nie możesz jej zazdrościć po tym, co przeszła.

*

Johana zsunęła chustę przez głowę i została w kostiumie kąpielowym.

Doskonała. Po spotkaniu z taką całonocny wzwód gwarantowany. Kiedy truchtała po piasku, żeby dogonić Manu, z plaży wystrzeliły sztuczne ognie, oświetlając czarną skórę strażaka. Na sekundę, zanim iskry rozproszyły się nad laguną i znów zapadła ciemność.

Ta sekunda wystarczyła, żeby Justine dostrzegła wahanie przyjaciółki. Jej drzenie. Wydawało się nawet, że Johana straci równowagę i upadnie. Jakby Kreolka z Reunionu mogła się panicznie bać petard i sztucznych ogni.

Zaraz potem przyjaciółka i jej adorator zniknęli Justine z oczu, a ona nawet nie starała się ich wypatrzeć.



7 Gramoune – starsza osoba.

Osiem godzin i trzy kwadranse po północy

– Justine, niech mi pani opowie, co się stało?

Kapitan żandarmerii podała dziewczynie chusteczkę. Justine rozkleiła się tuż po wyjściu z pokoju, w którym spała Johana. Odeszły nieco dalej i znalazły spokojny kąt na końcu korytarza. Na ścianach wisiały girlandy. Obok migotała świecidełkami plastikowa choinka. Pielęgniarki poruszały się w zwolnionym tempie, pchając na wózkach śpiących pacjentów, jakby cały szpital, personel i chorzy, świętowali Nowy Rok.

– Jak się czuje Johana? – zapytała Justine, szlochając.

– Wyjdzie z tego. Fizycznie nic jej nie dolega.

Usiadły na dwóch połączonych krzesłach.

– Co się stało? – powtórzyła Aja.

Na wszelki wypadek kapitan położyła na niskim stole przed nimi paczkę chustek higienicznych. Wiedziała, że musi poskromić niecierpliwość. Wykonywać powolne ruchy i zadawać Justine pytania bardzo łagodnie. Że nie może myśleć o mijającej godzinie, o danej Tomowi obietnicy, że przyjdzie złożyć życzenia jego rodzicom, zwłaszcza ze względu na matkę – ta mogła wybuchnąć jak wulkan, jeśli nie szanowało się tradycji. Tom nic nie powiedział, kiedy rano zadzwonił telefon, kiedy ubrała się w ciągu minuty i w locie chwyciła kluczyki do służbowego samochodu, zatrzymał ją tylko na sekundę pocałunkiem, który znaczył *trzymaj się*, a potem lekko ją popchnął, mówiąc spojrzeniem *wracaj szybko*.

– Nie wiem – odparła Justine.

– Proszę zacząć od początku, panno Patry. Od początku tego wieczoru.

Justine opowiadała. Namiot za taśmą. Krąg chłopaków. Alkohol

i zamal. To, jak odeszły. Manu, który za nimi poszedł. Manu, który się oddalał, Johana, która podążyła za nim. Oboje znikający w ciemnych wodach laguny.

– Co dalej? Kiedy wróciła Johana?

Justine pociągała nosem. Sięgnęła po kolejną chusteczkę. Otarła oczy i przez chwilę patrzyła na ślady tuszu do rzęs na pomiętej ligninie.

– Po północy – powiedziała w końcu. – Kilka sekund po północy. Widziałam, jak wychodziła z laguny.

– Sama?

– Tak, sama.

Aja notowała fakty w pamięci, starając się niczego po sobie nie pokazać. Johana zanurzyła się w wodzie z Manu Nativelem. Wróciła sama, po kwadransie, podczas gdy jej kompan leżał zasztyletowany na dnie. A potem zapadła w śpiączkę na skutek traumy.

– Czy kiedy Johana wyszła z laguny – spytała kapitan – wyglądała na... wstrząśniętą?

Justine zadziwiająco szybko udzieliła odpowiedzi.

– Nie, nie! Wtedy jeszcze nie. Przyszło mi na myśl coś zupełnie innego. Nie spodziewałam się, że wróci tak szybko, ale odniosłam wrażenie, że jest uspokojona. Zazwyczaj Jo wydaje się raczej... powiedzmy zalękniona. A kiedy wyszła z laguny, pomyślałam, że jeszcze nigdy jej twarz nie była taka pogodna.

Obie milczały, myśląc o nieprzytomnej Johanie w pokoju 217. Jak przeszła od takiego wewnętrznego spokoju do gwałtownego szoku?

– Co się wtedy wydarzyło? – powtórzyła Aja. – Co stało się potem?

Justine pociągnęła nosem, wytarła go, upaćkała tuszem do rzęs kolejną chusteczkę.

– Właściwie nie wiem. Wszystko potoczyło się tak szybko. Na plaży koledzy szukali Manu, żeby życzyć mu szczęśliwego nowego roku. Podeszli do Johany, nad samą wodę. A ona patrzyła na nich jeszcze z tym szerokim, spokojnym uśmiechem, jakby przyklejonym do twarzy, i nawet skinęła mi ręką, a potem nagle upadła na piasek, bezgłośnie, jak Mały Książę po ukąszeniu przez żmiję. Jak rażona gromem, pośród zabawy, między całującymi się obcymi ludźmi,

lampionami i fajerwerkami, jakby snajper czekał na nieustający huk petard, żeby strzelić i zabić Johanę tak, że nikt nie usłyszy strzału.

Aja ujęła Justine za rękę.

– Pani przyjaciółka nie doznała żadnej przemocy. Nikt do niej nie strzelał. Nikt jej nie uderzył. Przeżyła wstrząs psychiczny. Tylko psychiczny. – Aja mocniej ścisnęła palce dziewczyny. – Jest pani jej przyjaciółką. Czy Johana... jak by to powiedzieć... czy w jej przeszłości jest coś, co mogłoby tłumaczyć ten wstrząs? Jakies dawne urazy? Jakies załamanie?

Justine wpatrywała się w paczkę chusteczek. Moczenie ich i miętoszenie stało się jej odruchem, ale kapitan nie puszczała jej rąk.

– Johana uciekła z wyspy. Schroniła się w metropolii. Sześć lat temu.

– Dlaczego?

– To... to sekret. Nikt poza mną go nie zna. Nie wiem, czy Johana zgodziłaby się, żebym...

Z oczu Justine znów polały się łzy. Aja spojrzała na zegar ścienny nad choinką. Przez chwilę myślała o Tomie, Jade i Loli. Jej mąż i córki prawdopodobnie siedzą na tarasie przy śniadaniu. Mieli jeszcze świeże mango, litr soku wyciśniętego z gujawy, makatie[8].

Aja szepnęła:

– Proszę się nie spieszyć.

*

Przed drzwiami rozległy się krzyki.

Krzyki kobiety. Głos raz po raz wybuchał. Christos zerknął na dyrektora hotelu i zobaczył, że ten w końcu zrzucił marynarkę i rozluźnił krawat. Potem spojrzał na funkcjonariuszy Moreza i Lambata, którym chciał dać do zrozumienia, że potrzebuje spokoju, że grupa techników kryminalistyki przyjedzie z Saint-Denis, a teraz trzeba zabezpieczyć teren i nie dopuszczać tam gapiów.

– Chcę zobaczyć syna!

Morez i Lambat ruszyli w stronę drzwi, ale nie dość szybko. Byli jeszcze daleko, kiedy otwarły się na oścież. Pojawiła się kobieta koło

sześćdziesiątki, niska, mocno zbudowana; pchnęła Reynalda Bertranda-Guy z taką siłą, że dyrektor o mało nie wpadł do basenu, i pobięła w kierunku leżaków.

Christos okazał się najszybszy i to on stanął jej na drodze. Długo tulił ją w ramionach, przytrzymując jej głowę na swym torsie, i czekał, aż się uspokoi, a żandarmom dawał znaki, żeby się nie wtrącali. Sekundy mijały, długie jak wieczność, nim zwolnił uścisk i zaprowadził kobietę do patio. Tam podsunął jej krzesło, ale nie chciała usiąść.

– Zobacz pani syna – obiecał. – Pani Nativel, zobaczy go pani, ale musimy pozwolić ekspertom pracować. On... On...

– Wiem! – wrzasnęła kobieta. – Został zamordowany!

*

Przez szeroko otwarte drzwi do Récif wchodzili ludzie: mężczyźni o siwych, kręconych i przerzedzonych włosach, prawdopodobnie ojciec, bracia, siostry; wszyscy po przebudzeniu usłyszeli o tragedii, a teraz się wspierali. Christos nie miał już siły kontrolować wejść. Reynald Bertrand-Guy, który rzucił krawat na gałęzie palmy i rozpiął mokrą od potu koszulę, też nie radził sobie z sytuacją.

W sumie to nie takie ważne, pomyślał Christos. Byle tylko nie zbliżali się do ciała. Lada chwila technicy zabiorą zwłoki, żeby przekazać je lekarzom sądowym z kostnicy w Saint-Denis.

– Kto mógł zamordować moje dziecko? – jęczała mama Nativel, pytając patrząc na Christosa.

Nie wiem.

Wszyscy zadawali sobie to pytanie, wszyscy, którzy weszli do hotelowych ogrodów i znali Manu Nativela – kuzyni, sąsiedzi; wszyscy powtarzali to samo, pełni niedowierzania.

Zamordowany? Białą bronią? Gdyby chodziło o kogoś innego, zrozumieliby. Ale Manu? Manu nie dotykał narkotyków, nie pił alkoholu, nie zabiegał o pieniądze. Manu nikomu nie wadził, był poważny, nawet zbyt poważny.

– Poruczniku, dlaczego on? Dlaczego on?

– Nie wiem.

Christos odszedł. Na oczach zbolalej rodziny nie mógł pozwolić sobie na picie mojito Gabina. Nieźle zaczyna się ten rok! Potrzebował więcej ludzi, żeby podjąć jakiegokolwiek działania. Zadzwoił do Aji, ale nie odebrała.

*

Aja nie zareagowała na dzwonek telefonu. Zerknęła tylko na numer.

Sekundę, jeszcze sekundę, Christos. Pociągnę ją jeszcze trochę za język i zaraz do ciebie oddzwonię.

Kapitan spojrzała na gwiazdę, która błyszczała nad sztuczną choinką. Justine Patry patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, jakby zagubiła się w odległej galaktyce. Rozświetlone girlandy rzucały pastelowe koła na białe ściany szpitala.

– Proszę mówić dalej, Justine. Co to za sekret? Jeżeli chce pani pomóc przyjaciółce, musi mi pani powiedzieć.

Justine czekała, aż w pobliżu nie będzie nikogo – żadnego przechodzącego pacjenta, żadnego lekarza. Zajęło to kilka minut. Potem nareszcie zaczęła. Powoli. Rwanymi zdaniami.

– Johana została zgwałcona... Miała siedemnaście lat... Wychodziła z dyskoteki... Nie zgłosiła tego. Nikomu nic nie powiedziała. Dopiero mnie, po latach.

Kapitan Purvi przez chwilę milczała.

– Czy gwałcicielem mógł być Manu Nativel?

Justine nie uchyliła się od odpowiedzi. Chyba nawet cieszyła się, że Aja je zadała.

– Nie wiem. Tamtego wieczoru Johana nie widziała twarzy napastnika. Było ciemno. Zaciągnął ją do wąwozu Fontaine. A jednak...

– A jednak co, Justine?

Dwie pielęgniarki przechodziły metr od nich i Justine zaczekała, aż się oddalą. Po chwili podjęła:

– Pani kapitan, pewnie pani wyda się to dziwne, ale kiedy zobaczyłam, że Johana wraca sama z laguny po tym, jak poszła tam z tym chłopakiem, kiedy patrzyłam na jej twarz, zanim dowiedziałam się, że na dnie leżą zwłoki, przeszło mi to przez myśl. Po prostu nagle powiedziałam sobie: *Stało się, uwolniła się, zemściła. Zamknęła tę kartę.*

Aja skupiła wzrok na zegarze nad choinką.

– Potwierdza pani zatem, że pomyślała, iż Manu Nativel mógł być jej gwałcicielem?

– Właściwie... nie mam pojęcia...

– Justine, wydaje mi się, że nie wszystko mi pani powiedziała. Tamtej nocy, kiedy doszło do gwałtu, Johana nie widziała twarzy napastnika. Dobrze zrozumiałam? Czy mogła rozpoznać go po czymś innym?

Justine długo gryzła wargi.

– Tak.



8 Makatie – słodkie bułeczki.

Pięć minut przed północą

Woda była gorąca, cieplejsza od powietrza. Czarniejsza od nocy.

Johana i Manu zapuścili się w ciemność, szli ku głębinie, jakby rozcinali ocean. A przecież woda ledwie sięgała im ud.

Byli niewidoczni, i wiedzieli o tym.

Manu trzymał Johanę za rękę. Wysunął się kilka centymetrów przed nią, torując drogę między koralowcami i stawiając stopy na piasku, w którym ukrywały się szkaradnice i jeżowce.

Uprzejmy. Czarujący.

Johana drżała.

Wreszcie Manu się zatrzymał.

– Tu nic nam nie grozi – wyjaśnił strażak. – Nie ma ryzyka paniki ani pożaru. To najlepsze miejsce do oglądania pokazu.

Odwrócili się.

O ile oni byli niewidoczni, o tyle panorama wybrzeża, którą mogli podziwiać, była wprost bajeczna. Przed nimi, na plaży, pod rzewniami skrzypolistnymi, wszystko rozświetliło się lampionami, słychać było muzykę, śmiechy, śpiew, i łatwo się było domyślić, że tak samo wyglądają dziesiątki kilometrów wybrzeża.

Johana wpatrywała się w hałaśliwy tłum, szukając Justine, ale nie mogła jej znaleźć.

Cztery minuty przed północą

Kilka petard wystrzeliło przed czasem. Dzieci biegały po brzegu laguny, tam, gdzie błyski rozświetlały dogasające na piasku fale. Iskry strzelały – te z zapalek, pochodni i szczapek, które szykowano, by zapalić sztuczne ognie, petardy, lampiony. Wybrzeże przypominało ogromny rogalik, rozświetlony aż po Saint-Leu.

Gotów zapłonąć.

Trzy minuty przed północą

Manu obserwował wierzchołki rzewni, pozwalał, by bryza rozwiewała mu włosy, niczym czujny strażnik, który wypatruje rychłego wybuchu pożaru i stara się przewidzieć kierunek wiatru.

Poważny i skupiony.

Ale Johana wiedziała, że to wszystko było tylko komedią. Cierpliwym kłamstwem.

Właściwie wcale nie takim cierpliwym.

Manu odwrócił się do niej i objął ją w tali. Johanę przebiegł dreszcz, ale nie odsunęła jego ręki. Nie w pierwszej chwili. Manu nabierał śmiałości, był większy, jego ręka mocniej przycisnęła jej biodro, twarz pochyliła się nad nią w nadziei, że uniesie usta. Ale Johana tego nie zrobiła, lekko odwróciła głowę.

Manu wyprostował się, speszony. Było mu głupio, że tak się pospieszył.

– Masz rację – wymamrotał. – Trzeba poczekać do północy, żeby się całować.

Ale to wszystko było tylko komedią.

Spojrzenie Johany zagubiło się w dali. Nie patrzeć na tego mężczyznę. *W żadnym razie nie patrzeć na jego prawe ramię, w to miejsce na górze.*

A przede wszystkim teraz już nie uciekać.

Pozwolić, żeby się kleił, nie okazać odrazy. Stać prosto, oprzeć się zawrotom głowy.

Przed nią rzewnie tańczyły przy dźwiękach segi. Za plecami miała rafę koralową, przez którą co pewien czas przelewały się fale. Jedna z nich już się zbliżała, by sprawić, że oboje znajdą się na moment pod wodą.

Nie ruszać się.

Czekać. Jeszcze dwie minuty.

Dwie minuty przed północą

Manu zbliżył się jeszcze bardziej. Ramię w ramię czekali, aż wybrzeże zapłonie. Dwoje nieśmiałych nastolatków przed kinowym ekranem. Film zaraz się zacznie. Manu delikatnie wymusił na niej obrót i jego mokre kąpielówki ocierały się teraz o pępek Johany. Czują na swej skórze pożądanie naprężające tkaninę.

Nie myśleć o tym.

Myśleć tylko o tym ramieniu – opuszczonym, splecionym z jej ręką.

– Spokojnie – szepnęła Johana.

Manu posłusznie się odsunął.

Johana zakasłała, wilgotny odcisk kąpielówek Manu pozostawił zimne ukąszenie, zmroził jej trzewia. Powstrzymała napływ żółci, chęć zwrócenia rumu rybom z laguny.

Minuta przed północą

Tym razem dłoń Manu, ta oparta na biodrze Johany, zsunęła się w kierunku kostiumu i niemal prześliznęła się na pośladki, zapraszając do tańca w ściślejszej harmonii ciał.

– Nie!

Johana krzyknęła trochę za głośno. I odsunęła się zbyt gwałtownie. Manu wycofał się, zaskoczony. Przyglądał się jej, jakby zrozumiał, że coś kulało w ich miłosnej paradzie.

Nie zwlekać dłużej, trudno. Zakończyć to, zanim zacznie się mieć na baczności.

Dłoń Johany wysunęła się z ręki Manu i powędrowała za plecy, żeby chwycić nóż wsunięty pod gumkę kostiumu kąpielowego, nóż zabrany w ciemnościach ze stolika kempingowego i ukryty wbrew wszelkiej ostrożności, z narażeniem się na skaleczenie. Teraz go wyciągnęła i trzymała w mroku, przyciśnięty do uda.

Północ

Wszystko rozbłysło w ułamku sekundy.

Kilometry wybrzeża wybuchły dziesiątkami sztucznych ogni, rozświetliły się aż po horyzont. Tysiące chińskich lampionów wzleciały równocześnie ku niebu jak cudowne chmary gigantycznych świateł. Rozbrzmiał radosny gwar, niczym chóralne *ola!* okrążające wyspę swym echem.

To się nigdy nie skończy. Rzewnie były w ogniu.

To piękne. Niezapomniane. Niesamowite.

Było ponad trzydzieści stopni. Wybiła północ. Zewsząd dobiegał śpiew, śmiech.

– Pocałujemy się? – zapytał Manu.

Miał uśmiech małego dziecka, skrzęca radością oczy, silne ramiona. Przysuwał się bardzo łagodnie, jakby chciał zerwać delikatny owoc.

I to ramię...

Manu znajdował się dwadzieścia centymetrów od Johany.

Wysunął usta, by otrzymać pocałunek, pierwszy w tym roku.

A Johana dała mu śmierć.

Wbiła nóż prosto w serce.

Niebo wciąż było skąpane w światłach, pełne konających gwiazd.

Ciało Manu spokojnie unosiło się na wodzie. I Johana poczuła się lekka.

Nagle zachciało jej się napić piwa, szampana, czuła się wyzwolona, zwiewna, mogłaby się unosić niczym balon, tak jakby wszystkie lata piekła, wstydu i strachu ulatywały w dal.

Jakby wszystko dokonało się zgodnie z uświęconym kalendarzem. Dokładnie o północy. Zegary znów wskazywały właściwą godzinę.

Teraz mogła żyć.

Teraz mogła się bawić.

Dziewięć godzin po północy

Kapitan Aja Purvi wpatrywała się w zegar nad choinką. Jej oczy śledziły cichy bieg sekundnika. Tom, Jade i Lola pewnie kończą już śniadanie i biorą się do pisania kart z życzeniami, wysyłania wiadomości do przyjaciół z Francji, z Madagaskaru, z Australii.

Bez niej.

Justine Patry znów zamknęła się w sobie. Na ostatnie pytanie Aji: *Czy mogła rozpoznać go po czymś innym?*, odpowiedziała spontanicznie:

Tak.

I zamilkła.

*

Pielęgniarki chodziły po korytarzu, mijały się, życzyły sobie szczęśliwego nowego roku, potem także zdrowia, zniżając głos z obawy, że mogliby je usłyszeć pacjenci. Aja odczekała jeszcze trzy okrążenia sekundnika, zanim powtórzyła niemal szeptem:

– Co to takiego, Justine?

Dziewczyna zdawała się wahać. Przed jej oczyma przesunął się film z ostatnich godzin. Od chwili gdy Johana padła bez zmysłów na piasek. Justine widziała, jak twarz przyjaciółki wykrzywia się w gwałtownym grymasie bólu, kilka minut przed północą, kiedy Manu zdjął T-shirt i kiedy jego tors i ramiona na krótką chwilę oświetlił blask petardy. Później widziała twarz wracającej Johany, ukojoną, tuż po północy, jakby już było po wszystkim. Jo tak często jej o tym mówiła. O obsesji. O poczuciu uwięzienia, które nękało ją od napaści. Ujawnić to policjantce znaczyło oskarżyć Johanę.

Justine wolno zwróciła twarz na Aję. Dawno zauważyła, że kapitan żandarmerii tylko dzięki nadludzkiemu wysiłkowi zachowuje spokój, cierpliwość, czeka na każde słowo, ale jej oczy jak magnes przyciąga tarcza zegara.

Spieszyła się. Na pewno ktoś na nią czekał.

Justine jeszcze przez chwilę rozważała argumenty za i przeciw. Powiedzieć to skazać Jo. Ale Jo była w śpiączce. Nie miała wyboru.

– Manu Nativel to człowiek, który ją zgwałcił – oznajmiła w końcu. –

Sądzę, że Johana spotkała go przypadkowo. Choć przypuszczam, że przez te wszystkie lata na swój sposób go szukała.

– Rozpoznała go, tak? A on jej nie pamiętał?

– Była tylko ofiarą, prawdopodobnie jedną z wielu. Kobieta, za którą poszedł wieczorem, gdy wracała z dyskoteki, i którą wziął przemocą. W ciemnościach. Sześć lat temu. Już dawno zdążył wymazać ją z pamięci. Ale ona... jak mogłaby o nim zapomnieć?

– Rozumiem, Justine, lecz nadal nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Co mogło dać Johanie pewność, że zgwałcił ją właśnie Manu Nativel, skoro wtedy nie widziała jego twarzy?

Oblicze Justine wykrzywiło się w grymasie bólu. Po chwili zaczęła mówić:

– Gwałciciel miał tatuaż. Nietypowy tatuaż. Dwa zwrócone ku sobie delfiny i data, jedenasty listopada dwa tysiące. Na obojczyku i szczycie prawego ramienia. Ten tatuaż stał się jej idée fixe. Kiedy gwałciciel trzymał ją przyciśniętą do ziemi w zaroślach wąwozu Fontaine, widziała tylko ten rysunek, dwa delfiny tańczące w rytm ruchów mięśni mężczyzny, który przygniatał ją całym swoim ciężarem. Podejrzewam, że od tamtej nocy Jo nigdy nie przeszła obok mężczyzny z gołym torsem, nie sprawdzając, czy nie ma takiego tatuażu. Robiła to odruchowo. Jakby szukała piętna wypalonego żelazem.

– Czyli Manu prawdopodobnie miał taki tatuaż, a Johana go rozpoznała?

– Tak... Jo uświadomiła to sobie, kiedy rzucił koszulkę na piasek. Ja też powinnam była zrozumieć... Zrozumieć, że Jo szykowałą się do popełnienia zbrodni. Powinnam była ją powstrzymać...

Aja łagodnie położyła dłoń na kolanie Justine.

– Panno Patry, proszę się pochwycić nie oskarżać. Najpierw trzeba wszystko potwierdzić.

*

– Christos?

– Tak?

Aja szybko przekazała mu informacje uzyskane od Justine Patry. Poznając i łącząc wszystkie ujawnione przez nią fakty, Christos z coraz większym napięciem patrzył na siedzącą w hotelowej pergoli rodzinę Nativelów. Wszyscy oni – matka, ojciec, bracia i kuzyni – obserwowali go, czekając na wieści, na tę chwilę, gdy zakończy rozmowę, podejdzie i powie im prosto w oczy: *Stało się, mamy zabójcę waszego syna*. Już tylko na to mogli mieć nadzieję – że dopadną mordercę.

Aja kontynuowała relację. Christos oddalił się od pergoli, idąc w stronę wejścia do hotelu Récif, gdzie koledzy z laboratorium kryminalistyki w Saint-Denis pojawili się już z noszami, aby zabrać ciało Manu Nativela zamknięte w plastikowym sarkofagu.

Manu Nativel... Wzorowy pracownik, zaangażowany strażak, lojalny kolega, idealny syn.

Jeszcze raz zatrzymał wzrok na rodzinie Nativelów. Wszyscy oczekiwali, by wymiar sprawiedliwości wypełnił swoje obowiązki, a zaraz dowiedzą się, że sprawiedliwość już została wymierzona.

Ich syn był gwałcicielem. Osądzono go. Skazano. Stracono.

Kto w to uwierzy? Kto z nich zdoła przełknąć taką wersję zdarzeń?

– Sprawdź to, Christos!

– Co mam sprawdzić, Aja?

– Sprawdź tatuaż. Zanim zabiorą ciało do kostnicy.

– Kurwa...

Christos zatrzymał dwóch noszowych. Czuł na plecach ciężar spojrzeń całego klanu Nativelów. Wymamrotał kilka słów do stojącego przy ciele Moreza, a potem pociągnął za suwak.

Czarne włosy, wysokie czoło, szeroki nos.

Boże, modlił się w duchu Christos, spraw, żeby ten chłopak okazał się niewinny.

Worek otwierał się, odsłaniając wąskie usta, kilka włosków na brodzie.

Spraw, żeby to był tylko nieszczęsny człowiek, ofiara łajdaka, który za dużo wypił, przypadkowa ofiara bójki. Boże drogi, spraw, żeby ci wszyscy, którzy go kochali, mogli go opłakiwać. Żeby drugi raz nie wbito im noża w serce.

Szyja, ramię.

Najpierw zobaczył obojczyk.

Cholera!

Dziewczyna miała rację.

Na górze prawego ramienia zwłok Christos znalazł tatuaż.

Dokładnie odpowiadał opisowi Justine Patry.

Data, 11.11.2000. I dwa delfiny.

*

Christos wyprostował się, dał Morezowi znak, by zasunął worek, a noszowym, by go zabrali.

Spojrzał na młodego Ciliana, który znalazł zwłoki. Następnie na siedzącego przy barze Doriana.

Przykro mi, synu, twój idol z AS Marsouins był skrajnym łajdakiem.

A potem na rodzinę.

Przykro mi, przyjaciele, wasz uwielbiany Manu ukrywał paskudną tajemnicę.

Mimo że nie odpowiadał profilowi gwałciciela. Mimo że był 1 stycznia. Mimo że Christos sam pragnął w to wierzyć – w dobrego bohatera, którego należy opłakiwać.

Telefon wciąż tkwił w jego dłoni. Podporucznik podszedł do baru, sięgnął po swoje mojito, nie zważając na zaniepokojone spojrzenia policjantów, Nativelów, Reynalda Bertranda-Guy i jego pracowników.

Do dna.

Szczęśliwego roku, zdrowia.

Gdzieś daleko Aja zaczynała się niecierpliwić w jego dłoni.

– I co, Christos? – trzeszczał głos pani kapitan.

– To on!

*

Aja się rozłączyła.

– To on – powiedziała, patrząc na Justine.

Chyba uspokoiła tym dziewczynę. Johana się obudzi. Jo zostanie oskarżona, ale to nic, będzie miała silne argumenty na swoją obronę. Słuszne argumenty.

Wstała.

– Chciałabym wrócić do Jo.

Razem poszły w stronę pokoju 217. Aja jeszcze raz zerknęła na zegar. Okazało się, że może będzie w Plateau-Caillou nawet przed Tomem, Jade i Lolą.

Choć pozostało jeszcze jedno pytanie. Pytanie bez odpowiedzi.

Dlaczego Johana nie doznała wstrząsu psychicznego, kiedy zobaczyła tatuaż na ramieniu gwałciciela? Albo kiedy wbiła mu nóż w serce? Dlaczego szok dopadł ją kilkadziesiąt sekund po tym, jak dokonała zemsty? Co zobaczyła w chwili, gdy stanęła na plaży Ermitage? Jaki demon wrócił, by znów zabrać ją do piekła?

Minuta po północy

Johana wolno zbliżała się do plaży, woda spływała wzdłuż jej nóg, jakby laguna się opróżniała. Zaciągnęła Manu daleko, bardzo daleko, żeby nie odnaleziono ciała przed jutrzejszym rankiem.

*

Chińskie lampiony wciąż wzbijały się w górę. W tym roku ona nie zapali swojego. Nigdy już nie zapali lampionu. Jej życzenie, jedyne, jakie miała, spełniło się.

Ten łotr zapłacił.

Podobał się jej radosny bałagan panujący na plaży, dzieciaki odpalające ze śmiechem petardy, krzyczące zbyt głośno matki, hałaśliwa sega. Znowu uśmiechała się do życia. Kilka metrów przed sobą zobaczyła przyjaciół Manu; był tu cały krąg, w wodzie po kostki, bez koszulek, z piwem w ręku, zataczali się, ochlapywali i wołali:

– Manuuu!

– Manuuu!

Długo go poszukają!

Po prawej wypatrzyła namiot Quechua i czekającą na nią Justine. Skorzystała z okazji i, kiedy bielsze sztuczne ognie, jaśniejsze od innych, rozświetliły na chwilę plażę, pomachała przyjaciółce.

Żeby i ona nacieszyła oczy widowiskiem.

Dzieciaki, rodziny, kobiety pod drzewami, chłopcy na piasku, tuż przed nimi.

Moment wielkiej bieli.

Tuż przed czernią.

Dziewięć godzin i kwadrans po północy

– Christos, mamy tu ludzi, do ciebie! Przed hotelem. Wszyscy chcą zeznawać. Jest ich około piętnastu!

Morez stał przed hotelowym holem, spanikowany, dezorientowany, niczym ochroniarz, który wysiła się, żeby powstrzymać hordę kibiców chcących przekroczyć bramki stadionu.

– Niech mi nie zwracają głowy, rozmawiam przez telefon... Czego chcą?

– Zeznawać, przecież mówię.

– Co to za ludzie?

– Kumple Manu Nativela. Cała banda.

– Mają coś nowego?

– Nie, nie sędzę. Przyszli, żeby oddać się do dyspozycji wymiaru sprawiedliwości, jak to się mówi.

– No to powiedz im, że wymiar sprawiedliwości jest bardzo zajęty!

Christos usiadł na leżaku, powtarzając sobie, że każe tym koleśiom długo czekać. Wystarczy, że będzie zaraz musiał wytłumaczyć rodzinie, że poczciwy strażak ochotnik był zboczonym gwałcicielem. Gdyby miał jeszcze oznajmić to całej gromadzie jego kumpli...

Christos otarł czoło. Wilgotny upał stawał się już nieznośny w słońcu. Żandarm po raz pierwszy tego ranka poczuł się brudny. Miał ochotę zrobić sobie przerwę, wejść w mundurze do basenu, ochłodzić i opłukać ciało, a potem ułożyć się na leżaku, wysuszyć i tak zasnąć.

Z żalem stwierdził, że Morez wymachuje rękami, a stoi przy nim Lambat. Nie dadzą mu spokoju. Obserwował zbliżających się kolegów przez szklankę. Pustą.

Przynajmniej opłukać zęby resztkami mojito. Wyssać cytrynowo-

miętową kostkę lodu.

– Wściekają się, Chris – jęknął Morez. – Nie jesteśmy w stanie zapanować nad kumplami Manu Nativela. Dowiedzieli się, że ich przyjaciel został zadżgany. Chcą go pomścić. Podejrzewają jakąś dziewczynę. Podobno prowokowała go przez cały wieczór, a potem zniknęli razem na lagunie.

Christos wstał, ciężko wzdychając.

To, co powiem im o tej dziewczynie, pomyślał podporucznik, powinno powściągnąć ich instynkty szeryfów z tropików.

Morez ponaglał.

– Szefie, trzeba z nimi pogadać. Czekają na pana w holu.

– Okej, okej.

Christos powlókł się do hotelowej recepcji. W holu czekało czternastu mężczyzn. Kilku siedziało, większość stała; niektórzy byli zmęczeni, prawie wszyscy zdenerwowani. Wszyscy zwrócili na podporucznika przejmująco smutne oczy.

Zerwany krąg.

Rzucało się w oczy, jak szybko wszyscy wytrzeźwieli.

Silny klan.

Wszyscy byli mniej więcej rówieśnikami. I Kaframi, jak Manu. Wszyscy wysportowani, jak on. Większość ubrana była w jednakowe szorty, identyczne czapki i adidas w barwach klubu AS Marsouins z Saint-Leu.

Wszyscy należeli do jednego pokolenia. Przyjaciele z klubu piłkarskiego.

Epopeja Pucharu Francji to niezapomniane przeżycie! Zwyciężyć z klubem pierwszoligowym w listopadowy wieczór roku 2000 to coś, co na zawsze wpisuje się w pamięć.

W hotelowym holu temperatura była wysoka i panowała duchota, chyba że tak działała mieszanka oparów alkoholu i łez.

Żaden z czternastu przyjaciół nie miał na sobie T-shirtu.

Wszyscy natomiast mieli wytatuowane na zawsze – między obojczykiem a szczytem prawego ramienia – dwa delfiny AS Marsouins.

I datę ich wspólnego wyczynu.

11.11.2000.



po mistrzowsku łączy manipulację, emocje i napięcie. Po polsku ukazało się 8 jego książek: *Czy pamiętasz*, *Anaïs?*, *Czarne nenufary*, *Samolot bez niej*, *Nie puszczaj mojej dłoni*, *Mówili, że jest piękna*, *Nigdy nie zapomnieć*, *Mama kłamie* i *Czas jest mordercą*. Od lat zajmuje czołowe miejsca w rankingu najlepiej sprzedających się pisarzy francuskich dziennika „Le Figaro”. Jego powieści przetłumaczono na ponad 30 języków.



MICHEL BUSSI

2,5 miliona sprzedanych egzemplarzy we Francji
wydania w ponad 30 językach

NOWE DZIEŁO FRANCUSKIEGO MISTRZA KRYMINAŁU

Już dwa tygodnie upłynęły od chwili, gdy Ariane postawiła walizki w domu na Alabastrowym Wybrzeżu. Dla niej i jej trzyletniej córki zaczynało się nowe życie. Lecz ta ucieczka z Paryża do Veules-les-Roses przypomina inną, sprzed ponad stu lat, kiedy to znana aktorka Comédie-Française zawitała do wioski, by ukryć w niej swój wielki sekret. Tymczasem Ariane, czując, że ktoś obserwuje ją na każdym kroku, nawet w jej własnym domu, powoli zaczyna tracić rozum...

**Witajcie w krainie Caux, w krainie jabłoni
i trupów w szafach.**

www.wydawnictwoswiatksiazki.pl
f/wydawnictwo.swiat.ksiazki

proj. okładki PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
fot. Shutterstock